STANISŁAW DZIKOWSKI

# GRACZ



BIBLJOTEKA GROSZOWA
95 GROSZY
SP. Z O. GRODZKA

[1926]

WYDAWNICTWO „BIBLJOTEKI GROSZOWEJ" S-ki z o. odp.
Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 11

# BIBLJOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI

WYDAWCA BIBLJOTEKA GROSZOWA
S. z o. o.

WARSZAWA, ul. MONIUSZKI 11.

*WARUNKI PRENUMERATY:*

*Z przesyłką pocztową kwartalnie Zł. 9 gr. 95.*

*Prenumeratę przyjmuje Administracja
Bibljoteki Groszowej.*





*Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Warszawska 30a.*

## I

W dwudziestym roku życia Jan Orda nie wyróżniał się niczem pomiędzy kilkuset akademikami, studjującymi prawo na lwowskim uniwersytecie. Od wczesnej młodości zmuszony do samodzielnego przełamywania trudności życiowych, miał nakreśloną zgóry drogę, która poprzez liczne kolokwja i egzaminy miała doprowadzić go, wcześniej czy później, do jakiegoś stanowiska urzędniczego. W najśmielszych marzeniach widział się w pirogu radcy pocztowego lub sądowego, pędzącego życie spokojne a poważane w któremś z miasteczek prowincjonalnych. Jakkolwiek pochodził z zamożnej niegdyś szlachty wiejskiej, wcześnie osierocony i pozbawiony wszelkich węzłów pokrewieństwa, nie posiadał nawet tych tradycyj lepszej przeszłości, które niejednokrotnie podniecają do pragnień śmiałych i są źródłem ambicyj, głęboko ukrytych, przekazywanych starannie z ojca na syna. Ponieważ mógł polegać tylko na siłach własnych, musiał obrać sposób bytowania najłatwiejszy, nienapotykający na zbytnie przeszkody. Cały rok spędzał na podrzędnem stanowisku korepetytora wiejskiego w dworach średnio zamożnych, gdzie, niepozorny, skromnie ubrany i zazwyczaj milczący, nie zwracał na siebie uwagi, zajmując pod każdym względem szare miejsce. Ustawiczne obcowanie z ludźmi ociężałymi, którzy, odsunięci poza granice ostrej walki o byt, zatracili wszelką żywość myślową i uczuciową, nie mogło

wpłynąć dodatnio na jego rozwój. Życie pospolite, półsenne, odarte ze wszystkich złudzeń, pozbawione pragnień śmiałych i nieziszczonych marzeń, przytłoczyło, jak ciężka płyta grobowca, wszystko, co rwało się w nim do lotu. Nie było już zda się miejsca na żaden wybryk młodzieńczy, stał się nad miarę praktyczny, nauczył liczyć się z groszem, zanim go mógł wydawać, nie pozwalał sobie na żaden kaprys, na żadne zboczenie z raz obranej drogi. Zdawał egzaminy z trudem, ale zawsze w przepisanej porze, doskonale obkuty, nie rozumiał w najmniejszym nawet stopniu ducha nauki—niezdolny do samodzielnych badań, związany był niewolniczo z przepisanemi podręcznikami i odbitkami wykładów profesorskich. Zagłębiony w troskach szarego życia, wiecznie czujny, aby nie pozwolić sobie na jakieś niebaczne odchylenie, nie zdołał poślubić żadnych namiętności ani zamiłowań, przejął się jedynie pospolitemi formułkami banalnego patrjotyzmu, bo one nie wymagały trudu myślenia i zgadzały się z tem, co słyszał wciąż wokoło siebie. Tak minęły trzy szare i głuche lata młodości, które dla innych są nieraz najpiękniejszem ogniwem w długim łańcuchu wspomnień. Czuł się zmęczonym niepomiernie i często ogarniało go straszliwe przerażenie na myśl, ile to jeszcze trudów, upokorzeń, trosk czeka go, zanim dobić zdoła do upragnionego końca—pierwszej posady, która dopiero w podeszłym wieku zdoła zapewnić mu sytość i dostatek.

W tym czasie poczęto organizować w całej Galicji związki i drużyny strzeleckie.

Orda dostał się do nich przypadkiem i odrazu w życiu jego nastała przemiana gwałtowna. Odżyło wszystko, co drzemało, zduszone pod skorupą powszedniości. Zagrała krew rycerska, otworzył się przed nim daleki horyzont nieznanych przestrzeni. Wyrosły ambicje, pragnienia silne. Kurtka strzelecka, kupiona za krwawo zaoszczędzone pieniądze, była

najdroższym skarbem, jaki posiadał—szedł od niej bowiem jakiś blask promienny, który rozświetlał ponurą szarzyznę życia. Musztry i ćwiczenia w polu rozwinęły go fizycznie, rozmowy z kolegami i przewodnikami poruszyły w duszy struny, o których istnieniu nie wiedział. Dzień, w którym został mianowany oficerem, był dla niego niezapomnianym dniem najwyższego triumfu.

Jak znużony wędrowiec, pił chciwie z tego niespodziewanego źródła energji i chęci do życia. Odrzucił doskonałe propozycje i zamieszkał we Lwowie, aby poświęcić się wyłącznie nieznanej dotąd namiętności. Niebawem wydał wszystkie oszczędności, zapomniał o egzaminach i z niesłychaną zaciekłością zabrnął w robotę wojskową.

Zwrócono na niego uwagę i mówiono:

— Orda, to urodzony żołnierz.

Sama idea strzelecka nie zajmowała go zbytnio, rozprawy teoretyczne męczyły go zazwyczaj, rozpalały natomiast wyobraźnię zagadnienia czysto wojskowe. Orda ukochał rodzącą się wojskowość z pobudek jak najbardziej osobistych. Oparło się na niej mocno jego wątłe, skarlałe życie. Wypełniły się mocnym rdzeniem wszystkie ziejące pustką chwile. Zniknęła najstraszniejsza niemoc ze wszystkich: przedwczesna niemoc ubogiej młodości. Gdziekolwiek i pocokolwiekby się te związki tworzyły, Orda byłby zawsze ich namiętnym zwolennikiem. Jeśli zdarzyło się, że musiał uzasadnić ich ogólną celowość, czynił to lękliwie i nieśmiało. Nie odczuwał jeszcze tych drgnień głębokich, wzruszeń niepojętych, które budzą się niewiadomo dlaczego i wstrząsają całem jestestwem człowieka, jak nagłe uderzenie pioruna.

Kiedy wyczerpał się już ostatni uciułany grosz, Orda musiał powrócić z żalem do dawnego życia. Niespodziewanie ofiarowano mu miejsce korepetytora na wsi w Królestwie Polskiem. Pojechał tam,

zaopatrzony w instrukcje potajemne i polecenia organizowania podziemnej roboty. Ale Orda nie odznaczał się żadnemi zdolnościami w tym kierunku. Jego natura, szczera i otwarta, nie mogła pogodzić się z konspiracją. Zresztą w warunkach, w których się znalazł, nie mogło być mowy o żadnej „robocie".

Kiedy wybuchła wojna, Orda rzucił wszystko i wyjechał natychmiast do Warszawy, aby tam czekać na wkroczenie legjonów. Wierzył niezłomnie, że to nastąpić musi prędzej czy później.

Cały czas, poprzedzający zajęcie Warszawy przez wojska niemieckie, był dla niego jednem długiem oczekiwaniem. Przeżył wszystkie męczarnie zwątpienia i niepewności nadziei. Podpatrywał wojnę przy pomocy wszelkich podstępów, marząc o tem, aby wziąć w niej jak najprędzej osobisty udział. Nie zwracał uwagi na żadne orjentacje polityczne, nie należał do żadnych partyj, ani organizacyj podziemnych. Czekał...

Natychmiast, po cofnięciu się armji rosyjskiej, zgłosił się do biura werbunkowego. Zaliczono go w szeregi Drugiej Brygady, zwanej Karpacką albo Żelazną. W trzy dni potem znalazł się już w okopach na froncie bukowińskim. Spotkał tam dawnych towarzyszów, którzy byli już starymi żołnierzami i mieli za sobą ciężką a słynną kampanję karpacką. Należał mu się wprawdzie stopień oficera, ale Orda postanowił dosługiwać się go od prostego żołnierza. W bitwie pod Rarańczą otrzymał pierwszy chrzest bojowy i odznaczył się męstwem spokojnem a celowem. Za wzięcie do niewoli rosyjskiego dowódcy bataljonu mianowany został sierżantem, a w dwa miesiące potem, jako chorąży, dowodził już plutonem. Podczas kampanji wołyńskiej zatarły się niebawem różnice pomiędzy nim a innymi oficerami. Należał do „wiary" i nabył wszystkich przyzwyczajeń starego żołnierza. Wojna weszła mu w krew, stała się jego drugą naturą, przy-

zwyczajeniem, nałogiem. Nigdy jeszcze nie było mu tak dobrze na świecie, jak teraz. Życie beztroskie, swobodne, nie dbające o jutro, płaciło hojnie za wszystkie niebezpieczeństwa, trudy i znoje. Ranny pod Bielgowem w nogę, przebył w szpitalu kilka tygodni, rozpaczliwie nudnych i szarych. Z uczuciem niesłychanej ulgi wracał na front. Kiedy potem zachorował na czerwonkę, ukrył chorobę i leczył się sam potajemnie, aby tylko nie opuszczać okopów.

Gdyby miał odpowiedzieć szczerze czego pragnie najgoręcej, odpowiedziałby:

— Chcę, aby wojna trwała jak najdłużej...

Postanowił nie rozstawać się nigdy z rzemiosłem żołnierza. Był gorącym wyznawcą idei wyłącznie militarnych, polityka nie interesowała go zupełnie, sądził, że jest to czynność, która należy do ludzi zupełnie innego gatunku. W czasie bitwy był najspokojniejszy, nerwy jego działały wówczas, jak stalowe tryby doskonałej maszyny. Odwaga jego była właściwością niemal fizyczną. Kiedy wypadało dowodzić mu jakimś odcinkiem, umiał dopuścić przeciwnika aż do zasieków drucianych i dopiero wtedy zmiażdżyć go straszliwym ogniem. W randze podporucznika dowodził już kompanją i zasłynął, jako jeden z najlepszych patrolowców. Stał się typem oficera, którego mogły zazdrościć najlepsze nawet armje. Posiadał bowiem to wszystko, co dać mogło doświadczenie wojenne, pomnożone jeszcze zapałem tajemnym i żądzą hazardu, powodzeniu zawsze bliską. Odznaczał się błyskawiczną szybkością postanowienia, darem zrozumienia każdej sytuacji, ufnością w szczęśliwą gwiazdę i uderzeniem silnem, jak piorun. Żołnierze kochali go za to, że był sprawiedliwy i w każdem niebezpieczeństwie narażał się więcej od nich. Był zawsze małomówny i lodowato-spokojny. Uczuć jego nikt odgadnąć nie umiał. Po straszliwej katastrofie bielgowskiej, w której utracił najlepszych towarzy-

szy i sam został ranny, nie usłyszano od niego ani jednego słowa żalu. W czasie okopowych hulanek, kiedy wszyscy dokoła szaleli ze zbytku temperamentu, on siedział, milczący, z nieodstęp ym rewolwerem u pasa, zawsze gotów do służby, którą chętnie pełnił za innych. Najbardziej namiętne dyskusje nie były w stanie go poruszyć, na pytania, zwrócone wprost do niego, zazwyczaj wcale nie odpowiadał albo machał ręką i węzeł, jak cięciem szabli, przecinał.

— Nic się na tem nie rozumiem...

Na wszystkie wyprawy awanturnicze szedł zawsze pierwszy. Kiedy w czasie jednej z bitew, adjutant trzeciego bataljonu, zwany „Janosikiem", został pod okopami rosyjskiemi ciężko ranny, Orda, nic nikomu nie mówiąc, wziął jednego sanitarjusza i ruszył nocą po niego. Udało mu się zmylić czujność dwóch patroli nieprzyjacielskich, trzeci nagłym atakiem w pojedynkę zmusił do ucieczki i brnąc przez bagna w gradzie kul, przyniósł omdlałego Janosika na noszach, aż do miejsca opatrunkowego. Na drugi dzień wyprawiono na jego cześć ucztę okopową, ale Orda zaszył się gdzieś i pierwsze miejsce przy stole było puste.

Powoli przyzwyczajono się do jego małomówności i nikomu już nie przychodziło na myśl, aby niepokoić go zbytecznemi pytaniami. Dopiero zdarzenie niespodziewane zwróciło nań powszechną uwagę.

## II

Było to w lecie roku tysiąc dziewięćset szesnastego. Druga Brygada, przerzucana nagłemi rozkazami z miejsca na miejsce, znalazła się właśnie w Mielnicy, małem żydowskiem miasteczku, kiedy zaalarmowano ją znowu. Między żołnierzami krążyły ponure wieści o przełamaniu frontu i przedarciu się znacznych sił rosyjskich przez kolano Stochodu.

Niebawem oba pułki zagłębiły się w mrocznych, bagnistych lasach wołyńskich. Maszerowano razem z trenami bojowemi drogą piaszczystą na Wielick. Rozkazy były niewyraźne. Nad samym wieczorem Brygada dotarła do linji okopów świeżo zbudowanych. Tutaj zatrzymano się na pierwszy odpoczynek. Po chwili nadeszły rozkazy od komendy Brygady. Treny miały zawrócić do Mielnicy i obrać stanowisko o kilka wiorst stąd w lesie. Wszyscy przeczuwali zbliżającą się nieuchronnie bitwę.

Słońce już zaszło, kiedy wozy poczęły z trudem zawracać na drodze błotnistej, pełnej wykrotów i zdradzieckich kałuży. Słychać było świst batów, przekleństwa woźniców i rozpaczliwy skrzyp kół. Z powodu szczupłości miejsca i gęstniejącego mroku, wozy mieszały się, uderzały o siebie, konie zaczepiały się łańcuchami i rwały uprząż, pękały koła, trzaskały dyszle. Piechota poszła naprzód. Żołnierze kładli się koło drogi i wypoczywali, czekając spokojnie. Orda, który pełnił służbę oficera inspekcyjnego, uwijał się niezmordowanie to tu, to tam. W ciemnościach natknął się na grupę jeźdźców, którzy jechali wolno od czoła. Poznał brygadjera i jego oficerów ordynansowych.

— Kto to? — zabrzmiał głos komendanta.

Orda wyprężył się, jak struna.

— Melduję posłusznie Jan Orda, podporucznik...

— Aa, podporucznik Orda, doskonale, właśnie potrzebny mi jest jeszcze jeden oficer. Podporucznik Orda pojedzie z nami, dajcie tam konia panu podporucznikowi, ordynans może tymczasem tu zostać...

Orda wdrapał się z trudem na wielkiego siwka i ledwo zdążył strzemiona dopasować, kiedy wszyscy ruszyli raźnym kłusem naprzód.

Jechali przez las, który rzedniał coraz bardziej. W księżycowej poświacie widać było ogłuchłe pola, zasłane strzępami mgły wieczornej. Nie słychać

było nic, oprócz stukotu kopyt i parskania koni. Gdzieś daleko, na lewem skrzydle, widać było od czasu do czasu gwiazdy, zapadające świetlistym łukiem w czarną przepaść. Wreszcie zamajaczyła wyniosłemi sylwetami drzew mroczna aleja dwo ska i wiatr zaszumiał przeciągle w koronach starych topoli. Zdala widoczny był, światłem księżyca posrebrzony, biały dwór polski o łamanym dachu, z gankiem na słupach.

Ktoś mruknął półgłosem:

— Wielick...

Zatrzymali się i poczęli zsiadać pośpiesznie. W jednem z okien płonęło światło i widać było czyjąś głowę, pochyloną nad mapą. Dokoła gazonu huzar węgierski przeprowadzał trzy konie osiodłane. Brygadjer ruszył naprzód — oficerowie czekali. Po chwili wrócił z dwoma oficerami a strjackimi. Jeden z nich, starszy rangą, wymachiwał rękoma i powtarzał widać po raz drugi:

— Panie brygadjerze, nic więcej nie mam do powiedzenia. Linja została przerwana. Dwa pułki honwedów zniesione. Gdzie jest nieprzyjaciel nie wiem. Gdzie są nasze wojska także nie wiem. Linje telefoniczne przestały działać. Cieszę się niewymownie, że pańska brygada zmieni może położenie krytyczne. Wobec tego nie mam tu nic do roboty i odjeżdżam.

Zasalutowali, wskoczyli na konie... Po chwili słychać było tylko głuche dudnienie kopyt na mostku w alei. Brygadjer pochylił głowę w milczeniu, coś ważąc. Wreszcie począł wydawać pośpiesznie rozkazy oficerowi ordynansowemu. Oba pułki wyślą natychmiast małe patrole, które powinny nawiązać czucie z nieprzyjacielem. Brygada maszeruje na Wielick i zajmie wpobliżu stanowisko. Ogni palić nie wolno, namiotów nie rozbijać. Ordynansi pułkowi stawią się do dworu, który ma być ubezpieczony placówkami. Dalsze rozkazy nastąpią.

Poczem zwrócił się do oficerów:

— Będziemy tu czekać, aż do wyjaśnienia. Proszę za mną.

Przechodzili jeden pokój po drugim, świecąc latarkami elektrycznemi.

Gabinet pana dziedzica, potem długi korytarz, kredens, panieński biały pokoik z muślinowemi firankami, stołowy, czarnym dębem wykładany, z oszkloną werandą i salon z oknami otwartemi, ustrojony w migotliwe arabeski gałęzi i drżące cienie liści. Przystanęli, jakby nasłuchując, czy się nie ozwą kroki któregoś mieszkańca białego dworu, biegnącego na spotkanie kochanych gości. Ale nikt nie nadchodził. Ktoś błysnął ku ścianie latarką. Wyjrzała ku nim zadumana twarz Naczelnika w chłopskiej czapce. Błysnęły oczy marzące.

Wśród ciszy zabrzmiał przejmujący głos brygadjera:

— Kościuszko... Polska na kresach... i my, zabłąkani, ostatni romantycy...

Orda poczuł zimny, przeszywający dreszcz, nieznane wzruszenie chwyciło go jakby kleszczami za gardło. Mamrotał słowa, pozbawione związku, coś nucił, to znowu wsłuchiwał się w szumiącą pieśń drzew ogrodowych.

Zapalono światła.

Wszyscy usiedli na fotelach jesionowych — milczeli.

Fortepian był otwarty, nuty rozłożone, w wazonach pyszniły się świeże kwiaty, drzwi od ogrodu jeszcze uchylone...

Ktoś wstał zwolna, skradał się nieśmiałemi krokami do fortepianu i położył opalone, żołnierskie ręce na białych klawiszach.

Uderzył cichym akordem raz i drugi. Zadrgała melodja, jak szloch stłumiona, i snuła pasmo przedziwnie wiotkie, rwała się, jak nitka pajęcza, i wracała znowu niby echo dalekie, inna już, ale coraz

bardziej przejmująca, głęboka. Buchnął nagle junacki zew, rozbrzmiało huczne, buntownicze szyderstwo, zalśniała polotna niefrasobliwość, migotały, jak strojny rząd pereł, i rozpłynęły się zwolna w mdlejących kapryśnych tonach.

Orda wymknął się powoli do ogrodu. Biegła za nim smuga światła i cicha skarga drżała na złotych strunach. Zapachy róż, jaśminów i narcyzów otoczyły go upajającą falą. Wiatr wieczorny pieścił skronie rozgorzałe. Gość nieproszony, smutek bezmierny, wdarł się przemocą do piersi i ciężarem olbrzymim na sercu zawisnął. Ukrył twarz w dłoniach i poczuł łzy płynące...

Wyrwał go nagle z zadumy wściekły szczekot psa stalowego. Orda zerwał się i kilkoma susami wpadł do dworu. Tam już brygadjer odbierał meldunki i wydawał nowe rozkazy. Za oknami odzywał się raz wraz głuchy pomruk armat i niespokojne trajkotanie karabinów.

— Podporucznik Orda może wracać. Wasz pułk zajmuje już pozycje przed samym dworem. Bitwa!

Orda wybiegł jak szalony. W kilkanaście minut już był przy swojej kompanji, ale wbrew zapowiedzi, nieprzyjaciel nie następował. Ucierały się tylko patrole piesze i konne.

Tak trwało aż do świtu. W brzasku rodzącego się dnia ujrzał biały dwór, otoczony starym sadem. Z pomroki nocnej wynurzała się świeża zieloność drzew rozłożystych, dźwigających przepych bujnego owocu. Zabrzmiał rozgłośny, żarliwy świegot ptactwa, witającego dzionek. Orda zadrżał mimowoli. Dwór był przed pozycjami — co się z nim stanie? Wtem w ogrodzie zamigotały jakieś postacie. Orda pochylił się naprzód i patrzył szeroko rozwartemi oczyma.

— Co to, kto tam jest w ogrodzie? — zapytał obok stojącego żołnierza.

Ten przetarł zaspane oczy i odparł flegmatycznie:

— Ano, panie komendancie, pikinjerzy austrjaccy rąbią sad i dwór podpalają, psia ich mać była.

Orda zwinął się, jakby go bagnetem kto pchnął.

— Co gadacie?

— Ano, pewnie obstrzału niema, a mogli przecie, psiekrwie, wyrychtować lenię trochę dalej.

Jakoż niebawem z dworu buchnął słup dymu i rozbrzmiał gwałtowny stukot siekier w ogrodzie. Padały jedne po drugich drzewa wspaniałe: stare gruszki, jabłonie, śliwki i czereśnie.

Czerwone języki wysuwały coraz wyżej niesyte żądła z kurzawy dymu.

Przepalone belki runęły z chrzęstem.

Orda ściskał w ręku rewolwer i stał, osłupiały. Wtem zdało mu się, że wśród tego piekielnego trzasku drzew ścinanych, z krwawej pożogi biegnie ku niemu cicha, drżąca skarga wieczorna i zawodzi szlochem żałosnym. Ze mgieł porannych wstawało słońce przedziwnie krwawe, jakby wchłaniało w siebie rude dymy pożaru. Orda zerwał się nagle, przeskoczył okop, potem ogrodowy płot niski i począł kolbą rewolweru tłuc bez opamiętania żołnierzy, wyrąbujących już ostatnie drzewa.

Podniósł się gwałt okropny, nadbiegł zasapany komendant kompanji pionierskiej. Pojawił się też od lewego skrzydła brygadjer i widząc żołnierzy Ordy, idących z wyciągniętemi bagnetami do ataku na kompanję pionierską, wołał zdaleka co sił starczyło:

— Stać! psiakrew! ja wam!..

Na dźwięk tego głosu Orda oprzytomniał i stał ze łbem spuszczonym, nie ruszając się z miejsca...

Brygadjer wysłuchał raportu komendanta pionierów i odrzekł sucho:

— Pan kapitan może być spokojny, ten oficer zostanie ukarany wedle surowych praw wojennych.

W tej chwili ostatnie wiązania dworu runęły z łoskotem straszliwym. Płomienie buchnęły wgórę, w ich blasku migotliwym widać było czarne sylwety rozproszonych ułanów legjonowych, którzy ucierali się z kozakami na dalekiej równinie.

Brygadjer patrzył tam przez chwilę, poczem zawrócił się szybko i przeszył Ordę chłodnem, przenikliwem spojrzeniem:

— Co to było? Zwarjowałeś, błaźnie jeden!

Orda nie mógł słowa ze ściśniętego gardła wydobyć.

— Mów, u djabła, bo ci tu każę zaraz w łeb strzelić.

Orda podniósł głowę spuszczoną i zajrzał brygadjerowi zuchwale w oczy:

— Można w łeb strzelić, panie brygadjerze, śmierci linjowy oficer bać się nie powinien. Nie wiem, co mi się stało. Pierwszy raz coś takiego w życiu. Nie mogłem patrzeć na to wszystko... wieczorem, byłem tam razem z panem...

Brygadjer wyrzucił ręce rozpaczliwym ruchem wgóre.

— Dzieci, wy, dzieci chcecie zepsuć, koniecznie zepsuć wszystko...

Zamyślił się, spojrzał na niego, podszedł bliżej i dłoń na ramieniu położył:

— Wzięło cię—co?

Orda pochylił się tylko i milczał.

Brygadjer odskoczył nagle do niego i groźnie wymachując laską, krzyknął:

— Marsz do kompanji! Błaźnie jeden, już ja cię rozumu nauczę!

W trzy dni potem Orda rozkazem brygady skazany został na piętnaście dni aresztu domowego. A do bez miary długiej epopei pułkowej, którą śpiewano wieczorami w ziemiankach, przybyło aż dziesięć nowych zwrotek o tem, jak to podporucznik Orda gromił pod Wielickiem austrjackich pionierów...

Kampanię wołyńską przebył do końca i smutne baranowieckie leże razem z innymi przecierpiał. Przeżył chwilę radosnego uniesienia podczas uroczystego wkroczenia Legjonów do Królestwa Polskiego i służby ciernistej nie przerywał aż do nowej galicyjskiej odysei. Kiedy zrodziła się zuchwała myśl przedarcia się poza granice Austrji, Orda zachował się tak, jakby miał do czynienia ze zwykłym rozkazem pułkowym. W ataku czołowym pod Sadogórą został ciężko ranny i razem z innymi znalazł się w huszteńskim karnym obozie. Natychmiast jednak po wyzdrowieniu, udało mu się zmylić czujność straży i zbiec szczęśliwie. W austrjackim mundurze, przy pomocy podrobionej marszruty dostał się do Warszawy. I ledwo gotknął bruku stołecznego miasta, zrozumiał, że się w jego życiu rozpoczyna nowy, nieznany okres.

Zawód żołnierski był przed nim na razie zamknięty. Dawne sposoby bytowania zbyt odległe, aby można było do nich powracać. Ustał wszelki związek z przeszłością. Stał się podobny do jesiennego liścia, który, rzucony skrzydłem wiatru na rzekę, padnie koło mielizny i krąży tak długo zdala od wartkiego prądu, aż się osunie na dno, aby gnić tam razem z innemi we wspólnej otchłani.

Opuściła go żołnierska zuchwałość i wytrwały spokój, stał się znów lękliwy, nieśmiały. Przytłaczała go obojętność i wrogość otaczających ludzi, żarły energię młodzieńczą trudy i niepowodzenia, których niemal na każdym kroku doznawał. Próbował pokolei rozmaitych zawodów, zmienił kilka posad, do których w żaden sposób nie mógł się przystosować, a nawet jął się hazardownych spekulacyj, umieszczając w przedsiębiorstwach ryzykownych trochę grosza zaoszczędzonego z oficerskiej pensji. Zyski jednak były nikłe, a dalsze próby

coraz bardziej wątpliwe. Kiedy zwrócono jego uwagę na organizujące się nowe dziedziny pracy, Orda wytężał wszystkie siły, aby tam właśnie zdobyć oparcie dla rozpierzchającego się życia. Ile razy jednak usiłował uczynić cokolwiek dla sprawy, którą za prostą i słuszną uważał, doznawał niepowodzenia, które zniechęcało go bardziej, aniżeli wszystkie inne dotychczasowe sposoby. Był zupełnie bezsilny wobec szczególnego gatunku ludzi, którzy zdołali już opanować w tworzących się dziedzinach pracy wszystkie stosunki, którzy już zadzierzgnęli nici wszystkich intryg i przeszkodami nie do przebycia zagrodzili drogi tym, co byli niepowołani. Gdziekolwiek się zwrócił zastawał ich zawsze na posterunku spokojnych, promieniejących dosytem, łodowato-grzecznych w objaśnieniach odpychających, miłym uśmiechem mówiących mu:

— Niema tu nic dla ciebie i nic nie będzie...

Zawsze spóźniał się o dni kilka, wszędzie słyszał sakramentalne:

— Ach, jaka szkoda, że pan wcześniej nie raczył...

Potem zapisywano jego adres, ściskano go za ręce, zapewniano o niegasnącej życzliwości i delikatnie wypychano za drzwi.

Pomiędzy tymi ludźmi spotykał wielu znajomych jeszcze z tych czasów, kiedy Legjony walczyły na froncie wschodnim. Poznawał często, jak przez mgłę, te same twarze, które widywał kiedyś na wszelakich etapach, w służbie pozafrontowej przypominał sobie ludzi, którzy włóczyli się za linją pomiędzy rozmaitemi wyższemi komendami, odwiedzali okopy ukradkiem albo w uroczyste żołnierskie święta dziwili się niepomiernie temu wszystkiemu, co dla niego i towarzyszy stało się już dawno sprawą zwykłą, powszednią. Byli pomiędzy nimi ci sami, którzy ściskali go tkliwie za ręce, kiedy przyjeżdżał z meldunkiem o przebytych trudach, którzy obśliniali go fałszywemi zachwytami,

kiedy opowiadał poprostu o walkach straszliwych i wzruszony głęboko, wymieniał n zwiska poległych druhów. Przypominał sobie niejednokrotnie, że widywał ich już kiedyś w tem czy owem wnętrzu kancelaryjnem, gdzie prowadzili wojnę na polinjowanych arkuszach ołówkiem atramentowym, utrudzeni wiecznem „weszło" i „wyszło", odczuwający kampanję orężną jedynie przez jednostajność wołowego mięsa i brak wygodnego materaca, pr erabiający przy dalekim odgłosie armat krew i poświęcenie na stosy „kawałków urzędowych". Przypominał sobie z jaką pogardą mówiono o nich w okopach. Ktoś porównał ich do płytkich, rozreklamowanych wirtuozów, którzy na rachunek wielkich, zapomnianych twórców zbierają bez trudu oklaski, pieniądze i względy pięknych kobiet. Ile razy przyjeżdżał na urlop do jakiegoś miasta, ogarniał go wstręt nieprzemożony na widok tych „obiboków", „łazików" przeklętych, sprytnych pasorzytów idei, unikających frontu, jak zarazy, paradujących na pierwszorzędnych ulicach w żółtych butach, dzwoniących ostrogami, okradających bezczelnie każdem słowem tych wszystkich, których w okopach żarły wszy i zasypywały wraże pociski. Przypominał sobie ze wstrętem kawiarnianych polityków, którzy mu udowodniali z zapałem, że są zbyt potrzebni narodowi, aby mogli narażać się na hazardy wojenne. Napatrzył się przecież dosyta i na tych piotrkowskich „reizenderów", wiecznie śpieszących się kurjerów, uwijających się, niby zapracowanych, zawsze opowiadających o przededniu ważnych wypadków, zwożących im do okopów stosy nudnej bibuły, której nikt nie czytał. I kiedy oni walczyli, nie dbając o jutro, tamci wygrzebywali sobie z pod ziemi dobre posadki, umacniali stosuneczki, handlowali własną przeszłością, wyrzekając się młodzieńczego zuchwalstwa za ciepły, wygodny kąt...

A oto teraz stają murem, jeden koło drugiego, ramię przy ramieniu i wołają:

— Zajęte, tu wszystko zajęte!..

I widział znowu Orda tych samych panów literatów i dziennikarzy, wierutnych kłamców i fabrykantów humbugu legjonowego, którzy, nim jeszcze krew żołnierska na strzaskanym zastygła czerepie, śpiesznie, jeden drugiego potrącając, zatykali niezdarne kwiatki banalnego stylu na świeżych mogiłach.

Pamiętał dobrze, jak to odczytywano na linji owe wierszyki, artykuły, sprawozdania i nowelki rozmaitych krakowskich i wiedeńskich grafomanów. Oficerowie i żołnierze „zdychali ze śmiechu", wołając:

— Oddaj pióro, złam pióro...

A ktoś dorzucał:

— Żeby choć jeden przyjechał tutaj i zobaczył, jak to naprawdę wygląda.

I oto spotykał się znowu z nimi wszystkimi — tylko, że teraz oni byli na pozycjach, a on miał za sobą pustkę. Już nie może do dobrych powrócić towarzyszy i wieczorem w ziemiance przy flaszce rumu nagadać się z nimi dosyta o podłym „hinterlandzie". Towarzysze rozproszyli się po szerokim świecie, tak, jakby jesienią wiatr kupę liści zeschłych rozegnał.

Orda wierzył, że teraz płaci stare długi. Oni wiedzieli dobrze co się tam o nich na froncie gadało.

— A teraz, to przecież jedna banda, wiadoma rzecz... — myślał naiwnie.

Z każdej takiej wycieczki wracał zgnębiony i znowu zaciskał pięści.

— Wolę ja tam — pocieszał się — szukać szczęścia gdzie indziej, niż prosić tych przeklętych obijaczy o jakąś łaskę...

W tym czasie poznał Jadźkę.

Przechodząc pewnego wieczora Aleją Ujazdowską, zoczył na ławce skuloną postać młodej dziewczyny. Było coś bezmiernie smutnego w jej pochylonej głowie, opuszczonych rękach i kibici, jakby złamanej. Całem ciałem przylgnęła do ławki, odwracając się od blasku latarni ulicznych i ciekawych spojrzeń przechodniów. Orda, tknięty dziwnem przeczuciem, usiadł koło niej. Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, dopiero kiedy przemówił pierwszy, rzuciła nań lękliwe spojrzenie wielkich, niebieskich oczu.

— Nie zaczepiam nigdy kobiet na ulicach—rzekł Orda — ale pani wygląda tak smutno, że chciałoby się mimowoli pomóc...

— Mnie już pomóc nie można — odpowiedziała po chwili głosem dźwięcznym, ale bezmiernie zmęczonym.

Milczeli oboje, wreszcie, jakby chcąc ulżyć nadmiernego ciężaru, opowiedziała mu swoją historję. Była baletnicą, wiodła życie, które obraca się pomiędzy sztuczną wspaniałością wieczoru a niedostatkiem dnia. Napółdziecko, niedość zepsuta i przemyślna, nie umiała jeszcze, jak inne koleżanki, znaleźć sobie bogatego kochanka. Każdego wieczora, kiedy w uszach dźwięczały jeszcze oklaski, rozbierała się z wdzięcznych szatek koryfejki i wracała do zimnych, wilgotnych ścian suteryny. Rodzina jej, niedługo po wybuchu wojny, poczęła uginać się pod brzemieniem nędzy beznadziejnej. Tego samego wieczora właśnie napróżno pukała do drzwi zamkniętych od wewnątrz. Kiedy sąsiedzi wspólnemi siłami wdarli się do środka, znaleziono w dwóch łóżkach, stojących pośrodku pustej izby, zimne ciała rodziców i trojga dzieci, przykryte łachmanami. Na stole znaleziono resztki jedzenia nazbyt wspaniałego, aby mogło nie zwrócić bacznej uwagi. Jak się potem okazało, nędzarze sprzedali wszystko, chcieli bowiem raz przynajmniej najeść się dosyta.

W ostatnim kęsie tej uczty była trucizna... Orda wziął ją za rękę i nic nie mówiąc, zaprowadził do swojego mieszkania.

Trzy dni przeżyli obok siebia w milczeniu.

Dziewczyna była mu wdzięczną za to, że niczego od niej nie żądał. Czwartego dnia oddała mu się z tem gorętszem uczuciem namiętności. Od tego czasu żyli razem.

Orda kupił jej kostjum, buciki z wysokiemi cholewkami, kilka bluzek i kapelusz.

Codziennie spędzali ze sobą wiele godzin. Była wiosna. W ogrodach płonęły bzy, kasztany pokryły się lubieżnym przepychem bujnego kwiecia. Nad Wisłą słychać było dalekie rechotanie żab i miłosny szept ludzi, przytulonych do siebie na ławkach. Codziennie po teatrze czekał na nią, ukryty pod umówionym „ich" filarem. Odbywali długie spacery, w czasie których opowiedzieli sobie wzajemnie całe życie, niczego nie ukrywając, odsłaniając najtajniejsze myśli, wrażenia i nadzieje. I kiedy to wszystko wyczerpali do dna, poczęli wznosić wspólnemi siłami czarowny pałac przyszłości, do której chcieli dążyć. Orda poczuł, że ożywia go znowu zapał i chęć zdobywcza. Oddawali się marzeniom spokojnej sielanki życiowej, cichego dobrobytu. Snuli codziennie zwiewną tkankę marzenia, nie bacząc na to, że wszystko, co było w ich życiu pięknego, zdążało już do kresu.

Jadźka zwierzyła mu się pewnego wieczora, że obudziło się w niej pragnienie ludzi, światła, ruchu i zabawy. Orda, który poddawał się jej życzeniom bez jednego słowa sprzeciwu, i teraz z dobrym uśmiechem kochającego człowieka uczynił wszystko, aby ją zadowolić.

Zamienili tedy dostojność samotnych, cichych wieczorów na gwar modnych kawiarni, wrzaskliwość kabaretów i teatra ne wzruszenia.

Orda patrzył na ten świat banalnego szychu

z uśmiechem pobłażania, ale oczy Jadźki promieniały zachwytem. Upajało ją tu wszystko i do dziwnych, nieokreślonych pobudzało pragnień. Lubiła pysznić się swoją młodą, świeżą urodą, lubiła, kiedy ją dotykały bezczelne, pożądliwe spojrzenia mężczyzn sytych, dobrze ubranych, uśmiechających się z wyzywającym spokojem. Dziecko nędzarzy— umiało poruszać się z zupełną swobodą w tem kolisku półwytworności i sięgnąć śmiałą dłonią po wszystko, co było tu do zdobycia. Przypominała małe, powabne zwierzątko, zadawalające najprostsze instynkty z wdzięczną żarłocznością. Orda zgadzał się na kaprysy i patrzył z zachwytem na usta rozjaśnione ciepłym, zmysłowym uśmiechem, lśniące oczy i dwa rzędy białych ząbków, które schrupały szybko zaoszczędzony, żołnierski grosz.

W tym czasie począł grać — grał, aby wygrać na wieczorne zabawy, stroje i cały ceremonjał, niby wykwintu, który można dostać tylko za pieniądze. Grał, aby przewlec jak najdłużej używanie lekkomyślne. Grał, aby zatrzymać ją przy sobie, aby dać jej to wszystko, czego pożądała każdem spojrzeniem, każdym ruchem. Zdawało mu się, że po jakimś czasie Jadźka, przesycona i znudzona, zapragnie powrócić do dawnej samotności, tak drogiej i pięknej szlachetną prostotą.

Pewnej nocy nie poszczęściło mu się w grze. Na drugi dzień, kiedy Jadźka, stojąc przed lustrem, gotowała się do wyjścia, Orda rzekł sucho:

— Dzisiaj nie możemy pójść nigdzie...

— Jakto? — zapytała, zdziwiona — nie masz ochoty?

— Nie mam pieniędzy — ciął krótko, bezlitośnie.

Jadźka nie odpowiedziała mu nic, zdjęła kapelusz, rękawiczki — i usiadła cichutko. Po chwili wybuchnęła płaczem, tak żałosnym, że Ordę ogarnął jednocześnie smutek i żal.

Jakby to rozumiejąc, przybiegła do niego i tuliła twarz, łzami zroszoną.

— Płaczę dlatego, bo widzę, jaka jestem podła, nikczemna. Nie myślę o jutrze, nie zastanawiam się ani przez chwilę skąd ty bierzesz pieniądze.

Przyciskała się do niego coraz mocniej.

— Widzisz, ale ja jestem taka młoda, tak mi się chce używać życia. Wiem, że to może nic nie warte, że to kiedyś przejdzie, przeminie, ale teraz żal każdej straconej chwili...

Mówiła długo, odsłoniła tak niepohamowaną żądzę błyszczenia, tak silne pragnienie wychylenia puharu do dna, że Orda zadrżał mimowoli, trapiony przeczuciem tego, co się zbliżało z nieuchronną pewnością.

Spędzili jednak wieczór niesłychanie miły wśród upajającej harmonji porozumienia, zatraciły się wszystkie zgrzyty i złe przeczucia. Nazajutrz Orda odwiedził dłużników i uzbrojony w oręż odpowiedni, wyprawił się wieczorem, wraz z Jadźką, do klubu. Siedziała obok niego, czuł dreszcz, przebiegający po całem jej ciele, widział oczy, błyszczące pożądaniem nieposkromionem. Wygrywał. Raz wraz wciskał jej banknot, który chwytała z gorączkowym pośpiechem i chowała za gors, oglądając się trwożliwie.

Wygrywał i uśmiechał się jakoś dziwnie.

Wyszli wreszcie, obładowani banknotami zmiętemi, ścigani setkami spojrzeń ciekawych i zimnemi, oślizgłemi uśmiechami.

Orda zwiesił głowę i milczał ponuro. Jadźka promieniała zachwytem.

Była zadowolona, szczęśliwa. Sprawiła sobie nowe stroje, zdawna upragniony zegarek na rękę i dużo łakoci do chrupania. Na długi czas utonęli w powodzi lekkomyślnego, beztroskiego zycia.

Ale po miesiącu złowroga, niepowodzeniem brzemienna, chmura nadciągnęła znowu. Orda po-

padł w stan zupełnej apatji. Napróżno usiłowała Jadźka pobudzić go do nowych wysiłków. Machał niedbale ręką i raz po raz powtarzał:

— Teraz, to już nic nie pomoże...

Całemi dniami siedzieli obok siebie, nie mówiąc ani słowa. Orda czuł, że dojrzewa w niej powoli jakiś zamiar tajemny i rozrasta się coraz potężniej kiełk złej myśli.

Pewnego wieczora Jadźka nie wróciła wcale do domu. Nazajutrz otrzymał od niej list z wieloma błędami ortograficznemi i stanowczem postanowieniem zerwania dotychczasowego stosunku. Pisała, że odchodzi, chociaż go bardzo kocha, ale nie chce stać się dlań nadmiernym ciężarem. Wierzy mocno, że prędzej czy później do siebie wrócą. Orda dowiedział się potem, że Jadźka wstąpiła do nowozałożonego kabaretu, gdzie tańczyła każdego wieczoru trzy razy.

## IV

Orda wyszedł z klubu późno w nocy, zgrany do nitki i śmiertelnie znużony. Włókł się do domu powoli, nie mogąc zapanować nad bezładnemi, rozproszonemi myślami. W głowie wiły się wciąż jeszcze jakieś łamigłówki karciane, narzucała mu się znienacka świadomość błędów, które popełniał wbrew dawno powziętym zasadom i doświadczeniom. Dopiero teraz rozumiał wszystko jasno, tak jasno, że aż odczuwał dla siebie pogardliwą litość. Od czasu do czasu stawał, uderzał się pięścią w czoło i przemawiał głośno:

— Idjota, idjota...

Napróżno usiłował zepchnąć noc minioną w otchłań niepamięci, napróżno uspokajał się raz po raz słowami:

— Przepadło, stało się...

Fala przejmującej goryczy zalewała go swoim

jadem, przenikając aż do najbardziej tajemnych zakamarków mózgu.

„Człowiek, który, podobnie jak ja — myślał — nie umie zdobyć się chociażby na odrobinę silnej woli, nie może zmagać się zwycięsko z losem. Nie pozostaje mu nic innego, tylko pracować ciężko i beznadziejnie na lichy kawałek ch eba.

Oddawna już powzięty pomysł jazonowej wyprawy po złote runo, pomysł prawie nieomylny, bo przemyślany w najdrobniejszych szczegółach, bo tak przygotowany, aby zniweczyć można było wszystkie niespodziewane zasadzki losu, ciosy najbardziej zdradzieckie odparować, a zawsze umieć do dna wyczerpać tryskające nagle źródło szczęścia— pomysł ten rozprysnął się znowuż od jednego zetknięcia z rzeczywistością. Orda widział znowu wszystkie swoje zamierzenia beznadziejnemi. Świeża, nieudana sromotnie próba przekonała go aż nadto wymownie, że pozbawiony jest wytrwałej siły, bez której niepodobna przeprowadzić plany nawet najdoskonalsze. Cóż z tego, że posiadał łuk i strzały, kiedy ramię, napinające cięciwę, słabe było i omdlałe.

On, który był tak spokojnym wobec wszelkiego niebezpieczeństwa, on, co umyślnie wychodził z okopów, aby w ogniu karabinów maszynowych hartować swe nerwy — był często niezdecydowanym i nielogicznym w sali gry, jak początkujący młodzik. Wszystkie hartowne cnoty żołnierskie odbiegały go przy zielonym stoliku, mało widoczne po sobie zostawiając ślady. Otworzyły się przed nim nieznane dotychczas widnokręgi, które zdumionemi oglądał oczyma.

Spostrzegł niebawem, że nie należał do ludzi, którzy mogli oprzeć istnienie swoje na krótkich chociażby, ale niezmiernie płodnych chwilach bezwzględnego powodzenia — musiał walczyć bez wytchnienia ze zmienną, kapryśną falą szczęścia i wy-

tężać ustawicznie siły, aby utrzymać się przynajmniej na powierzchni życia. Za krótki, ledwo widoczny uśmiech fortuny płacił długiemi, beznadziejnie szaremi okresami zastoju. Wszystko, co inni zdobywali bez żadnego wysiłku, było mu dostępne jedynie jako owoc trudów nadmiernych, pracy uporczywej, pożerającej całą energję młodzieńczą.

I tak ujrzał się Orda w kolisku przeżyć i myśli, dotychczas nieznanych, zupełnie mu obcych. Byłby może na to wszystko nigdy uwagi nie zwracał, byłby nad tem głowy swojej nie biedził i nie wywracał na drugą stronę natury otwartej, niewiele od życia wymagającej, gdyby nie to, że zarówno dziwne, jak i zwyczajne w tych czasach zdarzenia zamknęły przed nim prostą drogę życia. A przecież byłby szedł może tą prostą drogą spokojnie, do innych ludzi podobny, byłby się białych włosów na skroniach doczekał, nie wiedząc może nic o tem, jaka otchłań ukrywa się w jego piersiach. Teraz, zepchnięty z szerokiego gościńca, przedzierał się krętą ścieżką poprzez chybotliwe bagniska, gdzie błyszczały zwodnicze ogniki.

I byłby może tego wszystkiego nie pojął tak jasno, gdyby nie to, że go bezlitośnie, okrutnie porzuciła kochana dziewczyna. Właśnie od czasu rozstania się z Jadźką, Orda zaczął wieść życie zawodowego gracza.

Wszystkie dobre postanowienia, wszystkie zamiary, w daleką sięgające przyszłość, stały mu się obce od chwili, kiedy drażniący zadzior bolesnego rozczarowania utkwił w jego sercu.

Poco i dla kogo miał żyć lepiej? Czyż to nie wystarczało, że się pomiędzy jednym a drugim dniem prześlizgiwał, jak piskorz. Czuł się raz na zawsze rozgrzeszonym ze wszystkiego, co było w jego życiu fałszywym dźwiękiem. Wierzył nawet, że inaczej być nie powinno, że spełnia się jakiś sąd okrutny, którego nie zdoła nic odwlec.

Kiedy Jadźka żyła z nim jeszcze, Orda był zupełnie inny. Prawda, był rozrzutny, lekkomyślny, ale jaki wesoły i beztroski! Zdawało mu się, że posiada ukryty głęboko przed oczyma ludzkiemi skarb tejemny, nikomu nieznany. I wiara w to sprawiła, że stosunek jego do świata i ludzi pełen był pogodnej swobody. Orda upajał się spokojem wewnętrznym, pewny siebie, lekceważył zarówno niepowodzenia, jak i uśmiechy losu, bo wiedział, że każdej chwili będzie się mógł wesprzeć o nią, że jeden jego uśmiech, jeden dobry pocałunek roztopi wszystkie lodowate pociski. Ale kiedy Jadźka porzuciła go i to porzuciła go nie dlaczego innego przecież, tylko dla pieniędzy i lichego użycia—Orda chciał sobie najpierw życie odebrać, potem długo, długo myślał o sobie, o niej, o całem ich życiu — wreszcie zacisnął pięści i powiedział sobie twardo:

— Nie chcę być dobrym, lekkomyślnym człowiekiem. Jestem taki sam wilk, jak inni. Wilkiem w świat szeroki pójdę i będę ludzi milczkiem kąsać. Bez litości, bez pardonu...

Dopiero teraz zdołał zobaczyć to wszystko, na co dawniej nie zwracał uwagi.

Po raz pierwszy spostrzegł, że na twarzach wielu ludzi, którzy go otaczają, czai się zimny, spokojny uśmiech. Widział młodych gołowąsów, którzy ledwo oderwali się od pępka, a już umieli z kuglarską zręcznością zażywać wszystkich sztuczek wyrafinowanych, podstępnych chwytów i poruszali się ze zdumiewającą swobodą w mrocznym labiryncie wszelkich zdradzieckich spekulacyj. Słyszał rozmowy, w których używano zwyczajnych, prostych słów, niby tajemnego alfabetu szyfrowanych depesz. Widział starych łobuzów, wytrawnych „kombinatorów", czyhających na zdobycz ze spokojem zwierzęcia i przewrotnością człowieka. Przy stołach gry zauważył milczącą, ale niesłychanie wymowną po-

gardę dla tych wszystkich, których w żargonie wielkomiejskim nazywano „fokami".

Dopiero teraz podziwiał ciche, ale okrutne pojedynki żarłocznych rysiów, żbików i hien, karmiących się odpadkami. Wszędzie dokoła widział walkę okropną, prowadzoną wszystkiemi sposobami podstępu, pozbawioną najwątlejszego nawet cienia rycerskości — widział zatapianie pazurów i kłów w bezbronnych ofiarach albo walkę szakali, wydzierających sobie łup, zdobyty z zaciekłością niesamowitą. Widział obłędne twarze nerwowych, bezradnych głupców, nieśmiałe spojrzenia skrzywdzonych dzieci, a ponad tem wszystkiem, jak sztandar triumfu, ten sam spokojny, zimny uśmiech.

I widział zwycięzców jednej nocy, dumnych, nieubłaganych, depczących po ciałach swoich przeciwników, przemożnych w każdem szaleństwie, mądrych w najgłupszej zachciance, zaprzęgających zuchwale do swego rydwanu bogini szczęścia o złotych warkoczach — a nazajutrz tych samych mizernych, lichych, nieśmiałych, chylących w pokorze karki swoje pod stopy innych, szczęśliwych niewymownie, jeśli się im udało pochwycić jakiś mizerny strzęp złota.

Widział ludzi, szalonych w niepowodzeniu, a tchórzliwych w szczęściu, marnujących nieopatrznie chwile, które miały już nigdy nie wrócić. Widział tragicznych „pechowców" o nieczystych rękach, przegrywających noc w noc pieniądze, cuchnące błotem i występkiem. Widział małżeństwa, wydzierające sobie banknoty drżącemi dłońmi.

Doznawał obrzydliwej litości, oglądając stare, pomarszczone kokoty, które przychodziły wygrywać drobne sumy na opędzenie najpotrzebniejszych wydatków. Wyczuwał nieraz za plecami podstępną sieć intryg, potajemne zmowy, zręcznie urządzane obławy na grubszą zwierzynę i znowuż uderzał go, jak świszczące cięcie bata, spokojny, zimny uśmiech, który zdawał się szydzić ze wszystkich tych twarzy

rozognionych, drgających przerażeniem albo krótkim triumfem, w niepewności zastygłych.

Bywał we wszystkich klubach, poznał tajemnice i właściwości wszystkich potajemnych sal gry — od najwytworniejszych aż do spelunek ostatniego rzędu, gdzie pieniądze ginęły ze stołu, a gracze okradali się wzajemnie, jak zwykli kieszonkowi złodzieje.

I z tych wszystkich obrazów, przejmujących widziadeł, doświadczeń co nocnych sączyła się weń jakaś plugawa mądrość, jakiś system tajemny, rozprószony w setkach przesądów, nawpółświadomych odruchów.

Jan Orda pragnął uczynić wszystko, aby zwabic do siebie i na zawsze ująć w niewolę ten sam zimny uśmiech, który przejmował go niesamowitym dreszczem podziwu.

— Wolę pożerać, niż być pożartym — myślał.

Ale Orda nie pożerał nikogo. Usiłował wyciągnąć pazury, ale wtedy zpostrzegał ze wstydem, że ich nie posiada. Uśmiechał się, ale uśmiechem bolesnym. Wszystkie jego drapieżne wysiłki były smutną tragikomedją.

Straszliwe były chwile, kiedy wyczerpanie pozbawiało go trzeźwego poczucia rzeczywistości. Popełniał wtedy szaleństwa, przeciwne wszystkim swoim niezłomnym postanowieniom. Nie wiedząc, że jest zupełnie bezbronny wystawiał pierś obnażoną na razy okrutne. Rzucał się bez namysłu w otchłań nieszczęścia, jakby świadomie pragnął, aby stało się wreszcie coś strasznego, ale coby zmieniło całe jego dotychczasowe życie. W takich chwilach zanurzał się w złej fali z chciwym uśmiechem zadowolenia. Pragnął zniszczyć siebie samego, pogrążyć już raz w przepaść bez dna, gdzie w mrokach nieprzeniknionych żadna gwiazda nadziei nie świeci— ale zawsze jakaś siła tajemna zatrzymywała go na samym skraju czarnej gardzieli.

I zdawało się Ordzie, że jest zabawką w rękach

okrutnej potęgi, która chce się nim bawić jak najdłużej. Ile razy uśmiechało mu się szczęście, zawsze biegł naprzód, z odwagą szaleńca. Wszystkie złudzenia odżywały na nowo — zwątlona energja rosła i wracała mu siły, krążyła w nim, jak świeży dopływ zdrowej krwi, i barwiła młodzieńczym rumieńcem żółte, wynędzniałe policzki. Ale zawsze ta sama przeklęta ręka, która go przedtem chroniła, teraz rzucała go zpowrotem na to samo miejsce, skąd łeb swój już dźwigał.

I tak całe jego życie stało się walką z jakąś dziwną, nieprzeniknioną tajemnicą.

Orda zaciskał pięści i postanowił, mimo wszystko, broni nie składać.

Jeszcze w tych czasach, kiedy służył w wojsku, nauczył się żyć tak, jak można było żyć.

Orda wzruszał tedy ramionami i mówił sobie:

— Trzeba brać, co się da!

Postanowił tedy zadowalać się najdrobniejszemi okruchami powodzenia i czekać cierpliwie aż nadpłynie ku niemu niewołana, szumiąca powódź szczęścia — aż zobaczy, liżącą mu stopy, falę i na pieniącym jej grzbiecie rozwinie dumny żagiel.

Wierzył niezłomnie, że to stać się musi. A wtedy nadejdzie kres nędznego, plugawego życia. Fala, zanim popłynie dalej, zabierze ze sobą wszystko, co było nikczemnym brudem, osadem hańby i rozpaczy. A on, czysty i spokojny, będzie patrzył, jak w czerwonej łunie gasnącego słońca, w opuszczającym się zwolna welonie nocy znika, szemrząc cicho, mętna toń, co zabrała ze sobą całą jego złą przeszłość.

Czegóż innego mógł się spodziewać? Na cóż innego miał czekać, kiedy borykał się z losem i raz po raz uderzał o zimną, stalową ścianę zapory.

Wracał tedy znowu do rozmyślań, zaciekłych i dziwacznych, one wypełniały mu wszystkie południa i wieczory, rano spał, noce spędzał na grze.

Gorycz niepowodzenia wytrącała go z równowagi, płoszyła chwile spokoju, napełniała pogardą dla samego siebie. Był wciąż podniecony — grał niepewnie, źle.

Brnął w długi i sytuacje coraz bardziej trudne. O Jadźce starał się nie myśleć...

## V

Blisko już domu zatrzymał Ordę daleki odgłos dobrze mu znanej melodji. Jakieś wesołe towarzystwo maszerowało raźno ku niemu w takt piosenki żołnierskiej.

Zdawało mu się, że w migotliwem świetle latarni trzepocze się ona, jak ptak swawolny, i ćwierka zuchwale pomiędzy oślizgłemi murami szarych kamienic:

„Jakem maszerował, muzyczka grała,
Moja najmilejsza, moja najmilejsza z okna pa-
[trzała.
Ta-ra-ra.
Moja najmilejsza, moja najmilejsza z okna pa-
[trzała."

Wiatr zaszumiał nagle i zagłuszył ostatnie słowa. Orda zadumał się. Przypomniały mu się w mig okopowe zabawy, marsze pomiędzy mrocznemi lasami wołyńskiemi i noce, czerwonemi płomieniami ognisk rozjaśnione.

Blisko już niego zabrzmiał znowu rozgłośnie silny, młodzieńczy śpiew:

„Trzy nocki spała—to jest niewiele;
Lepiejby nam było, lepiejby nam było cztery
[niedziele.
Ta-ra-ra.
Lepiejby nam było, lepiejby nam było cztery
[niedziele."

Ten głos dobrze był mu znany, nie mógł to być

kto inny, tylko Janosik, Janosik kochany, stary druh, wszystkich bojów towarzysz, słynny z odwagi i zimnej krwi, adjutant trzeciego bataljonu.

Orda począł biec wąską ulicą i jakoż niebawem wyłoniła się z ciemności smukła, nigdy niezapomniana postać.

— Janosik, czemu się wydzierasz po nocy?

Tamten rozkrzyżował ramiona i wołał, wzruszony:

— Orda! psia twoja nędza, tyżeś to?!

Przywarli do siebie w mocnym żelaznym uścisku.

Tymczasem nadciągnęło całe towarzystwo.

Orda ledwo się z nimi przywitać raczył, tak był przejęty spotkaniem z Janosikiem. Zdążył tylko zauważyć dwóch znajomych z dawnego departamentu wojskowego.

Jakiś starszy jegomość wysunął się ku nim, zwracając na siebie uwagę. Orda zobaczył twarz zblazowaną, o obwisłych policzkach, wyblakłe oczy i usta napółdrwiące, uśmiechnięte.

— Co to, kolega wojskowy?

— Tak, panie dyrektorze — odparł Janosik — porucznik Jan Orda, dobry żołnierz, możemy go wziąć ze sobą, nie zrobi nam wstydu.

— Aa! doskonale, doskonale...

Pan dyrektor wyciągnął ku niemu wątłą, bezkostną prawie rękę i oświadczył uroczyście z niemałym naciskiem:

— Jestem Dzierzgowski—bardzo mi przyjemnie. My umiemy cenić starych żołnierzy...

Uderzył go znienacka przenikliwem spojrzeniem i rzucił niby uwagę przelotną, niby wyzwanie do rozprawy:

— Szkoda, że nie w mundurze...

Orda obrócił się ku niemu szybko i warknął:

— Przyjdzie czas — to włożę nowy. Na razie tylko łachmany zostały, w tych paradować niewesoły widok...

— Pan dyrektor — wmieszał się Janosik — nie zapomina nigdy o tem, że jest panem dyrektorem.

Dzierzgowski błysnął rzędem napółspróchniałych zębów.

— Należy zwalczać prądy przeciwne przy każdej nadarzającej się sposobności.

— Ja z żadnym prądem nie płynę — odparł spokojnie Orda — jestem tylko samotnym, wykolejonym człowiekiem.

— Nikt z nas się jeszcze nie wkoleił — zauważył melancholijnie Dzierzgowski, poczem machnął ręką, jakby chciał przerwać rozpoczętą rozmowę — ale co tam, nie psujmy sobie nerwów. Panie Bogusiński, dokąd idziemy?

Z za ich pleców wynurzyła się niepozorna, pocieszna figurka. Obleśny uśmiech zaświecił w półmroku, małe oczki zmrużyły się filuternie, szpilkowate wąsiki i capia bródka poruszyły się ku sobie, niby sznurkiem jednocześnie pociągnięte. Obrócił się w jedną, potem w drugą stronę, jak wyżeł, zwierzynę węszący, nosem pociągnął i nadspodziewanie poważnym, uroczystym głosem oznajmił:

— Panowie, proszę za mną, skręcamy na prawo.

— Tylko niech pan o tem pamięta, panie Bogusiński — rzucił Dzierzgowski — że jesteśmy ludźmi na stanowiskach...

— Nigdy jeszcze o tem nie zapomniałem, panie dyrektorze. Tajemnica przedewszystkiem. Tajemnica urzędowa.

Orda szedł razem z Janosikiem. Był mocno zadowolony, że nie potrzebuje wracać do domu, że może zapomnieć, choć na krótki czas, o wszystkich, trapiących go, zmorach. Nie odczuwał teraz żadnego zmęczenia i radośnie myślał o tem, że zamiast walczyć z bezsennością, znalazł się w towarzystwie kochanego przyjaciela. Trącił go ramieniem i zapytał:

— Cóż to będzie?

— Ano, idziemy sobie trochę „twarz wylakierować". To dobrze robi, nawet tak znaczna i poważna osobistość, jak sam pan dyrektor Dzierzgowski, twierdzi, że jest to od czasu do czasu potrzebne. A ja myślę, że po takiem łajdactwie lepiej się pracuje...

— A więc pracujesz?

— Tak, siedzę na wsi i niby to gospodaruję. Niby to jestem rolnik. No, ale od czasu do czasu trzeba zobaczyć Warszawę...

— Skądże wdepnąłeś w takie towarzystwo?

— Przypadkowo, zupełnie przypadkowo. Kiedy przyjeżdżam ze wsi, zawsze jestem spragniony ludzi i właściwie wszystko mi jedno kto — byle ktoś był. A oni zawsze coś ciekawego powiedzieć mogą. Graliśmy do tej chwili u Dzierzgowskiego w pokera. Wiesz, on z szaloną lubością gra w pokera. Podobno jest to jego jedyna i prawdziwa namiętność, reszta — zajęcie tylko poboczne. Żadne przesilenie polityczne nie może wprawić go w bardziej melancholijny nastrój, niż brak czwartego do partji. Jeśli zobaczysz go kiedy w nocy z twarzą pobladłą w dorożce, pędzącej na złamanie karku, nie myśl bynajmniej, że stało się coś niezmiernie ważnego, że może właśnie przed chwilą gabinet podał się do dymisji albo przyszła wiadomość o zwycięstwie aneksjonistów w Niemczech. Pomyśl sobie poprostu: — Dzierzgowski szuka czwartego!!

Orda wziął go za rękę i ścisnąwszy mocno, zawołał:

— Wiesz, Janosik, co ci powiem?

— No, słucham...

— Wiesz, to jest banda!.. Ty jeszcze, bracie, nie wiesz wszystkiego, ale niech ich zaraza ściśnie... mówię ci.

— Niech ich ściśnie — powtórzył Janosik — ale możemy się z nimi teraz upić.

Orda podniósł rękę do góry — uroczyście:

— Można, ale pierwszy i ostatni raz...

Tymczasem całe towarzystwo zatrzymało się przed ciemną bramą jakiegoś ponurego domostwa. Ozwał się znowu uroczysty głos Bogusińskiego:

— Panowie! proszę teraz o zupełny spokój...

Zazgrzytał klucz w bramie, Bogusiński szeptał chwilę ze stróżem, poczem wiódł ich przez podwórze aż do krętych, drewnianych schodów o wydeptanych stopniach i koszlawej poręczy. Zionęła ku nim piwniczna stęchlizna i jakieś obrzydliwe kuchenne zapachy. Wdrapali się na pierwsze piętro. Bogusiński zapukał do drzwi dwa razy lekko i dwa razy mocno. Na ten sygnał umówiony rozwarły się oba skrzydła, jakby za dotknięciem tajemnej sprężyny. Buchnęła fala jaskrawego światła, ozwały się buńczuczne dźwięki muzyki.

Sfora lokai i kelnerów gięła się przed nimi w niskich ukłonach, wymachując białemi serwetami. Porywano im z małpią zręcznością kapelusze, palta i laski. Zjawił się niebawem i sam właściciel —olbrzymi drab o atletycznej budowie z obleśnym uśmiechem na bezczelnej gębie. Zwrócił się do Bogusińskiego z pytaniem dyskretnem:

— Gabinecik?

— Tak, zupełnie osobny, nie chcemy być widziani...

— Wedle rozkazu, panie dobrodzieju, u mnie dyskrecja—to hasło.

Natychmiast przeprowadził ich wąskim korytarzem. Zewsząd płynął przytłumiony odgłos rozmów, przeplatanych uśmiechem, szczęk szkła, zmieszane w jakąś kakofonję, nieustającą melodję powiewnych walców, ognistych oberków i żałosnych cygańskich romansów. W jednem miejscu słychać było dźwięki mazura, okrzyki i tupanie, tak wściekłe, że pan właściciel czuł się zniewolonym do lekkiego objaśnienia:

— Młodzi dziedzice trochę za bardzo hałasują...

— Nic dziwnego, mają dużo pieniędzy i dużo temperamentu — zauważył Dzierzgowski.

— Tak, to są najlepsi goście — odparł porozumiewawczo gospodarz i uśmiechnął się tak rozkosznie, jakby widział już płynącą stamtąd falę banknotów.

Gabinet był bardzo obszerny i uzbrojony we wszystko, co może być potrzebne zabłąkanym tu poszukiwaczom przygód pospolitych. Dwa stoły, pokryte śnieżno-białemi obrusami, lśniły na tle ścian ciemno-czerwonych, przesycających całe wnętrze przytłumionym odblaskiem światła. Pianino, kanapa i duże, miękkie fotele dopełniały reszty. Zdawały się narzucać zgóry przewidziany i ustalony już bieg rzeczy. Wszystko było potrzebne i naprzód przygotowane. Najpierw kolacja przy stole, potem trochę podniecającej muzyki, trochę tańca, a wreszcie finale na starożytnej, olbrzymiej kanapie, wygniecionej już przez setki ciał ordynarnych i rozpustnych.

— Ten pokój — zauważył Dzierzgowski — dziwi się zapewne, że znalazło się w nim po raz pierwszy jakieś oryginalne towarzystwo — bez kobiet.

— Panie dyrektorze — oświadczył natychmiast gorliwie Bogusiński — jedno skinienie małego paluszka, a będą i kobiety...

Ale Dzierzgowski skrzywił się niechętnie.

— Znam ja te pańskie kobiety. Ostatnim razem skompromitował się pan doreszty... Ach! moi panowie, w takich sytuacjach przypominają mi się zawsze rozkoszne czasy, spędzone w Pitrze.

— Było się wtedy młodym...

— Ach, nie to, nie tylko to... Warszawa, że się tak wyrażę, nie posiada jeszcze kultury rozpusty. Stawia na tem polu pierwsze kroki...

— Miejmy nadzieję — zauważył Janosik — że z rozwojem życia politycznego i to nastąpi.

Wszyscy uśmiechnęli się, jedni ironicznie, drudzy z rozkoszną tęsknotą.

— Ach, mój Boże, Petersburg — to było życie! Po pracy człowiek przebierał się i mknął lichaczem daleko za miasto. Tam już wszyscy byli zebrani. Panie w balowych sukniach, panowie we frakach. Tak, moi panowie — zawsze szyk, elegancja. A po tych przemiłych zebraniach towarzyskich czekały nas wszystkie rozkosze nocy petersburskich. Ach, z jakąś tęsknotą wspominam te cudowne apartamenciki dwupokojowe z łazienką, te misterne cacka, stworzone do spotkań dyskretnych, zawsze dobrego zapachu pełne — te dziewczyny miłe, skromne, doskonale wychowane. Doprawdy, nieraz się nie wiedziało z kim się ma do czynienia.

— Dopiero nad ranem słony rachuneczek — szydził Janosik—przekonał pana, że ta wdzięczna, subtelna istota nie oddaje panu swego wiotkiego ciała zupełnie bezinteresownie.

— Trudno, mój panie—odparł z zimnym uśmiechem Dzierzgowski—ze wszystkich miłości najwyżej stawiam miłość płatną, ta bowiem najmniej zostawia złudzeń i żadnych nie wymaga zobowiązań. My, politycy, na inną miłość nie mamy czasu...

## VI

Wnoszono właśnie pierwsze baterje wódek, wielkie półmiski zimnego mięsa i małe salaterki, pełne najrozmaitszych przekąsek.

Po nasyceniu pierwszego głodu, rozmowa potoczyła się wartko, podniecana ustawicznym dopływem alkoholu. Wzmagała się coraz bardziej rozlewność uczuc, wyłaniała się co chwila nieposkromiona chęć obnażenia własnego wnętrza. Wszystkie tajemne o sobie zarozumienia, ambicje, ukrywane zazwyczaj skrzętnie, teraz wypełzały powoli nawierzch, jak glisty po deszczu.

Orda, który był wciąż jeszcze trzeźwy, słuchał tego wszystkiego z dziwnem uczuciem pogardy.

Tuż, obok niego siedzący doktór Władysław Świrski, w jednej osobie historyk, publicysta, literat, dziennikarz i polityk uderzał właśnie pięścią w stół i krzyczał na cały głos:

— Społeczeństwo polskie trzeba wziąć za łeb silną ręką. Społeczeństwo polskie musimy wychować w twardej szkole elemantarnej, elementarnej powtarzam. I właśnie my, tylko my, posiadamy do tego prawo.

Orda uśmiechał się lekceważąco. A więc, to pan Świrski będzie wychowywał polskie społeczeństwo. Doskonale — ale trzeba zapytać jakie zdolności i właściwości wykazał po temu? Pamiętał dobrze Orda tę pocieszną chwilę, kiedy po zajęciu przez Niemców Warszawy, ów gaduła, deklamujący przy każdej sposobności o czynie polskim, stanął sam wobec zagadnienia, które już dawno na użytek innych rozwiązał. Jakże się miotał wówczas w paroksyzmie trwogi i niepewności. Wybladły, podniecony biegał od jednego do drugiego, radził się, co czynić, poczem zapewniał gorąco, że pomiędzy jego słowami, a tem, co uczyni, nie będzie nigdy żadnego rozdźwięku. A oczyma, mętnemi od strachu, zdawał się błagać każdego, aby go zatrzymywał, aby mu powiedział, że tu właśnie jest niezbędnie potrzebny, niezastąpiony, że nie powinien narażać się pod żadnym pozorem. Wreszcie zdołał, na skutek zabiegów usilnych, zaciągnąć się do Legjonów w charakterze korespondenta wojennego. Wtedy zaopatrzył się natychmiast w mundur, szablę, buty z ostrogami i na rachunek przyszłości rozpierał się przez długi czas we wszystkich kawiarniach z miną dumną i zuchwałą. Wreszcie wyjechał, ale pierwszy świst kuli wypłoszył tego nędznego tchórza z okopów. Uciekł z pola walki tak nikczemnie, że nikomu nie przyszło nawet na myśl

pociągnąć go do jakiejkolwiek odpowiedzialności. Po jakimś czasie ukazał się znowu na widowni. Skleciwszy kilka lichych, aktualnych broszurek roznosił je po redakcjach, wraz notatkami, pisanemi własnoręcznie o sobie. I oto, rzecz dziwna. Mało kogo lekceważono tak, jak jego. Wystarczało, aby pokazał się, a już wszyscy z politowaniem kiwali głowami. Skoro jednak począł tworzyć się rząd polski, powierzono mu odrazu stanowisko odpowiedzialne, zczasem stał się nawet przybocznym sekretarzem jednej z najważniejszych osobistości. Od tego czasu począł unikać skrzętnie dawnych znajomych, stał się małomówny i skupiony, jak przystało dyplomacie, ubierał się zawsze czarno z wyszukaną elegancją, nawiązał stosunki odpowiednie i nie znajdował już nic na przeszkodzie do dalszej karjery.

I oto teraz, podniecony kilkoma kieliszkami wódki, odsłaniał z dziwnym bezwstydem swoje poglądy.

Orda zdziwił się niepomiernie: tylko jeden Janosik uśmiechał się ironicznie, wszyscy inni słuchali go z uwagą.

— Wtedy się dopiero uspokoję—krzyczał Świrski—kiedy będzie polska policja i polscy żandarmi. Bo dopiero wtedy, kiedy na nasz rozkaz stłumiona zostanie krwawo pierwsza demonstracja uliczna, obudzi się strach przed władzą polską, zrodzi się szacunek dla niej.

— Ach, więc tak wyglądają wasze marzenia— zauważył Janosik.

— A tak, mój panie — perorował w dalszym ciągu zaciekle Świrski — rząd, który nie posiada siły, jest zerem, ma ręce skrępowane, nie może niczego dokonać, nikomu nakazać posłuszeństwa. Zamiary jego i cele zapadają się w próżnię. To przecież jasne. Musimy stworzyć czem prędzej cały aparat państwowy. I niech tam mówią sobie, co

im się podoba, a ja stwierdzam otwarcie, że z mojego punktu widzenia, policja polska równie potrzebna, jak szkoła, a może w tej chwili nawet potrzebniejsza.

— Niewątpliwie, niewątpliwie — dorzucił Bogusiński i z lubością, niby smakosz, przeżuwający ulubioną potrawę, wycedził powoli—policja polska...

Zabrał głos Dzierzgowski, który dotychczas milczał, zajęty jedzeniem. Teraz już syty, zadowolony i uśmiechnięty wytarł po raz ostatni usta serwetą i zadzwonił w szklankę na znak, że pragnie mówić. Wszyscy zwrócili się ku niemu.

Dzierzgowski zaczął od tego, że pragnie mówić nie jako polityk, ale jak zwykły człowiek. Tak mało się ma teraz sposobności, aby móc wypowiedzieć się szczerze i aby szczerze odpowiedzieć na ten cały szereg zarzutów, krążących dokoła nich—ludzi, zajmujących dzisiaj stanowisko odpowiedzialne, niby rój złych owadów.

— Moi panowie, chcę zrzucić z siebie pewien ciężar nieznośny. Najzwyklejszy, powtarzany codziennie zarzut, jaki się przeciwko nam zwraca— mówił Dzierzgowski — można powtórzyć w tych dwóch słowach: jesteście karjerowicze. Mój Boże! jakiż to właściwie śmieszny zarzut. Bądźmy szczerzy. Przecież nie istnieje na dzisiejszym świecie ani jeden człowiek, któryby nie dążył do sui generis karjery. Należy tylko żądać, aby owa karjera była w zgodzie z potrzebami społeczeństwa, aby każda jednostka, dążąc do swoich osobistych celów, umiała wyłonić z siebie pewne cechy dodatnie, któreby posiadały doniosłą wartość dla całej gromady. Zapewne — ludzie, którzy mieli odwagę sięgnąć po pierwsze stanowiska w tworzącym się rządzie polskim, musieli mieć poczucie własnej wartości i odwagę, aby powiedzieć otwarcie:—„Jesteśmy godni tego, poco sięgamy; jesteśmy godni, aby robić tak zwaną karjerę".—Wypomina się nam również, żeśmy

do rozmaitych należeli partyj politycznych, że spotkali się na jednem polu pracy ludzie przekonań odmiennych, którzy nieraz przez całe życie występowali wrogo przeciwko wszelkiemu nawet pojęciu państwowości. Ale nie zapominajmy o tem, że walczyli oni zawsze z państwem wrogiem, że musiały się zmienić ich przekonania, musiały inny wziąć kierunek dążenia i cele, skoro daną im została możność pracowania na gruncie własnej, polskiej państwowości. Au contraire, możecie o mnie naprzykład powiedzieć, że przez całe życie reprezentowałem tak zwany kierunek ugodowy. Nie myślę bynajmniej wypierać się przeszłości. Nie przeczę —byłem ugodowcem, a nie jestem nim teraz—dlatego poprostu, bo—stało się to niepotrzebnem, bo czasy wielkich przełomów narzuciły mi nową orjentację polityczną i nową ukazały drogę. Zdecydowałem się oddać swoje siły na usługi młodemi państwu polskiemu. I oto powie znowu ktoś: —„Dzierzgowski zrobił karjerę, Dzierzgowski ma pensję szefa sekcji, Dzierzgowski ma stanowisko nie bylejakiego znaczenia."—Tak, to wszystko prawda. Ale, moi panowie, ktoś przecież musi mieć odwagę to stanowisko objąć, ktoś musi pracować, działać, wytwarzać energję twórczą, pobudzającą innych do czynu, ktoś musi ująć ster silną dłonią, aby okręt płynął. I jest nas wielu takich sterników i jest wiele łodzi, płynących po wzburzonych falach. I oto, moi panowie, należałoby się zapytać czy ktoś z tych ludzi, zarzucających nam najniższe pobudki, zdaje sobie sprawę, jak ciężkie nas nieraz trapią niepokoje, ile jest w naszem życiu wypadków, zwątpień, straszliwych przesileń, wzmagań się z najokropniejszemi potęgami. Oto, już świta nadzieja, oto już widać ląd wymarzony. Wtem na horyzoncie ukazują się chmury i szalona burza popycha nas znowu na otwarte morze. I cóż jest naszych trudów nagrodą, czy zdobywamy rozgłos, sławę?

Nasza praca, nasza działalność nie może być nigdy popularną, wszystko to, co zdziałaliśmy i co jeszcze zdziałamy, pozostanie na zawsze w ukryciu. Możemy o sobie śmiało powiedzieć, że pracujemy w podziemiach; nasz trud, nasze zabiegi i wysiłki niesłychane to tajemnica, nigdy nieodkryta. Od czasu do czasu powie tylko jeden i drugi: —„Oto ci panowie, którzy robią karjerę."

Dzierzgowski uśmiechnął się ironicznie i kończył:

— Niech sobie mówią, co im się podoba. Trudno, abym pod koniec mojego życia zaczął chodzić we włosiennicy, abym zrezygnował z moich potrzeb życiowych, z moich przyzwyczajeń do pewnego wykwintu, który stał się drugą naturą. Trudno, abym się starał o posadę starszego woźnego w rządzie polskim, skoro moje zdolności dają mi prawo sięgnąć pocoś więcej.

— Wszyscy jesteśmy ludźmi, którzy już czegoś dokonali — potwierdził pośpiesznie Świrski — ale o tem zapominają najczęściej nasi przeciwnicy...

— Panowie natomiast zapominacie o obecnych swoich powinnościach—przerwał nagle Bogusiński, wskazując nalane kieliszki.

— Oto jest człowiek trzeźwy nawet w pijaństwie!—wołał Dzierzgowski.

— Ten napewno zrobi karjerę—dodał Świrski.

— Gdyby stanęła przede mną w tej chwili jakaś czarodziejska wróżka i powiedziała: — „Wybieraj, wszystko do ciebie należy!"—powiedziałbym jej: —„O piękna pani, uczyń mnie dyrektorem polskiej policji..."

— A cóż, u licha, z tą policją—huknął zniecierpliwiony Janosik.

— Panu to do smaku nie przypada?—krzyczał Świrski, wznosząc wgórę pięść zaciśniętą.—Ale nic nie pomoże, prędzej czy później, potrafimy zdobyć siłę i wtedy pokażemy wszystkim, co umiemy... Zmusimy do posłuszeństwa wszystkich malkonten-

tów, wszystkich anarchistów, włóczących się po Polsce, zatruwających atmosferę społeczną jadem niezadowolenia, ukazujących nie cele realne, ale jakieś chimery nieuchwytne...

Janosik, któremu alkohol nieco zawrócił w głowie, chwycił nagle rozedrganą pięść Świrskiego i jednym mocnym ruchem przygwoździł ją do stołu. Świrski, blady ze strachu, zamamrotał niewyraźnie:

— Mój panie, co to ma znaczyć?

— Nic—odpowiedział Janosik z przejmującym spokojem—chciałem tylko panu pokazać, że ta pięść jeszcze niewiele warta. To słabiutka piąsteczka, jak u niemowlęcia, pocóż nią wygrażać ludziom dorosłym?!

— Zjadł go—oświadczył ze śmiechem Dzierzgowski—panie Świrski z tymi żołdakami niema co zaczynać. Oni nie rozumieją dyskusji politycznej—zaraz używają przemocy fizycznej.

— Panowie, słuchałem cierpliwie wszystkiego, coście tu wywodzili—odezwał się nagle Janosik—i pozwolicie, że odpowiem parę słów, które będą może w niezupełnym związku...

— Dobrze, niech mówi ten człowiek, który nas chce połknąć w łyżce wody—zawołał Dzierzgowski—udzielam panu głosu, ale najpierw wypijemy.

Po tej ostatniej kolejce wszyscy byli już podnieceni nad miarę. Janosik powiódł dokoła roziskrzonemi oczyma.

— Przedewszystkiem pan, panie Dzierzgowski, byłeś łaskaw poruszyć sprawy zupełnie zbyteczne. Pańska karjera nic mnie nie obchodzi. Pytam się poco używać tyle słów na sprawy tak bardzo błahe?

— Nie zawadziłoby trochę uprzejmości—syknął Bogusiński.

— Nic nie szkodzi! nic nie szkodzi! — darł się na całe gardło Dzierzgowski—nawymyślaj nam jeszcze i ty, panie żołnierz. A my potem tobie nawymyślamy. O tej porze można się tylko kłócić.

— Panowie! — wołał Janosik — nic mnie to nie obchodzi czy zrobicie karjerę, czy też nie! Radzę wam jednak, abyście zbytnio nie ufali w swoją przyszłość. Wiadoma rzecz, siedzicie, jak na wulkanie. Jesteście dopiero pierwszym osadem. I dlatego, przy najmniejszym wstrząsie, wydaje wam się, że zlatujecie ze swoich foteli. Stąd zbytnia nadwrażliwość. Stąd i tęsknota do siły, która jest niczem innem, jeno pragnieniem ustalenia waszych stanowisk — zmartwieniem, że was tak bardzo lekceważą. Ale to zagadnienie małej wagi. Obojętny jest los, zarówno wasz, jak tych, co po was przyjdą. U licha! — poco wydymać pokątne zmartwienia do olbrzymiej potęgi?!

Janosik uderzył pięścią w stół i huknął z całej mocy:

— Mówię o tem tylko dlatego, aby wykazać, że zatopieni w drobnostkach i głupstewkach osobistych, nie widzicie nic z tego, co się wokoło was dzieje. Panowie! wasze prywatne troski nie są wszystkiem i polityka nie jest wszystkiem. Panowie! otwórzcie oczy na to chociażby, co ja sam widzę jasno, a co was, zdaje się, wcale nie obchodzić.

## VII

Nastała cisza, cisza przejmująca... Janosik stał przed nimi wyrosły, smukły, jak górski świerk, z twarzą skupioną i oczyma rozżarzonemi zapałem niepohamowanym. Macały go nieśmiało, ostrożnie, spojrzenia oślizgłe ócz wybladłych, jakby chciały mu ukraść gorejący płomień i ożywić zdawna wystygłe popieliska. Tylko jeden Orda patrzył na niego z zachwytem. Zdawało mu się, że to wszystko, co było w nim utajone, nawpółświadome, teraz przybrało postać myśli bystrych, że wyzwalały się głęboko ukryte tęsknoty, marzenia i uczucia, których on sam nawet pojąć nie zdołał. Jakaś lepsza część

duszy oderwała się własną mocą i oto roztacza przed nim kuszące uroki.

— Upłynęło już wiele czasu od chwili, kiedy z zimowych żołnierskich leży wróciłem wraz z innymi do kraju — mówił dalej Janosik — i oto cały ten okres jest okresem jednego wielkiego zdziwienia, jednego rozczarowania. Jakto, jesteśmy nareszcie w swoim kraju, w samem sercu Polski, a przecież żre nas wciąż gorsza tęsknota, niż tam, w baranowickich koszarach. I kiedy wiatr świszcze w oczy na mazowieckich równinach, każdy z nas woła do niego: — „Wietrze! hej wietrze! weź mnie na swoje skrzydła i unieś stąd daleko, bo mnie tu szare, głupie życie ściska plugawą dłonią za gardło." I gdyby mi kto tak oddał moją budę w okopach nad Styrem czy Stochodem, wołyńskie bagna, żołnierską nędzę, zimne noce i długie, smutne rozmowy przy ognisku — tobym tam zaraz ptakiem poleciał tej samej chwili, choćby właśnie największe kuferki leciały. I powiedźcie mi, panowie, którzy jesteście wyćwiczeni i zgrabni, jak tancerze na linie, powiedźcie mi, prostemu człowiekowi, który nie jestem ani szefem sekcji, ani dyrektorem żadnego biura, tylko urlopowanym polskim żołnierzem, powiedźcie, dlaczego jest tak, a nie jest inaczej?... I wszystkim nam jest droższem to dawne, zbójeckie życie, niż wszelki dostatek pierwszego posiadania. Jeszcze raz pytam — dlaczego? Może to nieuleczalna choroba, może to jakaś zaraza tajemna, która do końca życia będzie sączyć swoją truciznę we wszystkie chwile spokojne ale może to jeszcze coś więcej, niż przejmujący rozdźwięk pomiędzy rzeczywistoscią, a marzeniem, może to jakaś wartość odepchnięta, wzgardzona, wydana na łup pospolitości, ośmieszona przez byle kogo, może to płomień, który się palił kiedyś jasno, a teraz gaśnie, tłumiony powszedniością. I gdybyście, panowie, patrzeć umieli, tobyście zobaczyli, że w tej groma-

dzie wszelkiego rodzaju awanturników, obieżyświatów, szulerów, drapichrustów więcej jest jeszcze dzisiaj materjału palnego, niżby się to wam zdawało. Ale tej siły rozrzutnej, młodzieńczej, skłonnej do wszelkiego poświęcenia, bujnej, aż do szaleństwa, nikt nie chce i nie umie w jedno łożysko skierować. Rozlewa się ona małemi strumykami, płynie leniwo po wykrotach, zmienia się z wartkiego strumienia, co huczał po skałach, na leniwą, cuchnącą wodę bagniska. Odrzucono nas, jak strzęp niepotrzebny, jak łachman niegdyś paradnego mundura, nie bacząc na krew i pot, któremi nasiąknął. — „Jesteście już niepotrzebni!"—oto słowa okrutne, które słyszymy na każdym niemal kroku. Jeżeli kiedyś trzeba będzie znowu krwi, przypomnimy sobie o was, panowie awanturnicy. Teraz należy się cieszyć tem, że jest Polska, Polska, o którą walczyliście. Wy wszyscy, moi panowie, wciąż w niezliczonych zwrotkach jednej i tej samej piosenki to powtarzacie. Wszystko, cokolwiek jest złego, to zboczenia wojenne, które znikną z pierwszem tchnieniem pokoju. A wtedy wrócimy natychmiast do bułek za dwa grosze i dawnych ideałów. I oto, panowie, pytanie zasadnicze, niesłychanie ważne: kto jest bliższy prawdy? Czy wy, spokojni, zadowoleni, wpatrzeni w promienną przyszłość, którzy, jakby przez sen, wołacie tylko po raz tysiączny: — „Silny rząd i silna armja!"—czy my, którzy włóczymy się z sercem chorem po świecie, podobni do jaskółek, co przed burzą śmigają chybotliwym lotem nisko nad wodą.—My!!

— Wy?! — syknął nagle Świrski — nieuleczalni histerycy...

— Kłamstwo! — huknął z całej siły Janosik — może mówię głupio, ale czuję w sobie mocny rdzeń prawdy. Tak tworzy się u nas szkoły, uczy się dzieci historji polskiej, urządza się demonstracje, święta narodowe, organizuje się urzędy, jednem

słowem, sprawiamy sobie nagwałt to wszystko, co należy do elementarnych pojęć tak zwanej cywilizacji. Zachwycamy się bez miary takiemi pojęciami, jak polski gabinet, polski minister, polskie przesilenie, polska obstrukcja i t. d. Wszystkie nasze ambicje zmierzają do tego, aby zdobyć sobie zaszczytne miejsce w ogonie wszelkiego naśladownictwa. Posuwamy się po wydeptanych ścieżkach społeczeństw przedwojennych. Przeżuwamy zaledwie to, co zostało już strawione przed wojną. A przecież nie trzeba być na to fantastą, ani poetą, ani marzycielem, ale zwyczajnym, praktycznym człowiekiem, aby zrozumieć, że się nasuwa nowy porządek rzeczy. Nastąpiły przemiany gwałtowne, zwycięstwa, rozczarowania, upadki i wzniesienia. A panowie, co macie wobec tego wszystkiego do powiedzenia? Powtórzycie raz jeszcze: silny rząd, silna armja! kto inny powie znowuż co innego. U licha, czytałem to już w tysiącach artykułów wstępnych. U licha, to stało się nudne, jak romans angielski. Mówicie: precz z bezczynnością! bo bezczynność demoralizuje naród, ale sami tę bezczynność wytwarzacie waszą mądrą celowością. Niema pomiędzy wami ani jednego światłego wędrowca, któryby usiłował znaleźć nową drogę. A przecież, prędzej czy później, trzeba będzie tych nowych dróg szukać. Chcecie się oprzeć na społeczeństwie, ależ to społeczeństwo was nienawidzi. Nie potrafiliście nietylko obudzić do siebie zaufania, ale nie zdołaliście spostrzec i zastanowić się, jakiem jest ono w istocie. A przecież w ciągu wojny ta gromada dobrodusznych poczciwców przeobraziła się w stado szakali i wilków. Czy znajdzie ktoś taki, co nad niem zapanować potrafi i wydobyć na powierzchnię życia jakąś silną zbiorową wolę czynu. Czy to się także zmieni z chwilą zawarcia pokoju? Pytam znowu, proszę mi nareszcie odpowiedzieć!

Ale Dzierzgowski, który tymczasem wychylił

znowu kilka kieliszków, w nastroju rozlewnej serdeczności, przyskoczył do Janosika i obejmując go ramionami, począł wołać:

— Janosik, djable jeden! dobrze gadasz, świętą prawdę mówisz, ale napij się ze mną wódki!

— Dobrze, napiję się, ale jeżeli będzie kiedyś w Polsce prawdziwa rewolucja, pierwszego pana powieszę na latarni...

Dzierzgowski śmiał się, jak histeryczka, aż do łez prawie, i krzyczał bez opamiętania. Bogusiński sprawnie napełniał kieliszki. Wychylili je wszyscy jednym haustem. Świrski, patrząc z podziwem na Janosika, zauważył:

— Ale z pana gorący człowiek... kiedy byłem młodszy, byłem podobny do pana.

Tymczasem Dzierzgowski chwycił Janosika znowuż w objęcia.

— Szelmo, łotrze jeden, anarchisto! O co ci chodzi, czemu na nas psy wieszasz? Co chcesz wygadać? Potrzebujesz posady, dobrze, będziesz miał posadę, jak Boga kocham! chcesz być przy mnie urzędnikiem do szczególnych poruczeń?...

— Pluję na wszystkie posady, które są i będą — syknął Janosik.

— To może chcesz dla kogo, może masz krewnego, przyjaciela, powiedz, a jakiem Dzierzgowski, słowa dotrzymam...

— Niech pan korzysta, taka chwila nie często się zdarza...

Janosik oprzytomniał nagle i przypomniał sobie Ordę, który patrzył na nich dziwnie błyszczącemi oczyma. Tak, trzeba korzystać. Orda tułał się już oddawna po bruku warszawskim bez żadnego chwilowego nawet zajęcia. Wiedział o tem Janosik. Ile razy bowiem wpadał do Warszawy, zawsze docierały do niego złe wieści o Ordzie. Widywano go w najgorszych spelunkach z miną stałego gościa.

Janosik, powziąwszy szybkie postanowienie, chwycił Dzierzgowskiego za rękę i krzyknął głośno:

— Słowo się stało, kobyłka u płotu...

— Dzierzgowscy nigdy słowa nie łamali...

— A więc, oto jest mój przyjaciel, jeden z najlepszych oficerów Żelaznej Brygady, Jan Orda, który od roku szuka napróżno ujścia dla swojej energji i parszywieje w warszawskiej bezczynności. Weźcie go i dajcie mu pracę godną...

Dzierzgowski otarł ręką pot, perlący mu się na skroniach, i rzekł uroczyście:

— Nie umiem nigdy słów na wiatr rzucać. Panie Orda, jeśli starczy ochoty, proszę stawić się jutro albo, powiedzmy, pojutrze o dwunastej w pałacu, wie pan, gdzie jest pałac. Proszę wejść do mojego gabinetu bez meldowania, będę czekał na pana.

Orda, napółzmieszany, napółzdziwiony, uścisnął wyciągniętą doń rękę Dzierzgowskiego i ledwo zdołał wymamrotać:

— Dziękuję, panie dyrektorze...

Opadł na krzesło, zmożony bezsennością, alkoholem i dziwnem, niespodziewanem wydarzeniem. Czyżby naprawdę zbliżał się kres wszystkich jego udręczeń i trosk codziennych, czyżby naprawdę miały zniknąć w ciemnościach okropne widziadła gorączkowych stanów? Głębokie wzruszenie przeorywało raz po raz zbolałą duszę, wydobywając na powierzchnię kruszec szlachetny. Dziwił się własnemu, nieznanemu bogactwu, podobny do nędzarza, który, odkrywszy wśród żałosnych łachmanów drogocenne kamienie, pieści się ich blaskiem wspaniałym. Odnajdywał w sobie moc, kruszącą skały i siłę, cichej, niezłomnej ofiary. Rozrzewnienie niepojęte wstrząsało każdą jego cząsteczką, szloch, ukryty w piersiach, zawodził raz po raz, ściekały w głąb łzy, niby deszcz ożywczy, któremu spalona ziemia otwiera radośnie swe łono. Poczuł się nagle

Orda bliższym wszystkim ludziom — inaczej teraz patrzył na Dzierzgowskiego, Bogusińskiego, nawet na Świrskiego. Chciało mu się zawołać głośno:

— Niesprawiedliwy byłem dla was, sam przecież złe życie wlokę, ale więcej już tak żyć nie będę!..

Tymczasem oni hałasowali coraz głośniej, usiłując przekrzyczeć się wzajemnie. Orda słuchał, uśmiechając się przyjacielsko.

Wtem drzwi gabinetu rozwarły się nagle, ktoś zajrzał do środka, minęły jakieś twarze blade, zmęczone, a pomiędzy niemi zajaśniały duże, dobrze znane, oczy i małe, rubinowe usta. Orda zerwał się, jakby nożem pchnięty, i zobaczył Jadźkę, która cofnęła się szybko. W tej samej chwili nadbiegł gospodarz, wołając:

— Ale nie tu, nie tu, proszę państwa, tu zajęte.

Orda poczuł ukąszenia gada w samo serce. Szybko rozlewał się trujący jad po całem ciele. Zmętniały oczy, gardło zda się ściśnięte żelaznemi kleszczami, a wrzący niepokój rośnie, jak huragan...

Orda zerwał się nagle i skoczywszy ku wyjściu, począł krzyczeć z całych sił:

— Jadźka! Jadźka!

Otworzył jedne i drugie drzwi. Patrzyły na niego z przerażeniem jakieś obce, wybladłe twarze.

Zaklął ordynarnie, ciężko, jeden raz i drugi.

Chwycili go wreszcie, niemal jednocześnie, Janosik i gospodarz. Orda szarpnął się wściekle, ale tamci trzymali go stalowym uściskiem.

— Puście, zabiję ją... nie może być inaczej...

— Nie, nie puścimy — słodko tłumaczył gospodarz — aż się pan dobrodziej uspokoi. Poco robić awantury o jedną kobietę? Panie dobrodzieju, to nic nie pomoże...

Wreszcie uczuł, że traci siły. Zdawało mu się, że leci w przepaść bez dna...

Oprzytomniał dopiero w jakiejś sali olbrzymiej, oświetlonej jaskrawo, pełnej gwaru hałaśliwych rozmów i hucznej, opętańczej muzyki.

Otworzył oczy i oczom nie wierzył. Koło niego wszystko — „stara wiara". Był wesoły Rokita, był ponury kapitan Borzęcki, dla swej odwagi zwany „Szaleńcem", był Cis z twarzą dziecka, był zawsze zamyślony komendant karabinów maszynowych — Biegański, a tuż przy nim siedział jedyny cywil, Janosik, podpierając go ramieniem.

Skoro zobaczyli, że wraca mu przytomność, poczęli wołać jeden po drugim:

— Orda, kiepski pijaku, hańbisz godne towarzystwo, wstawiać już nie umiesz.

— Zasnął, jak niemowlę na chrzcinach.

— Chory jest, głowę mu to cywilne życie nadpsuło.

— Leczyć go — nalejcie mu antidotum.

Orda, niezupełnie zdając sobie sprawę z nagłego przeobrażenia, trącił Janosika i cicho spytał:

— Co to jest — gdzie tamci?

— Ludzie na stanowiskach cofnęli się w obawie przed skandalem na zgóry przygotowane pozycje.

I Janosik, zwracając się do wszystkich, krzyknął mocnym głosem:

— Panowie! niech żyje stara wiara!

— Niech żyje Żelazna Brygada!—powtórzył, jak echo, Orda.

A Rokita, uśmiechając się do Borzęckiego, wołał tak, jak kiedyś na okopowej hulance:

— Muzyka, kozaczek pana kapitana!

Ponury „Szaleniec" huknął pięścią w stół i przejmującym, dziką żałością przepojonym, głosem warczał:

— Niema już ziemianek, ani relutońskiej muzyki. Służysz, bracie, psia twoja nędza, w kraju

rodzinnym, rekruta polskiego musztrujesz, kochanego kmiotka albo jakiego niedoszłego paskarza, co z rozpaczy do armji polskiej wstąpił, obuczasz taką szelmę jak karabin w niezdarnej łapie trzymać i czekasz, czekasz, aż nas wszystkich nareszcie djabli wezmą...

— Nie wezmą—zapiszczał cienkim głosem Biegański — Żelazna Brygada twarde ma życie. Przebije się i wywieje, kiedy trzeba i z Karpat na Syberję drogę znajdzie.

— Panowie!—wołał Rokita—słuchajcie, co wam powiem i rozważcie we łbach twardych. Leżałem kiedyś ranny w szpitalu polowym, a obok mnie leżał oficer niemiecki. Gadaliśmy ze sobą całemi dniami — nic lepszego nie było do roboty. On był człowiek prosty sobie — w cywilu buchalter w jakiemś tam wielkiem przedsiębiorstwie handlowem, a w czasie wojny oficer linjowy, oficer pierwsza klasa. Jak to u nich—maszyna, psia krew, nie człowiek. Warto było posłuchać, gdzie ten spokojny, zimny pan wędrował. Zdeptał wszystkie fronty, bronił Prus Wschodnich, widział rozbitą armję Samsonowa, zdobywał twierdze francuskie, bił się w Karpatach, był pod Gorlicami, wkraczał do Warszawy i aż pod Białowieską puszczę wędrował, przeszedł całą Serbję i Rumunję, był instruktorem na palestyńskim froncie, zawadził i o Albanję, po trzykroć wracał w straszliwe piekło zachodniego frontu. I kiedy go słuchałem, zdawało mi się, że taki człowiek, to już prawdziwy żołnierz, najprawdziwszy, jaki może być, który nic innego w życiu robić nie potrafi. Ale wiecie, panowie wiara, co on mi raz powiedział. Powiedział ni mniej, ni więcej, że najpiękniejsza chwila w jego życiu wtedy nastanie, kiedy wróci do swego kraju, włoży pantofle i zasiadłszy na zydelku przy biurku, zacznie wpisywać pozycję za pozycją w wielkich buchalteryjnych książkach. — „Musi tam dużo roboty zalegać!"—raz po raz powta-

rzał. I wtedy pomyślałem sobie, panowie wiara: ja i ten oficer niemiecki, to dwaj ludzie do siebie niepodobni. Bo ja już w głupiem życiu swojem spokoju nigdy nie zaznam, pantofli włożyć nie potrafię i przy ciepłym piecu siedzić nie będę... ja, com tylko na jednym bywał froncie...

Milczeli wszyscy i w zamyśleniu pochylili głowy.

— Mówiłem to samo mojej rodzinie—rzekł spokojnie Cis — która chciała mnie gwałtem wykierować na praktykanta świetnej paskarologji...

Tymczasem muzyka, drzemiąca dotąd w kącie sali, zahuczała nagle. Popłynęły swawolne tony poleczki, która z przedmieść lwowskich dostała się do Legjonów. Od jednego ze stolików podniósł się ułan o twarzy kwadratowej, przekreślonej rudym, obwisłym wąsem, i począł tańczyć na jednem miejscu. Był jakiś szalony rytm w błyskawicznych przegięciach jego ciała, okręcaniu się naglem i hałaśliwem przytupywaniu. Odrzucał głowę wtył i pochylał ją znowu, jakby chciał przebić ścianę niewidzialną. Był to taniec ziemianek żołnierskich, któremu wtórowano niegdyś pogwizdywaniem na flaszkach, rytmicznem potrącaniem stempli i niespokojnym dźwiękiem małej harmonijki. Cała sala klaskała w takt tancerzowi, zachwycona niezwykłym temperamentem tańca, wykonywanego na przestrzeni dwóch kroków. Zbudził zarazem zachwyt w żołnierzach niemieckich, którzy otoczyli go zwartem kołem i uderzali raz po raz w dłonie.

— Patrzcie, psia jego nędza—zauważył Borzęcki —patrzcie na tego franta z cyrku Beliniego, jak on to dobrze robi.

— Prawie, prawie jak uczciwy piechur—dorzucił Boruta.

Ożywił się nagle Janosik:

— Kawalerja polska, a niechże ich djabli porwą wszystkich razem z całą nieśmiertelną Rokitną Raz im się wydarzyło, że poszli na okopy do ata-

ku i wyrośli odrazu na bohaterów narodowych... największych. I każdego roku ci, co przy życiu zostali, zanudzają naród na śmierć żałobnemi ceremonjami i ględzą wciąż o wielkiej szarży polskiej— a przecież dla nas, marnych piechurów, to była zwykła, codzienna rzecz. Trzeba jeszcze powiedzieć, panowie wiara, że szarża polska to już dzisiaj nawet pojęcie literackie, ogólno filozoficzne bez mała. Bo my to właśnie od wszelkich szarż na złamanie karku jesteśmy specjaliści, znani w całej Europie. Czy kto słyszał w wojnie dzisiejszej o szarży angielskiej, niemieckiej, francuskiej, amerykańskiej albo japońskiej. Tylko Polacy zdolni są do takiego rycerskiego głupstwa. Tylko oficerowie rosyjscy, ci pierwotni barbarzyńcy, mogli mi, jak mnie tu żywego widzicie, opowiadać, że gdyby ich sztab generalny słuchał, toby już dawno kawalerja rosyjska dzwoniła podkowami po berlińskim bruku.

Porwał się nagle z krzesła kapitan Borzęcki i krzyczeć począł z całych sił:

— Na pohybel lampasom czerwonym, ostrogom dzwoniącym, wyszywaniom, fantazjom, haftom, szamerunkom i czakom ułańskim, niech żyje dziurawy i postrzępiony mundur relutoński!

— Niech żyje!—odpowiedzieli, jak na komendę, zgodnym chórem.

— Patrzcie!—wołał znowuż Janosik—ten właśnie szary, niepozorny reluton najmądrzej określił dziwacznie okrutną historję naszego odrodzenia. Poznał rychło on, stary wyjadacz i bywalec, że jego romantyczny wysiłek, to tylko protest garści wiecznie niespokojnych awanturników, że nam tę Polskę bez żadnego z naszej strony współdziałania, mimo wszelakich świadomych i nieświadomych grymasów, przemocą narzuca dziejowa sprawiedliwość. Śpiewał tedy nasz reluton:

„I ni z tego, ni z owego
Będzie Polska na pierwszego."

— Oj, śpiewali, śpiewali relutoni — bąkał Cis — gęba im się nie zamykała i w marszu, i w bitwie, i na postojach. Pamiętam szliśmy od Styru ostatniej nocy, zmęczeni, jak djabli, ledwo słaniamy się na nogach, a oni śpiewają. Moskale nadeptują pięty już, a oni o rozmarynie. Przeszliśmy Stochód, lecą wgórę mosty. Huk, wrzask, a potem cisza, tylko słońce blado świta, a tu koło mnie młody relutonik nuci sobie, jakby nigdy nic:

„Miała matka trzech synów:
Dwóch mądrych było w domu,
A trzeci, co był głupi, poszedł do Legjonów..."

— A, bodajcie pokręciło — myślę sobie — masz zdrowie, bracie.

— Zdrowie, to my mamy wszyscy — huknął Borzęcki.

— Wiem już — zapiszczał nagle Biegański.

— Co wiesz?

— Ten to właśnie tancerz zatracony, ułan djabelski, ten właśnie, boć się wciąż przypatruję skąd mi to niecne oblicze tak znajome, buchnął konia od naszej kuchni. I wiecie co powiedział, kiedy go chłopcy, razem z siwą kobyłą, przyprowadzili. Nieboraczkowi nie dali żadnego Rosynanta, a on go przecież mieć musi, jakoże będzie wjeżdżał do Warszawy bramą triumfalną.

— Rozstrzelałbym—wrzasnął Borzęcki—bez sadu!

Tymczasem filuterna polka cichła już. Wśród burzliwych oklasków ułan zeszedł z estrady i znużony, padł na krzesło. A na podjum stanął nowy solista. Mały, krępy żołnierz niemiecki tańczył kozaka ze wszystkiemi charakterystycznemi prisiudami. Od wszystkich stolików biegły dzikie okrzyki, jakieś postacie podnosiły się i zataczały zawrotne kręgi. Gwizdano na palcach, ktoś rżnął z całych sił butelką o ziemię i rozbił ją na drobny mak. Zdawało się, że niebawem rozhukani biesiadnicy zaczną rozwalać ściany i druzgotać meble.

Gospodarz biegał, wystraszony, od jednych do drugich. Na jego znak muzyka urwała nagle i po chwili buchnęła uroczystą melodją.

Grano hymn narodowy...

Podnieśli się ze swoich miejsc, niewołani, Orda, Janosik, kapitan Borzęcki, zwany Szaleńcem, Cis z twarzą dziecka i Biegański, komendant karabinów maszynowych.

Borzęcki skoczył, jak ranny żbik, i płazem szabli zwalił kapelmistrza w rozczochrany żydowski łeb.

Nastała cisza, cisza przejmująca.

Po chwili ozwały się tylko ciekawe, trwożne pytania:

— Was ist los? Was ist los?

Wtem od jednego ze stolików podniosły się zwolna dwie postacie i szły wolno ku kapitanowi Borzęckiemu. Obaj byli w burych, samodziałowych kurtkach i długich butach. Zdaleka błyszczały krzyże, a na nich rozpięte, białe orły. Starszy chwycił Borzęckiego za rękę i przeciągłym głosem zaśpiewał:

— My także polscy żołnierze... panu kapitanowi dziękujemy...

## IX

Orda wszedł do pałacu z uderzeniem godziny dwunastej. Wbrew zapowiedzi, nie mógł się dostać odrazu do Dzierzgowskiego. Powiedziano mu:

— Pan dyrektor jest bardzo zajęty, pan będzie łaskaw zaczekać.

Posłał tedy swój bilet wizytowy i czekał cierpliwie, razem z innymi, w olbrzymim westibulu, gdzie wrzał ruch nieustanny. W powietrzu czuć było dziwny niepokój. Dokoła słychać było rozmowy przyciszone, które urywały się natychmiast, skoro na szerokich wspaniałych schodach wyłaniała się jakaś postać dostojna, wywołując niskie, służalcze ukłony

i wymownie pochlebcze uśmiechy. Grupy panów, ubranych czarno, pierzchały trwożliwie, to znowu łączyły się zpowrotem zasilane ustawicznym dopływem nowych przybyszów, którzy zjawiali się, jak cienie, wypełzające z za wszystkich drzwi. Drgał ustawicznie szept cichy, pełen wzmagającego się niepokoju. Widać było ciekawe spojrzenia ócz podnieconych, uśmiechy porozumiewawcze, ruchy, wyrażające podziw lub spokojną pewność siebie. Najwidoczniej krążyły wszędzie wiadomości świeżutkie, rosły domysły, przypuszczenia i niestrudzone plotki.

Orda patrzył na to wszystko, zdziwiony niepomiernie i raz wraz pytał siebie samego:

— Co to się dzieje?

Chwilami ogarniał go wstyd na myśl, że się dokoła niego odbywa coś, czego wcale nie rozumie, że jest jakiś odrębny świat, pełen ruchu i myśli, tak bardzo jednak daleki i obcy. Uświadamiał sobie jednak znowuż, że ci ludzie, przypominający mrowisko, które ktoś kijem poruszył, nie pociągali go, raczej odpychali. Było w nich jakieś drżenie histeryczne, jakaś namiastka spokojnej, zrównoważonej męskości, która umie dążyć do celu, nie zważając na żadne przeszkody. Widać było, że każda wiadomość wytrąca ich z równowagi, że chwieją się ustawicznie, jak trzciny, poruszane byle podmuchem wiatru. I widać było, że właśnie ta giętkość jest ich rzemiosłem i najwyższą, nigdy nieosiągniętą, mądrością. Drapać się, drapać, coraz wyżej, coraz śmielej, a potem umieć spaść zawsze prosto na łapy.

Czy w tym wielkim pałacu, przygniecionym wspaniałością, oschłą i wymuszoną, można znaleźć przyjaciół prawdziwych, którzy przy byle sposobności nie wyprowadzą cię w pole i nie okpią, zalewając potokiem słodkich, fałszywych słówek?

Czy tu się komukolwiek ufa, czy tu jest czas i miejsce na uczucia proste, zwykłe i zdrowe?

Zdawało się Ordzie, że jakaś siła ukryta działa dokoła niego i porusza wszystkiem, niby w teatrze marjonetek. Przypomniały mu się niedawne uprzedzenia i spostrzeżenia. Wśród drgającego szeptu stłumionych rozmów nawiedziły go my li ponure. Jakże bardzo ciężko będzie mu żyć tutaj, nawet wtedy, kiedy się rozewrą oddrzwia, pilnie strzeżonego Sezamu i rozstąpią się wszyscy czujni jego stróże, zapraszając do wnijścia. Zerwał się szybko i krążąc niespokojnie, oglądał nieprzytomnemi oczyma pseudo-klasyczne rzeźby, którym bogobojny artysta poprzykrywał zręcznie nieprzystojne genitalia pod fałdami szat, obłudnie udrapowanych. Mimowoli zapragnął chwycić w silne dłonie ciężki młot i wyswobodzić czemrychlej spętaną nagość...

Za ścianą szyb połyskliwych pracował jakiś oddział biurowy. Przy jednem z biurek rozsiadł się wygodnie i dostojnie Bogusiński. Przykuł na chwilę uwagę Ordy. Pocieszna twarz urodzonego piszczyka ostemplowana była dumą i zuchwałą pewnością siebie. Zdawało się, że celebruje jakieś uroczyste nabożeństwo. Wydawał polecenia pannie, stukającej na maszynie, z tak komiczną powagą, że Orda nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Co chwila dzwonił na chłopców i rzucał im spojrzenia gromowładnego Jowisza. Czasami zamyślał się głęboko i piłując paznogcie, przybierał pozę prawodawcy, który waży co najmniej nowy ustrój, zrywający pęta tradycyj.

Gdyby Orda nie znał go i nie widział w mało zaszczytnej roli stręczyciela nocnych rozkoszy, mógłby przypuszczać, że to jakaś osobistość niezwykła, człowiek niepospolity, który klepie ministrów po ramieniu i na najwyższych dostojników patrzy z nieukrywanem lekceważeniem.

Chwyciło go nagle obrzydzenie, tak silne, że się skierował ku wyjściu.

— Co mi po tem wszystkiem — myślał — nic tu nie zbuduję.

Ale w tej samej chwili zastąpił mu drogę służący:

— Pan dyrektor prosi...

Orda przeszedł zaciszną salkę, w której siedziało kilku referentów, pochylonych nad biurkami, i znalazł się w gabinecie Dzierzgowskiego.

Pan dyrektor kończył właśnie opowiadanie, którego słuchał z naprężoną uwagą jakiś jegomość podstarzały, gotujący się już do wyjścia.

Orda złowił ostatnie strzępy rozmowy:

— Przesilenie tedy zażegnane...?

Dzierzgowski skinął głową i uśmiechając się przymrużonemi oczyma, cyzelował zgrabny frazes:

— Ponieważ dla sprawy polskiej niema w tej chwili żadnego znaczenia, kto jest premjerem — dobrze jest przynajmniej, że nowy prezes gabinetu jest człowiekiem miłym, przystojnym i dobrze wychowanym.

— Doskonale powiedziane, warto zapamiętać...

— Chwała Bogu, że ten nieznośny, suchy biurokrata, „poszedł w odstawkę".

— A my zostajemy na starych śmieciach...

Byli sami.

Dzierzgowski przerzucał chwilę papiery, poczem rzucił mętne spojrzenie na Ordę.

— Proszę niech pan siada, w tej chwili będę panu służył.

Zanurzył znowu niespokojne ręce w stosach rozrzuconych świstków, gazet, broszur i wielkich, zapisanych arkuszy. Wyłowił wreszcie jakiś zeszyt, złożył we dwoje i schował do kieszeni.

Zwrócił się znowu do Ordy, trzymając jego bilet wizytowy:

— Pan Orda, nieprawdaż?

— Tak...

Dzierzgowski tarł głowę, jakby chciał z niej wydobyć coś głęboko schowanego.

— Przepraszam pana najmocniej... ale tyle spraw ciągle... doprawdy proszę mi wybaczyć... ale co mamy ze sobą właściwie do załatwienia?

Orda zmieszał się i nie wiedział co odpowiedzieć, tymczasem jednak Dzierzgowski podniósł się szybko i począł wołać głosem, pełnym triumfu:

— Aha... aha... już wiem — Janosik, małe pijaństwo, dyskusja, potem moje słowo. Ależ pamiętam, doskonale... ale potem była jakaś okropna, niesłychana awantura. Bałem się skandalu, do czego to podobne! Gdyby tak, nie daj Boże, wlazła policja. Trzebaby się legitymować, co za przykra historja...

Urwał i po chwili zapytał znowu:

— Co się panu stało? Jakaś kobieta? Wybiegł pan, jak szalony...

Twarz Ordy pokryła się pałającym rumieńcem, Dzierzgowski uśmiechnął się i pogroził mu lekko.

— Oj, młodzi zapaleńcy! Któż to bierze takie sprawy na serjo. Kobiety istnieją poto, aby nas zdradzać, a my nie powinniśmy przejmować się tem zbytnio. Nigdy! Wiadomo, co mówi rosyjskie przysłowie. Mało to kobiet na świecie.

Orda usiłował zaprzeczyć, ale Dzierzgowski machnął niecierpliwie ręką.

— Niema o czem mówić.

Zwrócił się do niego nagle całym korpusem i patrzył przenikliwie w oczy.

— Pan chce wejść do nas, objąć posadę?

Orda żachnął się. Nie o posadę przecież chodzi w dosłownem znaczeniu, nie o zarobek. Zdobyć pieniądze można zawsze. Ale on chce pracować, znaleźć wreszcie ujście dla swej energji. Może to przecież otwarcie powiedzieć, że czuje się niemniej zdolnym od innych, nie posiada może jakichś nadmiernych talentów, ale patrząc na rozmaitych ludzi, zajmujących nieraz wybitne stanowiska, widzi, że nie jest gorszym od nich. Zresztą, on sam nie wie do czego mógłby się nadać najlepiej. Człowiek jest

nieraz tajemnicą, którą sam najtrudniej odgaduje. Różne są wartości człowieka. Gdyby szedł zwykłą drogą życia, nigdyby o tem wszystkiem nie myślał, ale teraz stał się innym człowiekiem. Wojna nauczyła go wiele, zaszczepiła w nim pożądania, które przedtem nie były mu znane. Nie przywiązywał, naprzykład, nigdy wagi do tego, że jest odważnym. Nie miałby z tego w zwykłych warunkach żadnego pożytku. Żeby się psom na wiejskich nie opędzał drogach albo spał bez lęku w samotnym, opuszczonym domu — to przecież napozór tak mało warte. A może drzemią w nim jeszcze jakieś inne nieznane wartości. Zdawało mu się, że właśnie teraz należy szukać we wszystkich szlachetnego kruszczu. Wie tylko jedno, że żyje w nim wciąż dziwna jakaś, nieokreślona tęsknota. Czyż to nie jest najlepszym dowodem, że należy mu się godny wysiłek pracy? Jeżeli tedy wolno mu się czegoś domagać, to przedewszystkiem zrozumienia takich potrzeb.

— Pan ma jakieś określone przekonania polityczne? — zapytał nagle Dzierzgowski.

— Nie, polityką nie zajmowałem się nigdy.

— A jednak zdjął pan mundur.

— Byłem zmuszony do tego, nie miałem innego wyboru.

— Tak, ale nie ulega wątpliwości, że był to pewnego rodzaju czyn polityczny. Właściwie nie powinienem...

Orda zrozumiał i zerwał się szybko, jakby sprawę uważał za skonczoną.

— Niech się pan nie krępuje... ja niczego od pana nie żądam...

Dzierzgowski zagrodził mu wyjście.

— Cóż znowu? Źle mnie pan zrozumiał. Po tem, co usłyszałem, pragnę panu tem bardziej pomóc.

Spojrzał na zegarek i jakby tknięty jakąś myślą, zawołał nagle, podniecony:

— A to doskonale, wybornie się składa!.. Szczę-

śliwie pan trafił, mogę panu poświęcić jeszcze trochę czasu. Słucham pana w dalszym ciągu. Niech pan mówi...

Orda zdziwił się, nie pojmując o co to właściwie chodzi.

— No... niech pan mówi... to bardzo interesujące... pouczające nawet... niech pan wyspowiada się ze swoich przygód na warszawskim bruku...

Ośmielony przyjaznem i ciekawem spojrzeniem Dzierzgowskiego, Orda począł opowiadać. Był dziwnie szczery, nie zataił niczego, nawet o Jadźce szeroko się rozgadał. Jakby wręszcie niejedno sam zrozumieć zdołał, odtworzył żywo, namiętnie wszystkie swoje przejścia żałosne, wszystkie wahania i niepewności. Nie starał się nic upiększyć i na korzyść swoją wytłumaczyć, ale dał poznać surową prawdę swego smutnego życia. Biła z jego słów pociągająca prostota, nieposzlakowana uczciwość człowieka, który pogardza złudzeniami i odpycha ze wstrętem pospolite, wygodne kłamstwa. Był surowym sędzią wszystkich swoich niedomagań i braków, które oceniał z dokładnością trzeźwego badacza.

Dzierzgowski słuchał z wysokim podziwem. Przejęła go do głębi szczera, żołnierska spowiedź. Miał przed sobą, jak na dłoni, życie młodzieńca, który szamotał się ciągle z przeciwnościami, przerastającemi jego siły niedoświadczone. Widział naturę pierwotną, która nie stała się jeszcze zwykłym zlepkiem zła i dobra, ale którą wszystko popychało na przepaścistą drogę. Widział człowieka, chwytającego się krawędzi, ostatecznym wysiłkiem rąk, krwawo utrudzonych. Wyczuł w nim straszliwy lęk przed obłędem nikczemnych nałogów, zrozumiał, że temu człowiekowi trzeba dać coś, że nie można się przed nim, jak to nieraz bywało, wykpić byle czem, usta, drgające żalem i namiętnością, lichym nasycić przysmakiem.

Zamyślił się głęboko pan dyrektor — dawno już nie doznał wrażenia tak silnego.

Milczeli obaj... zegar wydzwonił powoli godzinę... Dzierzgowski ocknął cię i jak człowiek, powracający z fantastycznej krainy marzeń do rzeczywistości, jednym ruchem głowy odrzucił ciężar wielu myśli niepotrzebnych i złożonych sobie samemu ślubów tajemnych. Uśmiechnął się spokojnie i rzekł głosem zwykłym, codziennym, urzędowym:

— Doprawdy stałem się przez chwilę sentymentalny...

Wyciągnął ku Ordzie rękę.

— Może pan być pewien, że uczynię wszystko, co będzie w mej mocy.

Znowu spojrzał mu przenikliwie w oczy i zapytał:

— Pan jest człowiekiem odważnym, zdecydowanym na wszystko.

Orda uśmiechnął się.

— Byłem oficerem linjowym.

— To doskonale, ludzie tego rodzaju będą nam potrzebni. Pan nie ma pojęcia ilu ja ludzi potrzebuję, ilu ja ludzi ciągle szukam.

— Cieszę się bardzo...

— Pan rozumie przecież, że rząd polski musi wszystko wiedzieć, koniecznie wszystko...

Orda natężył uwagę, zdawało mu się, że Dzierzgowski rzuci nareszcie jakieś ważne słowo.

— Nie posiadając całokształtu wiadomości potrzebnych, błądzi się nieraz poomacku...

Urwał, ktoś bowiem do drzwi lekko zapukał. Służący położył na biurku list. Dzierzgowski rozerwał kopertę, rzucił oczyma, zcicha zaklął, zamyślił się i błądząc oczyma, utknął znowuż na Ordzie.

— Zostawmy zresztą te sprawy na razie w spokoju. Pomówimy o tem jeszcze szeroko... pan musi mnie przecież często odwiedzać.

Zatrzymał się i rzucając spojrzenie niemal trwożliwie, głosem niepewnym zapytał:

— Pan ma dzisiaj wieczór wolny?

— Wolny...

— Może pan zajdzie do mnie dzisiaj wieczorem o dziesiątej, będzie kilka osób...

Urwał znowu i roniąc coraz bardziej dyplomatyczny spokój, wykrztusił nareszcie:

— A w pokera pan gra?

Orda przypomniał sobie opowiadanie Janosika, uśmiechnął się z politowaniem.

— Owszem, gram.

I napółsprytnie, napółzłośliwie dodał:

— Gram nawet chętnie.

Dzierzgowski ożywił się, oczy zabłysły nieukrywaną radością.

— A to doskonale się składa. Właśnie otrzymałem list od kogoś. Zrobiono mi zawód — bylibyśmy bez czwartego. A we trójkę grać, wie pan, to już nudna ostateczność. Po za tem nie mam wyrzutów sumienia, że wciągam pana w grę, bo przy tej sposobności pozna pan kilka osób. Nie będzie to dla pana bez pożytku. Wogóle powinien pan starać się wejść w stosunki z ludźmi...

Paplał tak czas jakiś, ucieszony nadmiernie wizją zielonego stolika z czterema graczami po bokach. Na pożegnanie wcisnął Ordzie bilet wizytowy z adresem i błagał go namiętnie, aby stawił się punktualnie.

Orda wychodził z pałacu, nie wiedząc co o tem wszystkiem myśleć. Niespodziewanie zderzył się ze Świrskim, który go poznał i przywitał odrazu ciekawem pytaniem:

— A... pan Orda, znalazł pan do nas prędko drogę. No i cóż? Dzierzgowski słowa dotrzymał?

— Na razie zostałem zaproszony na pokera...

— Aa — nieoceniony czwarty, znam to, znam...

Ujął Ordę pod rękę i szepnął mu tajemniczo:

— Pozwoli pan — na początek dyskretna wskazówka: nie należy grać zbyt szczęśliwie, pan dy-

rektor lubi pokera, ale nie lubi przegrywać. Pan wie—kto ma szczęście w kartach, ten nie ma szczęścia w miłości...

I zostawiając Ordę zatrwożonego i zdziwionego tą radą niespodziewaną, szybko pobiegł dalej.

## X

Orda błądził długo po ulicach. Usiłował zgłębić do dna to wszystko, co go przed chwilą spotkało. Naogół przeważał w nim jednak nastrój radosny. Wręcz nawet odpychał od siebie wszelaką podejrzliwość. Chciał wierzyć i wierzył w życzliwość Dzierzgowskiego. Przecież tak jasno opisał mu swoje położenie. Nie zostało pomiędzy nimi nic takiego, coby mogło wzniecić jakąś nieufność — nic, coby wymagało nowych objaśnień. Był z siebie zadowolony i z radosnym triumfem przypominał sobie własne słowa i pieścił się po raz wtóry ich dźwiękiem. Witał z dumą to wszystko, co mu się wydawało zaprzepaszczonem już, utraconem na zawsze, a jednak odżyło teraz w chwale nowej godności. Zdawało się, że spadła wreszcie z niego obrzydła skorupa lichych, codziennych nałogów. Odnalazł siebie znowu takim, jakim chciał się widzieć, zdobył zpowrotem własne dziedzictwo spokoju i nieprzerwanej niczem ciszy.

Czuł się, jak znużony wędrowiec, który po długim marszu, rażony palącemi promieniami słońca, znajduje cienisty chłód drzew i czystą, rzeźwiącą krynicę.

Wróciły z nieprzepartą siłą dawne marzenia! Ach, wyprzeć się raz na zawsze złudnych nadziei i rozpocząć nowe życie — życie skromne i prawe. Zerwać, och! zerwać wreszcie łańcuch hańby, który go skuł razem z cynicznymi towarzyszami bladych ranków i jaskrawych wieczorów. Nie poznawać ich, nie odpowiadać im na pozdrowienia, zostawić za sobą szalejące burze i bezlitosne walki, utonąć

w ciszy dni jednostajnych, dążyć pomału i ostrożnie do celów prostych. Oddzielić się nieprzepartą zagrodą od wszystkiego, co drażni nerwy, myśl podnieca i coraz to bardziej gorączkowe widziadła sprowadza — ukochać obowiązki codzienne, przyjemności niewyszukane, a wszelką rozkosz posiąść, jako nagrodę wytrwałej pilności.

Podniecona wyobraźnia przesuwała jeden obraz po drugim — obrazy cichego szczęścia, spokoju i dobrobytu. Jak wdzięczne echo, minionej melodji, snuło się pomiędzy niemi melancholijne wspomnienie walk okropnych, daremnych zrywań do lotu, zmarniałych szaleństw. Nasycał się dowoli widziadłem bezpiecznej przystani domowej, dostrzegał własną postać w kręgu żółtego światła lampy domowej.

Lecz zawsze widział siebie samotnym, przez chwilę odczuwał tej samotności niepomierną rozkosz i smakował już w piekącem zadowoleniu nieposkromionego smutku.

Czyż mogło być inaczej?

Jedyna kobieta, którą znał, jedyna kobieta, którą kochał — porzuciła go i zdradziła. Nie zdobędzie się już nigdy w życiu na to, aby rozpocząć nowe przygody, doznać nowych złudzeń i nowych rozczarowań.

Niewymowny żal ścisnął mu serce, nagła tęsknota przeszyła piersi i poczęła zapuszczać śmiało zdradliwe macki w głąb.

Czy był jednak wobec niej sprawiedliwy? Czy usiłował choć raz zrozumieć co się w niej działo, czy zdołał spojrzeć na ich życie jej oczyma? Myślał tylko o sobie i postępował tak nierozumnie! Pragnął podeptać wszystkie jej pragnienia, zlekceważyć i do zera sprowadzić właściwości jej natury, nieposkromione dążenia ukrytego temperamentu. Nie umiał dowieść dość przekonywująco, że to, ku czemu nieraz wyciągała ręce w jakimś kurczowym odruchu pożądania, tak mało było warte. Obwiniał

ją, a nawet nie znał dokładnie owych przestępstw i zbrodni. Nie potrafił wniknąć we wiotką strukturę duchową dziewczyny, rozpoczynającej dopiero życie. Zniechęcony kaprysem może przelotnym, może nie mającym nic wspólnego z właściwą jej istotą, oddał ją lekkomyślnie na pastwę wszystkich niebezpieczeństw, zostawił, bezbronną i niedoświadczoną, pomiędzy drapieżnemi zwierzętami, odwrócił się z pogardą własnie wtedy, kiedy ona wpadła w jaskinię wężowej chytrości i nienasyconej żarłoczności. Zapomniał o wszystkich jasnych, dobrych chwilach. Jakże łatwo napiętnował dziecinne zachcianki mianem wyuzdania i rozpusty!

I oto teraz, kiedy uśmiecha mu się nareszcie dobry los, widzi koło siebie pustkę okropną, potworną, przerażającą—tęskni do niej tak, jak jeszcze nigdy nie tęsknił.

Ależ musi ją zobaczyć, zobaczyć za wszelką cenę, mówić z nią, wyrzucić z siebie tysiące pytań, które wirowały mu w głowie, jak rozpętane koła szalonej maszyny.

Gwałtowny niepokój pobudził go do szybkiego biegu. Zdyszany, zatrzymał się wreszcie przed wejściem, iskrzącem kolorowemi lampkami elektrycznemi i pstremi napisami. Zamajaczyła niechlujna gęba szwajcara w złocistym pirogu. Wcisnął mu w olbrzymią, pożądliwą łapę zmięty banknot i zapytał:

— Za kulisy wchodzi się tędy?

— Nie, tędy tylko dla publiki na przedstawienie, pan dziedzic pójdzie pierwszą ulicą na lewo, w pierwszą bramę i po schodkach na pierwsze piętro.

Orda rzucił się we wskazanym kierunku. Roztrącając przechodniów, leniwie się przechadzających, wpadł w czarną czeluść bramy, kilkoma susami przebył schody i z trzaskiem otworzywszy skrzypiące drzwi, zatrzymał się, bezradny i zmieszany.

W dużej, prawie pustej, sali zobaczył odrazu przemiłą, drobną, prawie dziecinną twarzyczkę Jadźki, wychylającą się z fałd długiego, czarnego płaszcza. Rozmawiała właśnie z jakimiś kilkoma eleganckimi frantami. Orda zdążył jeszcze uchwycić mdłe, obleśne uśmiechy mężczyzn, zanim wszyscy zwrócili się ku niemu. Nie zdołał nic wykrztusić. Tymczasem Jadźka podbiegła doń i wyciągnęła na powitanie białe, nagie ramiona.

— Ach, to pan, nareszcie przypomniał pan sobie o mojem istnieniu... Jakże się cieszę...

I jakby obawiając się jego odpowiedzi, zawołała bardzo szybko:

— Proszę, niech pan pozwoli dalej, mam jeszcze dosyć czasu, porozmawiamy...

Poprowadziła go przez ciemny, długi kurytarz, otworzyła małe drzwiczki i pociągnęła za rękę do jakiegoś małego pokoiku.

— O tu nam nikt nie będzie przeszkadzał, dyrektor już wyszedł.

Błysnęło światło. Orda utkwił nieruchomo oczy w afiszach, rozlepionych na ścianie. Gdzieś zoddali sączyły się stłumione dźwięki orkiestry, głos śpiewającego mężczyzny, a potem oklaski.

— Co to?—zapytał, nadsłuchując.

— To ze sceny—odpowiedziała Jadźka.

Poczuł jej spojrzenie, pełne trwożliwej ciekawości, wstrząsnął się, jakby wreszcie przypomniał sobie poco tu przyszedł.

— Ach, tak...—mruknął.

— Co, tak?

— Nic, proszę cię nie zwracaj zbytniej uwagi na mnie, od dłuższego już czasu jestem dziwnie zdenerwowany i podniecony, ale nie trzeba się z tem liczyć...

Jadźka przysunęła się bliżej, pomału, ostrożnie —coraz bliżej.

— Czy to może z mojej winy?

— Nie, to jest od ciebie niezależne.

Umilkli, odsunęli się, długa chwila ciszy wlokła się nieznośnie, bez końca, niby jakaś żałobna ceremonja. Orda uczuł, że niepohamowany, zły smutek wtargnął weń, skoro tylko ją zobaczył i zamarły na ustach wszystkie pieszczotliwe słowa, odleciały wszystkie dobre myśli. Głuchy żal zabił je bezlitośnie i rozparł się zdobywczo, zachłannie w najtajniejszych nawet zakamarkach duszy. Chęć mściwego porachunku narzuciła mu chytre komedjanctwo i okrucieństwo podstępne. Przygotowywał sobie zgóry odpowiedzi, przesycone jadem odwetu, ostrzył słowa, niby kolące groty. Gniewało go to, że ona nic nie mówi, że go swojem milczeniem pozbawia przewrotnej rozkoszy dokuczania, drażnienia i pastwienia się. Nie mogąc powstrzymać już dłużej namiętnej chęci rozprawy, wypuścił pierwszą strzałę zatrutą:

— Kiedy tu szedłem, zdawało mi się, że mam ci tyle do powiedzenia... a teraz prawie nic z tego nie zostało...

Pocisk był dobrze wymierzony—jej ciało drgnęło konwulsyjnie. Powtórzyła cicho, smutnie:

— A teraz prawie nic z tego nie zostało...

I po chwili zapytała:

— Dlaczego?

A kiedy nic nie odpowiadał, dorzuciła jeszcze:

— Czy ta chęć powiedzenia nigdy nie wróci?

Orda uśmiechnął się ironicznie.

— Tego nie można przewidzieć. Zresztą, kiedyż my się znowu spotkamy? Dzisiejsze doświadczenie nie bardzo mnie zachęca do tego, abym ciebie szukał. Kiedy ciebie zobaczyłem, poczułem jakąś dziwną, niewytłumaczoną obojętność...

— Obojętność?!—krzyknęła, przerażona.

— Tak, obojętność—odparł stanowczo—nie można tego inaczej określić. Oto, dochodzę do prze-

konania, że właściwie dzisiaj nic nas ze sobą już nie łączy...

— Mówisz umyślnie tak, żeby mi dokuczyć...

— Tak ci się tylko zdaje, mówię to, co myślę —nic więcej...

Pochyliła się bezradnie, jakby pod jakimś nowym, nieznanym jeszcze ciężarem.

— Być może—szepnęła napół do siebie—dlaczegóż nie miałabym ci być obojętna.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że objawiło mu się w niej coś nieznanego, coś zupełnie nowego. Wyrażał się w każdym niemal słowie, w każdym geście jakiś ton nieodgadniony, dziwnie pociągający, dziwnie uroczy. Rosła ciekawość, aby to zbadać za wszelką cenę. Wydała mu się, mimo wszystko, dziwnie zrównoważoną, dopatrzył w niej dojrzałość, której przedtem nie było, czuł, że się opiera mocno o to, co wyrosło już po ich rozłączeniu.

Spojrzała mu w oczy i bardzo wyraźnie, niemal uroczyście, oznajmiła:

— Od długiego już czasu czekam codziennie, abyś przyszedł. Gdybym była wiedziała, gdzie cię znaleźć, przyszłabym pierwsza.

Orda uśmiechnął się zjadliwie.

— Niedawno spotkaliśmy się przecież...

Jej twarz oblała się mocnym rumieńcem.

— Myślisz o mnie źle, posądzasz mnie...

— Nie mam żadnego prawa posądzać ciebie. Żyjesz tak, jak ci wygodnie—to wszystko.

— Pozory są przeciwko mnie — nie będę cię przekonywać. Byłam tam z kolegami po przedstawieniu—nie czuję się wcale winną.

Powiedziała to z taką powagą, że Orda czuł się zakłopotany, ale szybko zgasił w sobie pierwszy cieplejszy płomyk i niemal przemocą narzucił myśl:

— To jest aktorstwo...

Tymczasem ona, jakby podniecona jakimś na-

głym pomysłem, zerwała się szybko i stanęła przed nim w postawie niemal wyzywającej:

— Janku! nie chcę, nie mogę z tobą tak rozmawiać.

Zacisnął szczęki kurczowo i warknął sucho:

— Inaczej nie umiem... nie chcę.

Ale ona nie dała się już więcej zmylić. Jednym ruchem zrzuciła z siebie długi, czarny płaszcz. Zobaczył ją we wiotkim kostjumie tancerki, w greckiej chlamidzie, przepasanej luźno. Zalśniła przedziwną białością szyja, błysnął złotym puchem różowy kark—poczuł przedziwny zapach dziewczęcego ciała. Otuliły go z całej mocy słabe ramiona i przywarły do lic ciepłe wargi. Łowił chciwie namiętny szept miłosny, przerywany pocałunkami. Rozjarzyły się pierwsze iskry, zamigotał czerwony płomień miłości. Ostrożnie, umiejętnie, z całą mądrością wyczucia podsycała go każdą pieszczotą, każdym uściskiem, każdem dotknięciem warg—tak długo, aż buchnął wreszcie niepohamowany pożar głębokiego wzruszenia.

I pewna już swego zwycięstwa, poczęła pytać gorączkowo:

— Mówiłeś nieprawdę?

— Tak!

— Kochasz mnie jeszcze?

— Kocham...

— Myślałeś o mnie tak, jak ja myślałam?

— Tęskniłem bardzo...

Żarliwemi, gorącemi pocałunkami dziękowali sobie wzajemnie za te wyznania.

— Dlaczego byłeś dla mnie taki niedobry?— zapytała nagle.

Ordą zmieszał się, jak żak, przyłapany na gorącym uczynku.

— Przepraszam, bardzo przepraszam, ale widzisz było mi bardzo źle...

Przytuliła się do niego z całej siły.

— A teraz jest dobrze, ty, nieznośny głuptasie?

— Tak, teraz jest dobrze.

Podniosła płaszcz i zarzuciwszy go znowu na ramiona, usiadła koło niego.

— Widzisz—zaczęła powoli — chciałam ci powiedzieć jedno. Nie jestem już tą samą dziewczyną, co kiedyś.

Orda poruszył głową.

— Tak, widzę to, jesteś inną, zdaje mi się, że dojrzałaś...

Jadźka uśmiechnęła się wesoło.

— Jestem cwana, mądra dziewczyna. Nie mnie brać teraz na kawał. Od tego czasu, kiedy się z tobą rozeszłam, nauczyłam się wielu, wielu rozmaitości. Wiesz, teraz widzę, że to było potrzebne, koniecznie potrzebne. Tak być musiało. Powiem ci prawdę, że mnie dużo kosztowało, zanim poznałam świat i ludzi. Ach, mówie ci, ile jest hołoty, nie masz nawet pojęcia.

Orda poczuł zimne dotknięcie jadowitego niepokoju.

— Czy ta lekcja nie była za bardzo kosztowna?—Powiedz już wszystko!

Rzuciła nań trwożliwie spojrzenie szarych oczu Jakieś słowa zawisły na ustach. Zaśmiała się dziwnie niespokojnie.

— Nie wiem o co ci chodzi?

Orda wyprężył się surowo i przeszył ją stalowym błyskiem źrenic.

— Powiedz, czy...?

Nie pozwoliła mu dokończyć, zamykając usta pocałunkiem, ugryzła mocno.

— Nie chcę, żebyś tak ze mną rozmawiał. Poco te pytania?

Zamyśliła się i dodała po chwili:

— Widzisz, zastawiali na mnie sidła rozmaici spryciarze, ale ja nie wpadłam.

Przez długą chwilę brzmiał jej śmiech, śmiech triumfujący.

— I powiem ci jeszcze coś. Gdybym była ciebie nie znała, możeby się to wszystko źle skończyło. Ale ja zawsze myślałam o tobie i mówiłam do siebie samej: on jest taki, a oni są tacy; on jest dobry, kochany chłopak, a tamci—hołota! Śmiałam się, bawiłam, byłam wesoła, nic więcej, jak ciebie kocham! a oni zaraz chcieli za to ode mnie coś wyszachrować, wykpić. Ale ja nie jestem głupia dziewczyna, a zresztą pamiętałam o tem, że prędzej czy później wrócę do ciebie. Zrobię wszystko teraz tak, jak zechcesz. Rzucę ten cały kabaret i nie będę tańczyć, jeżeli ty zechcesz, i nawet nie żal mi będzie...

Potrząsnęła jasną głową i powtórzyła raz jeszcze:

— I nawet mi żal nie będzie...

Orda przycisnął ją z całej siły.

— O, tak, lubię... — szepnęła.

— Wrócisz do mnie?

— Wrócę, choćby zaraz, choćby dziś — poco i naco czekać?

Ręce Ordy opadły bezwładnie... przestraszyła się.

— Co, może nie chcesz?

Wyprostował się i począł mówić twardym, zdecydowanym głosem:

— Chcę, ale to się prędzej stać nie może, aż się ze sobą uporam. Przyjdę po ciebie wtedy, kiedy będę mógł stworzyć dla nas obojga życie spokojne, ciche i bezpieczne. Wszystko do tego zmierza. Niedługo, już niedługo — pamiętaj, niedługo!..

Milczeli oboje, wtem gdzieś woddali ozwały się szybkie kroki, łomotały coraz bliżej. Wreszcie jakiś człowiek spocony, brudny, w rozchełstanej koszuli wpadł do środka, jak pocisk, i wybuchnął:

— Gdzie się pani podziała? Na scenę proszę, publika czeka. Już!

Jadźka odrzuciła szybko płaszcz i podając ręce Ordzie, zapytała gwałtownie:

— Kiedy przyjdziesz?

On uśmiechnął się i powtórzył znowu:

— Niedługo! pamiętaj, niedługo!..

Gdzieś daleko zabrzmiała muzyka. Wybiegła szybko. W ciemnym kurytarzu mignęły jej obnażone kolana w pierwszych pląsach tańca...

## XI

O godzinie dziesiątej wieczorem Orda zadzwonił do mieszkania Dzierzgowskiego.

— Niema jeszcze nikogo — oświadczył na wstępie pan dyrektor—ale to nic, zaraz nadejdą. Zresztą, czasu mamy dosyć, noc jest długa.

Oprowadzał go tymczasem po mieszkaniu, dopiero nawpółurządzonem, pokazywał meble właśnie wypożyczone, zmuszał do oglądania jakichś pamiątkowych obrazków i fotografij, krasząc to wszystko nudnemi anegdotami i pieprznemi historyjkami. Wreszcie wziął się przy pomocy Ordy do przesuwania foteli, stołów i kanapy, przymierzania dywanów.

— Widzi pan—zwierzył mu się ni stąd, ni zowąd—niedługo ma się tu właśnie odbyć liczniejsze zebranie polityczne. Będą ludzie bardzo poważni i ustosunkowani, rozumie pan, że chciałbym przyjąć ich w sposób przyzwoity.

Przystanął na progu i rozglądając się uważnie, zapytał:

— Jak pan myśli czy w tem mieszkaniu może odbyć się poważne zebranie polityczne?

— Myślę, że tak... — odparł Orda.

— Niema tu odpowiedniego komfortu, ale ostatecznie jako tako...

— Wojna, trudno, stosunki są anormalne.

— Tak — powtórzył Dzierzgowski i pocierając dłonią czoło, zawołał — a więc pan uważa, że ten

kilim lepiej jest na ścianie powiesić, niż użyć go zamiast dywanu. Możebyśmy jeszcze raz spróbowali... kochany panie... przepraszam bardzo, niech pan będzie łaskaw...

I poczęli znowu przymierzać, dopasowywać, przesuwać, przenosić z jednego pokoju do drugiego. Ile razy Orda usiłował tak pokierować rozmową, aby dowiedzieć się czegoś istotnego, Dzierzgowski sprowadzał ją znowu do śmiesznych drobnostek. Cała jego gadanina była tak błaha, że Orda hamował się, aby nie oświadczyć poprostu, że go te wszystkie meblowe zagadnienia nic nie obchodzą i że wedle jego przekonania, zebranie polityczne może się nawet odbyć w pustych pokojach. Wreszcie ozwał się dzwonek i wyzwolił go z niemiłej sytuacji.

Partja była w komplecie.

Orda przywitał się z Bogusińskim, przedstawili mu się Berski, kierownik biura prasowego jakiegoś ministerjum i Przedżymirski, którego Dzierzgowski nazwał starym włóczęgą i światowym cyganem. Twarz tego ostatniego wydała się Ordzie znaną. Mógłby niemal zaręczyć, że się musieli spotykać w klubach nocnych przy grze. Było mu to nad wyraz przykre. Odżyły wspomnienia niepożądane, wydało mu się, że ów jegomość wytwarza specyficzny, podejrzany nastrój zawodowych szulerni. Orda, który przyszedł tutaj niemal z obowiązku, sądząc, że chodzi o dosyć niewinne przepędzenie czasu, ujrzał się znowu, niby zapaśnik, na arenie walki bezlitosnej, chytrej i drapieżnej. Spojrzał na ich twarze, mdłym, ceremonjalnym uśmiechem rozjaśnione, w istocie zaś skupione i dziwnie surowe.

Mimowoli pomyślał:

— To nie będzie zabawa!

Tymczasem Dzierzgowski przygotował stolik, ustawił szkatułki z papierosami, popielniczki, nalał

każdemu szklankę wody sodowej i rozpieczętował świeże talje kart.

Orda, obserwując te wszystkie przygotowania, powiedział sobie:

— Trzeba się trzymać, tu można dużo przegrać, a wygrać niewiele...

Zanim rozdano karty, Bogusiński wycedził ze zwykłą powagą:

— Jak gramy?

— Chyba tak, jak zwykle—odpowiedział szybko Dzierzgowski—do trzydziestu...

...Skądże ta banda może sobie pozwolić na taki hazard? — pomyślał Orda.

— Pan nie ma nic przeciwko temu? — zapytał go Bogusiński.

— Zastosuję się, jakkolwiek uważam, że gra jest może nieco za wysoka.

— Ach, mój panie — odparł Berski, wydymając pogardliwie usta — trudno marnować noc na groszową zabawę.

Orda wzruszył ramionami. Było mu już teraz wszystko jedno. Pokera bardzo lubił i był graczem wyższej klasy. Zrównoważony dzisiaj i spokojny, niezbyt się obawiał nawet najgroźniejszych przeciwników. Skromny bądź co bądź kapitał nie pozwalał mu w żadnym razie na rzutkość i zbyt śmiałą inicjatywę. Postanowił grać „twardo" i trzymać się naogół metody obronnej. Wiedział doskonale o tem, że wyjść musi zwycięsko ten, kto wykaże silniejsze nerwy. Już po kilku pierwszych rozdaniach kart przekonał się, że jego przeciwnicy grają bardzo ostrożnie i jak to się mówi—„chodzą tylko na pewniaka". Badano go ostrożnie i pedantycznie jako nowego, nieznanego partnera. Bogusiński dodał dwa razy stawkę tylko dlatego, aby zobaczyć jego kartę. Za każdym razem Orda zauważył złe błyśnięcie oczu.

**— Pan dobrodziej twardy jest, jak skała.**

— Trzymam się, cóż robić —odparł, zadowolony. Wyczuwając doskonale przepływające fale powodzenia i niepowodzenia, umiał to dobrze i korzystnie wyzyskać. Kilka razy powiodło mu się zataić dobrą kartę, przebić otwierającego i pulę dla siebie grubo podwyższyć. Kiedy już poznał, że go się gracze boją, odważył się kilkakrotnie na przeprowadzenie bluffa. Aby doreszty zdezorjentować partnerów, rzucił karty na stół.

Dzierzgowski, który „uciekł" właśnie z dobrą kartą, złapał się za skronie i krzyknął rozpaczliwym głosem:

— Patrzcie, nic nie miał, a ja z trójką nie dotrzymałem...

Bogusiński uśmiechnął się złośliwie.

— Ano, mamy nowego rekina...

Po długim okresie szczęścia zmiennego i kapryśnego, gra poczęła się wyjaśniać i ustalać. Widocznem się stało, że powodzenie sprzyjało Ordzie. Wprawiło to niemal całe towarzystwo w zły humor. Opadły maski sztucznego spokoju, wyjrzały twarze podniecone, napiętnowane ordynarną zazdrością. Po zielonym stole przesuwały się palce, zakrzywione, jak szpony. Dzierzgowski palił jedno cygaro po drugiem i patrzył nieruchomo przed siebie, raz po raz opuszczał na wybladłe źrenice nabrzmiałe, pomarszczone powieki, jakby chroniąc je przed rażącą jaskrawością światła. Orda uczuł dla niego pogardliwą litość. Był to nieszczęśliwy niewolnik nałogu, który nie miał dość siły, aby przerwać niezmierną, niemal tragiczną, męczarnię. Od czasu do czasu powtarzał tylko bezdźwięcznym, drewnianym głosem:

— Psiakrew, to już zawsze takie moje podłe szczęście.

Ile razy Orda zabierał większe pule, Berski i Bogusiński klęli ordynarnie, rzucając kartami o stół.

Zdawało się, że jeszcze chwila, a rzucą się na niego i wydrą pieniądze, których wygrać nie mogli.

Tylko jeden Przedżymirski, mimo stałego niepowodzenia, zachowywał do konały spokój i zimną krew. Orda poczuł dla niego mimowolne uznanie. W przerwach wpatrywał się w jego twarz nieruchomą, o rysach ostrych i wyrazistych. Wysokie czoło, ściągnięte brwi i gęste, kędzierzawe włosy, zlekka siwizną przyprószone, i oczy o zastygłym blasku nadawały mu wyraz dziwnej melancholji. Od czasu do czasu uśmiechał się jakoś niesamowicie — wtedy widać było jego usta szerokie o cienkich wargach, wijących się wężowemi skrętami. Orda rozumiał, że ten uśmiech dla nikogo nie jest przeznaczony—był to uśmiech myśli, głęboko ukrytych, świadomości, schowanej na dnie duszy. Objawiło się w nim coś tajemniczego, niepokojącego zagadkowością ponurą...

Orda czuł, że go do tego człowieka coś pociąga i że go coś od niego odpycha.

Kilka razy poczuł, że przeszył go spojrzeniem przenikliwem.

Wreszcie niespodziewanie zagadnął:

— Pan gra dzisiaj, jak człowiek, który ma swój „beau jour".

Orda, zdziwiony i niemal przestraszony, odparł szybko:

— Tak, dzisiaj to mój dobry dzień.

— Ale kiedy przyjdzie zły dzień, robi się z pana taka foka, jak my wszyscy...

— Skąd pan wie o tem?

— Dziś widzę pana wygrywającego, ale widziałem także, jak pan przegrywał!

— Pan mnie zna pewno z klubu?

— Tak, obserwowałem pana kiedyś i widząc pański pojedynek ze szczęściem, pomyślałem sobie: to jest dobry rasowy gracz, ale ma pecha. No, kiedyś pan to wszystko odbije. W dobrej chwili po-

trafi pan usiąść na szczęściu, jak na warjackim koniu, i pojechać galopem...

— Ach, gdybym się takiej chwili doczekał — zauważył smętnie Dzierzgowski.

— Panu nie wystarczy wtedy odwagi — odparował ostro Przedżymirski.

— Wogóle mam zamiar—odparł Orda — zerwać z grą zupełnie. Dziś tylko zrobiłem wyjątek dla pana dyrektora...

— To się tak mówi...

— Szkoda, ta uprzejmość drogo nas kosztuje.

Gra dobiegała końca. Wszystkie sidła, zastawione na Ordę przez zrozpaczonych graczy, pomnożyły tylko jego powodzenie. Dzierzgowski chciał jeszcze za wszelką cenę zabawę przedłużyć, ale Przedżymirski stanowczo zaprotestował:

— To do niczego nie prowadzi. Jestem znużony i nie mam zamiaru przegrywać w dalszym ciągu, a wiem, że dziś przegrywać muszę.

— Może się jeszcze odmieni?—bąknął nieśmiało Dzierzgowski.

— Nic się nie odmieni, tyle razy już pana uczyłem.

Bogusiński spojrzał na Ordę i westchnął żałośliwie.

— Tak, dzisiaj nie damy mu rady...

Berski zaklął zcicha:

— Psiakrew, niepotrzebnie grałem...

— Wiecie co — oznajmił uroczyście Dzierzgowski — to nie ma najmniejszego sensu. To za dużo kosztuje czasu, pieniędzy. Jutro będę znowu do niczego, a tu, jak na złość, mam w samo południe bardzo ważną konferencję polityczną. No, daję wam słowo, że dzisiaj gram ostatni raz.

Przedżymirski zaśmiał się ironicznie.

— Mój drogi dyrektorze, słyszę to zawsze, ile razy pan przegra. Doprawdy czy nie zauważyliście, szanowni gentlemani, że ten nasz dyrektor jest nie-

poprawny. Wygra — nie ma czasu, musi rano wstać, wyrzuca nas. Przegra — siedziałby przy stoliku dwa dni bez przerwy...

— No, no — oponował lekko Dzierzgowski — nie pozwalajcie sobie za wiele.

Kiedy już wychodzili, Dzierzgowski zatrzymał Ordę i chwyciwszy go kurczowo za rękę, szepnął do ucha:

— Drogi panie, niech pan przyjdzie do mnie jutro o drugiej po południu. Chcę rozmawiać z panem w bardzo ważnej sprawie. Zdaje się, że będziemy mogli już coś konkretnego postanowić.

A potem dodał jeszcze tym samym przyciszonym głosem:

— Psiakrew, zgrałem się...

Orda, zmieszany i niemile zdziwiony, próbował się usprawiedliwiać:

— Doprawdy ogromnie pana przepraszam za wszystko...

Dzierzgowski machnął niedbale ręką i popchnął go lekko ku drzwiom.

— No, no, nic już, niech pan przyjdzie koniecznie jutro — wszystko będzie dobrze...

## XII

Na ulicy czekał na niego tylko Przedżymirski.

— A gdzie tamci? — zapytał Orda.

— Poszli do domu — ludzie pracy muszą wcześniej wstawać.

Długi czas szli obok siebie w milczeniu ogłuchłemi, bezludnemi ulicami, wreszcie Przedżymirski zapytał:

— Chce się panu spać, panie Orda?

— Wcale nie.

— No, to chodźmy w Aleje...

Skręcili na lewo i uszedłszy zaledwie kilkadziesiąt kroków, poczuli odurzający zapach świeżo rozkwitłych bzów. Zaczerniały przed nimi długą

sylwetą rzędy kopulastych kasztanów i wyłoniła się, niby zwid fantastyczny, niezgrabna architektura cerkiewki. Po drugiej stronie widać było tu i owdzie światła w oknach niektórych pałacyków, ukrytych misternie za splątaną tkaniną drzew i krzewów. Na ławkach tuliły się pary, tak sobą zajęte, że nie przerywały ani rozmów, ani uścisków, ani nawet pocałunków, kiedy obok nich przechodzili. Jakiś luby, łaskotliwy dreszcz szedł od tych drzew, od tych ludzi i świateł. Jakaś słodka, cicha rozkosz płynęła wraz z zapachem kwiatów.

— Oto jedyne miejsce — przerwał nagle milczenie Przedżymirski — które lekkomyślną bezsennością urąga całemu śpiącemu miastu! Oto jedyni ludzie, którzy usiłują przeczyć wojnie i przynajmniej jedną krótką chwilę pragną żyć tak, jakgdyby nie istniała ona razem ze swoją przeklętą polityką i zagadnieniem chleba kartkowego. Jakże mizernym, błahym i ladajakim jest cały kunszt strategiczny jakiegoś tam Hindenburga czy Ludendorfa wobec mądrości, która się wyraża w szczęściu dwojga ludzi. Za sto lat nasi następcy będą nam zazdrościć, żeśmy tak wielkie przeżywali czasy. I któż z nich wiedzieć będzie, że owa wielka katastrofa dziejowa uczyniła nasze życie jeszcze bardziej lichem, szarem i nudnem, niż było ono wtedy, kiedy się odwracały puste tylko karty historji! Ludzka wrażliwość wyczerpała się w przeciągu kilku pierwszych miesięcy wojny — wszystko, co potem nastąpiło, było biciem pałką po głowach zmęczonych, wyczerpanych, nie umiejących już nic więcej, jak tylko liczyć porządkową cyfrę uderzenia. Tylko zarozumiali głupcy mogą w to wierzyć, że się im udało wyłudzić od tych czasów jakieś doświadczenie. Każdy, kto tylko usiłował zbudować konstrukcję logiczną, wynaleźć system nieomylny, dostawał pałką po głowie i rozdziawiał szeroko gębę ze zdziwienia. Ta robota nie ma najmniejszych widoków powodzenia.

Dzisiaj nie pozostaje nam nic innego, jak zajmować się prostemi i ordynarnemi zagadnieniami, które przynosi brutalna rzeczywistość. Wewnątrz — uporządkowanie własnego śmietnika. Zewnątrz—okpiwanie słabszych, o ile istnieją, oraz mizdrzenie się do silniejszych, o ile to się na coś zda. A jeśli chodzi o jednego człowieka, najwyższą mądrością jest wielkim czasom ukraść kilka chwil małego życia...

— Cóż pan podczas wojny robił?—zapytał Orda nagle i obcesowo.

— Kradłem właśnie te małe chwile.

— I zręczny był z pana złodziej?

Przedżymirski uśmiechnął się ironicznie.

— Pan mnie indaguje nieznośnie, panie Orda, ale odpowiem panu. Udawało mi się przeprowadzić swoją teorję tylko do pewnego czasu. Widzi pan, zajmowałem się nad wyraz niepopularną dziedziną umysłową. Studjowałem filozofię i to po dyletancku. Ile razy wszczynałem dyskusję z jakimś docentem albo nawet słuchaczem czwartego roku filozofji, mówiono:—„Z panem dyskusja jest niemożliwa, albowiem nie zna pan terminologji naukowej." Wykształcenie moje jest bardzo niekompletne i chaotyczne. Udało mi się zdobyć pewnego rodzaju wyszkolenie intelektualne—nic po za tem. Ach, gdybym posiadał terminologję naukową, byłbym może sławnym myślicielem i mógłbym co najmniej oświecać panienki na wyższych pensjach żeńskich. A tak nie pozostaje mi nic innego, jak zostać wiecznym, niepoprawnym dyletantem. W ostatnich czasach interesowałem się głównie astrologją. Cóż można osiągnąć na tej drodze? Chyba otworzyć gabinet porad mistycznych i umieszczać codziennie w kurjerkach ogłoszenia z portretem swej osoby w fantastycznych szatach maga—byle handel szedł. Nie zważając na tak mizerne horoskopy, oddawałem się tym studjom warjackim przez cały czas wojny. No, ale widzi pan, panie Orda, nie jestem człowiekiem bogatym. Po-

mimo to, że ukryłem się razem z moją namiętnością w małem miasteczku i wiodłem życie nad wyraz skromne, szczupłym moim zasobom poczęło grozić zupełne wyschnięcie. Był długi czas, kiedy nie zwracałem na wojnę najmniejszej uwagi. Cóż mi ona mogła dać takiego, coby zastąpiło wspaniały, cudowny kraj myśli, dociekań i marzeń! Cóż mnie uwieść mogło, kiedym wstępował w podziemia nieodgadnione, straszliwe, gdzie na każdym kroku spotykałem mistyczne zjawy i dotykałem drżącemi rękoma tajemniczych skarbów? Czyż miałem przehandlować moje najgłębsze wzruszenie na fajerwerki szrapneli, widok dymiących zgliszcz i podziwianie obnażonych podłostek ludzkich. I zdarzało się nieraz, żem z szyderczem zdziwieniem oglądał zmienioną kartę Europy. Wreszcie jednak ja, com przez długi czas wołał: niema wojny!—musiałem powiedzieć: jest wojna! I dla mnie także jest wojna. Musiałem ją nawet zrozumieć, aby móc z niej wyciągnąć potrzebne mi korzyści.

Umilkł, jakby wyczerpany, zmęczony. Orda, przejęty do głębi dziwacznem wyznaniem, nie zdołał pohamować odruchowego, gorączkowego pytania:

— No i cóż dalej?

Przedżymirski uśmiechnął się znowu nawpół ironicznie.

— Zdołałem pana zaciekawić, posiada pan prostą i bardzo miłą wrażliwość, to dobrze. Otóż, przybyłem tutaj, aby szukać tego, co jest niezbędne do dalszego życia. Ale, niestety, czas nie jest dla mnie pomyślny. Ten rok i rok następny to moje złe lata. Mogę tylko zdziałać coś przez drugiego człowieka. Takiego człowieka szukam, takiego człowieka potrzebuję koniecznie...

Umilkł i zawrócił ku miastu. W ciemnym płaszczu nocy zalśniły pierwsze blaski świtu. Kroki ich dudniły miarowo po kamiennym chodniku.

W Łazienkach ozwał się nieśmiały świergot ptactwa i rósł coraz bardziej w żarliwe powitanie dnia.

— Przybyłem tutaj — zaczął znowu — i zobaczyłem to, co przewidziałem. Te czasy anormalne podnieciły ludzką normalność, zaostrzyły codzienny apetyt. Wyciągają się chciwe ręce, otwarły się gęby nienasycone. Zastawiony jest suto stół biesiadny i wszyscy cisną się do niego.

Stanął nagle i wznosząc do góry hardy łeb, zabłysnął oczyma przepaścistemi, jak otchłań, w której odbijają się gwiazdy.

— I ja się cisnę także — wołał w namiętnem uniesieniu — i dla mnie kęs! I mnie się coś należy! Wyszedłem na żer! Mam prawo!

Orda patrzył na niego, podniecony, zdumiony. Lęk potworny, gwałtowny, jak ból, który chwyta nagle, drapieżnie, przyśpieszył niespokojne bicie serca.

— Pan mówi rzeczy okropne...

Tymczasem Przedżymirski uspokoił się i odparł sucho, zjadliwie:

— Nie mówię nic okropnego. Zresztą, pan, panie Orda, robi to samo, co ja. Tylko może z mniejszą świadomością.

— Ja? skądże pan może o tem wiedzieć?

— Bo znam ludzi, bo pana obserwuję już od dłuższego czasu.

Orda instyktownie usiłował zebrać wszystkie siły, aby odeprzeć atak.

— Wszystko, co pan powiedział, nie odnosi się zupełnie do mnie. Przedewszystkiem wojna dała mi więcej, niż całe moje dotychczasowe życie. Najpiękniejsze chwile, jakie przeżyłem, to wspomnienia wojenne.

— Przypadek, nic więcej... To pana wytrąciło właśnie z normalnej drogi. Rozumie pan, przypadek.

— O! gdybyż więcej takich przypadków! Byłbym szczęśliwy. O gdybym mógł znowu włożyć mundur!

Ale to kiedyś nastąpi — przyjdzie chwila. Tymczasem nie marzę o niczem innem, jak tylko o stworzeniu sobie skromnego, cichego okresu przejściowego...

— To się panu nie uda.

Orda żachnął się gwałtownie i potrząsnął zaciśniętemi pięściami.

— U djabła, nie należy przepowiadać za wiele. Tak mało żądam, że muszę wierzyć. Moje dążenia są najskromniejsze pod słońcem.

Przedżymirski zaśmiał się szyderczo.

— I któż to ma panu pomóc. Coś mi o tem wspominał Dzierzgowski, rekomendując pana, jako partnera dzisiejszej gry...

— Choćby Dzierzgowski...

— I pan mu wierzy i pan myśli chociaż przez chwilę, że on naprawdę interesuje się czyimś losem.

— Jeśli nie on, to będą inni — prędzej czy później...

Przedżymirski przyskoczył do niego i chwyciwszy za ręce, potrząsnął gwałtownie:

— Otóż właśnie błąd zasadniczy. Ci ludzie będą zawsze tymi samymi. Ależ to trzeba nareszcie raz zrozumieć. Zmienią się ich nazwiska, będą wyobrażać inne przekonania polityczne, mogą zmienić kolor włosów, cerę, wzrost i frazesy, ale ich treść wewnętrzna nie ulegnie zmianie przez cały ten okres chodzenia na czworakach. Pan będzie zawsze wydzielać z siebie fluid, którego oni nie znoszą, nie cierpią.

Patrzył mu przenikliwie w oczy i ciskał słowo za słowem, jak strzały jadowite.

— To są czasy tych ludzi właśnie, nie pana. I nie moje także. Pan jest gwiazdą, wytrąconą nagłem wstrząśnieniem kosmosu z drogi przeznaczenia. Pan błądzi, szuka, przecina w ciemnościach szlaki cudze, napróżno sypie snopy iskier, a do swego łożyska trafić nie może. Pan jest prosty,

uczciwy, a wszystko się sprzysięgło, aby uczynić pana...

— Kłamstwo — przerwał z wściekłością Orda — dość tych bredni mistycznych... zabraniam. Jakiem prawem pan mi to mówi? Skąd pan może wiedzieć, kto ja jestem...?

Przedżymirski podniósł rękę do góry ruchem uroczystym.

— Znam ludzi, badam ludzi, myślę o ludziach. I o panu myślę także. Widziałem pana, chociaż pan mnie nie widział. My się jeszcze spotkamy. My się spotkać musimy. Niech pan o tem pamięta, że ja mogę pana ocalić — nikt inny... tylko ja...

Orda wybuchnął śmiechem donośnym, jakby tym mglistym słowom przeciwstawić pragnął zdrowe, brutalne szyderstwo normalnego człowieka.

— Głupstwo i koniec... — mruknął, machając pogardliwie ręką.

— Gdyby pan chciał mnie znaleźć...

— Nie będę pana nigdy szukać.

Usta Przedżymirskiego wykrzywił grymas ironicznej pobłażliwości.

— Nie można przewidzieć! Ludzkie drogi schodzą się niespodziewanie.

Orda skłonił mu się wyzywająco.

— Żegnam pana.

Ale przedżymirski zatrzymał go stanowczo, niemal rozkazującem poruszeniem ręki:

— Chcę jeszcze jedno wiedzieć, proszę bardzo, niech mi pan powie koniecznie.

— O co chodzi? — burknął Orda, niezadowolony, że go zatrzymuje.

— W którym miesiącu i którego dnia pan się urodził?

— Cóż to ma być? horoskop astrologiczny?

— Głupstwo, drobnostka, moja głupia manja, lubię wiedzieć!

Orda wzruszył ramionami.

— Mogę panu powiedzieć, ale wypraszam sobie zgóry wszelkie przepowiednie. Urodziłem się dwudziestego pierwszego lutego.

— Aha, Saturn — mruknął Przedżymirski — domyślałem się. Dobrze, że nie księżyc...

I jakby obawiając się, aby mu nie uciekł, chwycił go znienacka za guzik surduta.

— Gdyby pan miał ochotę znowu grać...

Orda uderzył go nienawistnym błyskiem wzburzonych oczu.

— Nie będę grał więcej...

— Ale gdyby się zdarzyło. Niech pan pamięta, że teraz zbliża się dla pana dobry, szczęśliwy czas! Druga połowa czerwca! A noc z piątku na sobotę jest dla pana zawsze najlepsza. Należy tylko zawsze panować nad sobą i być jednocześnie odważnym. Mówiłem już panu: dosiąść szczęścia, jak warjackiego konia i śmiało ruszyć galopem...

— Szarlatanerja! — wrzasnął Orda z całej siły i zawróciwszy na pięcie, szybko odszedł.

## XIII

Dopiero następnego dnia Orda uporządkował wygrane pieniądze.

Jedne banknoty były zmięte, jakby namiętnościami ludzkiemi porażone, inne, prawie jeszcze nietknięte, pyszniły się świeżością niepokalaną. Orda ułożył je razem, systematycznie, po jednej i tej samej stronie. Było razem półtora tysiąca marek zgórą.

...Patrzajcieno — pomyślał, uśmiechając się wesoło — taka to niby niewinna miała być gierka, a tymczasem wpadło mi prawie półtora koguta. Stosunki z rządem polskim wcale się nieźle zaczynają.

Wedle dawnego przyzwyczajenia tysiąc marek schował do biurka pomiędzy papiery, jako żelazną

rezerwę. Resztę włożył do portfelu. Z prawdziwą rozkoszą poczuł znowu, że na krótki przynajmniej przeciąg czasu jest swobodny, niezależny, że odjęte zostały głupie, codzienne troski.

Zacisnął pięści i oświadczył głośno:

— Tych pieniędzy, moi panowie, nikt mi teraz nie wydrze!

Sądził bowiem, że fortuna tym razem spłaciła znowu jeden ze starych długów! Jakiż to wyborny, nieszacowany kaprys przypadku! Przypomniało mu się, jak to mu kiedyś ktoś tłumaczył, że każda przegrana jest właściwie tylko lokowaniem oszczędności. Nic w przestrzeni i czasie nie ginie. Prędzej czy później następuje zwrot pieniędzy, które uważa się najczęściej za stracone. Uśmiechnął się wesoło, niefrasobliwie. Właśnie zwrócono mu jego stare oszczędności. Jedna pozycja rachunku została wyrównana.

Jak błyskawica, mignęła myśl:

...A może jeszcze raz spróbować szczęścia i pójść wieczorem do klubu z temi kilkoma setkami. Może powodzenie wczorajsze było zapowiedzią dłuższej weny, może się już nareszcie skończyła uparta kontrpassa, a zaczęła dewena kogoś innego. Nie powinno się właściwie przepuszczać takich sposobności.

Mimowoli począł się zastanawiać.

...Jakiż to dzień mamy dzisiaj? Ach, prawda, poniedziałek, poniedziałek — nie piątek. Szkoda, że to nie piątek. Z przyjemnością przegrałby nawet kilkaset marek, aby potem spotkać Przedżymirskiego i móc mu powiedzieć:

— Jeśli wszystkie pańskie teorje tyle są warte, co teorja piątkowa, to doprawdy nie warto się niemi wcale zajmować.

...Cóż to za bezczelny blagier ów Przedżymirski! Ciekawa rzecz, czy są ludzie, którzy go biorą na serjo? A jednak trzeba przyznać, że jest w nim coś niezwykłego. Gdyby ten człowiek umiał pracować

w rzetelny sposób, mógłby daleko zajechać. Powiedział bądź co bądź wiele rzeczy zastanawiających.

Orda uczuł nawrót tego samego dziwacznego lęku, który odczuwał w czasie wczorajszej rozmowy. Ten człowiek, który rozmawiał z nim po raz pierwszy, przenikał go. Ostatecznie nie należy się zarzekać. Dlaczegóżby nie mieli spotkać się ze obą. Trzeba tylko poprosić go, aby nie wprowadzał do rozmowy tak niemiłego tonu osobistych insynuacyj.

— Panie Przedżymirski—powie mu—każdy człowiek, nawet tak prosty, jak ja, jest wielką zagadką. Niepodobna rozwiązywać jej w przeciągu kwadransa.

Nagle przypomniał sobie, że się zbliża już umówiona z Dzierzgowskim godzina. Ubrał się tedy szybko i wyszedł. Po dr dze wstąpił jeszcze do kwiaciarni i posłał Jadźce olbrzymie drzewko bzu. Na bilecie wizytowym napisał tylko dwa słowa: „Pamiętaj, niedługo!..“ Postanowił przecież nie odwiedzić jej prędzej, aż będzie mógł jej dać to, o czem marzył. Rozkosz małego życia. Któż to tak powiedział?

I znowu wyrosła przed nim zadumana twarz Przedżymirskiego, przesunął się po niej tajemniczy, niepokojący uśmiech.

Ale odpędzął ją od siebie, jak złe widmo, szukając zapomnienia w rozkosznym blasku gorących promieni słońca.

Z uderze iem drugiej godziny wpadł do bramy pałacu. Kilkoma gwałtownemi susami przebiegł schody. Tym razem czekać nie potrzebowal. Woźny go poznał i zaprowadził natychmiast do gabinetu Dzierzgowskiego.

Pan dyrektor powitał go z przesadzoną niemal uprzejmością i zalał potokiem wyuzdanych grzeczności, słodziutkich komplementów. Na twarzy jego wykwitał uśmiech rozkoszny, przymrużał powieki i cedził nieustannie słówka miodopłynne.

...Co to wszystko ma znaczyć? — myślał Orda, zaniepokojony.

— Drogi panie! muszę panu wyznać, że wczoraj podbił pan nas wszystkich swojem zachowaniem, pełnem wytwornej prostoty. Gra jest najlepszą próbą człowieka. Okazał się pan dżentelmanem bez skazy najmniejszej. Zachwycił pan mnie i moich znajomych...

Orda uśmiechnął się niedowierzająco. Dzierzgowski, spostrzegłszy na jego twarzy wesoły grymas powątpiewania, natychmiast replikował:

— Nic to nie znaczy, że pan nas trochę wypruł. Przegrać do miłego partnera jest zawsze większą przyjemnością, aniżeli ograć nieokrzesanego brutala. Karta panu waliła niesłychanie, to prawda, ale mam wszelkie prawo przypuszczać, że podda się pan z tym samym wdziękiem smaganiom losu. Jestem niesłychanie zadowolony, że udało mi się zdobyć tak miłego towarzysza.

Orda uznał za stosowne bąknąć:

— Panie dyrektorze, jest mi nadzwyczajnie... przyjemnie...

— Po za tem — ciągnął dalej Dzierzgowski — wciąż jeszcze nie mogę zapomnieć pańskiej opowieści o przejściach na warszawskim bruku. Zrobiła na mnie niesłychane wrażenie — tak nawet silne, że nie mogłem się oprzeć chęci zrobienia z tego użytku.

— Użytku? — zapytał Orda, zdziwiony niepomiernie.

— Tak jest, z mojej inicjatywy najzdolniejszy z moich referentów, pan Eisenstein, napisał artykuł o strasznem położeniu młodzieży, tej młodzieży polskiej, która w szlachetnym, aczkolwiek lekkomyślnym zapale, porzuciła szeregi legjonowe i stanąć musiała do walki z wszystkiemi niebezpieczeństwami, jakie wytwarza bezczynność, przymusowa bezczynność. Właśnie to, co pan opowiadał, posłużyło nam za podstawę do artykułu, który, mówiąc

nawiasem, udał się Eisensteinowi wybornie. Przeczyta go pan zresztą jutro w naszem piśmie.

Orda poczuł dziwny, brzydki niesmak.

— Bardzo jestem obowiązany, ale bynajmniej nie w tym celu zwierzyłem się panu dyrektorowi z moich mizernych kłopotów. Gdybym przez chwilę przypuszczał, że stanę się tematem dla pana Eisensteina, wolałbym milczeć...

— Tem lepiej, drogi panie, był pan szczery zupełnie i tem cenniejszy był materjał, którego nam pan dostarczył. My musimy chwytać rzeczy na gorącym uczynku, to proste. Gdyby pan wiedział o moich zamiarach, skonstruowałby pan zupełnie inaczej swoje opowiadanie. Zresztą, pańską skromność rozumiem i pochwalam.

Dzierzgowski zamyślił się i po chwili zwrócił się znowu do Ordy:

— A teraz inna sprawa. Pan życzy sobie, aby zużytkować jego zdolności, jego energję i chęć do pracy.

— Tak, bardzobym pragnął.

— Doskonale, stanie się to niewątpliwie. Muszę panu jednak wyznać, że w obecnem stadjum nie jestem w stanie określić odrazu dokładnie w jaki sposób zostanie pan wciągnięty do pracy. Ustawiczne zmiany, reorganizacje, które wciąż następują, nie pozwalają mi dać dzisiaj odrazu zdecydowanej odpowiedzi. Pan rozumie?

— Rozumiem, będę tedy czekał, aż...

— Ależ nie — przerwał mu niecierpliwie Dzierzgowski — doskonale sobie zdaję sprawę do czego pan się właśnie nadaje. Mogę to panu nawet ściśle określić. Będzie to zawsze pewnego rodzaju służba dyplomatyczna. Pan jest człowiek zdecydowany, odważny, pana możemy wyprawić nawet na najbardziej niebezpieczną awanturę.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Tak, ale widzi pan, obecnie decyduje się,

do kogo to będzie należało czy do nas, czy do ministerjum spraw zewnętrznych? A może ministerjum spraw wewnętrznych zużytkuje pana najlepiej? W każdym razie, pragnąc na pana liczyć, postanowiłem zobowiązać go sobie do pewnego stopnia formalnie. Rozumie mnie pan?

— Niezupełnie...

Dzierzgowski spojrzał błędnemi źrenicami i nagle opuścił powieki. Głos mu się dziwnie załamał.

— Widzi pan, rozporządzam pewnym funduszem, tajnym funduszem... otóż z tego funduszu otrzyma pan zaraz pewną zaliczkę, która zobowiąże...

— To jest niepotrzebne — przerwał Orda — stawię się i tak na każde zawołanie.

Ale Dzierzgowski nie pozwolił się zbić z tropu.

— Owszem, to jest potrzebne, zawsze postępujemy tak w podobnych wypadkach. Zresztą, proszę przyjść do mnie jutro o tej porze, przygotuje dla pana pewną probną robotę.

Orda wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem się doprawdy na tych wszystkich ceregielach. Jeżeli pan uważa, że tak być powinno...

Dzierzgowski niespokojnym, nerwowym ruchem wyciągnął czem prędzej gruby, wypchany portfel i począł drżącemi rękoma odliczać banknoty. Podsunął je Ordzie, poczem zerwał się z miejsca i podszedłszy tuż do niego, począł szeptać cichutko, rzucając od czasu do czasu trwożliwe spojrzenie za siebie:

— A teraz powiem panu coś prywatnie... Wczoraj zgrałem się okropnie, muszę do wieczora uregulować długi, zrobi mi pan wielką uprzejmość, jeśli mi pan na krótki termin część tych pieniędzy pożyczy. Będę panu niezmiernie zobowiązany. Widzi pan, mógłbym i tak wziąć. Ale ja muszę być zawsze w porządku.

Chwycił go za rękę i potrząsając nią, zapytał:

— Dobrze?

Orda zamyślił się i rzekł krótko:

— Dobrze, rozumiem teraz wszystko, ale żądam, aby tak było, jak pan mówił.

Dzierzgowski potrząsnął jego ręką jeszcze mocniej:

— Rozumie się, kochany, drogi przyjacielu...

Odetchnął głęboko i cofnąwszy się znowu za biurko, podał Ordzie kawałek papieru:

— Proszę, niech pan napisze kwit. Poprostu... otrzymałem... od... data i podpis... doskonale... jutro się znowu zobaczymy.

Odprowadzając Ordę do drzwi, poklepał go po ramieniu, jakby chciał przez to wyrazić radość z przeprowadzenia całej sprawy.

— No, drogi panie — zapytał go jeszcze na odchodnem — niech mi pan powie, ale szczerze: czy my już robimy wrażenie rządu?

— Niewątpliwie, niewątpliwie — odparł Orda, nie mogąc powstrzymać ironicznego uśmiechu.

## XIV

Orda przeniknął odrazu niezręczne machinacje Dzierzgowskiego.

Nie sprzeciwiał im się z dwóch powodów. Przedewszystkiem paliła go najzwyczajniejsza ciekawość, jak się to wszystko skończy, a po drugie chciał mieć Dzierzgowskiego w ręku. Sama myśl, że ten komedjant, pozujący na wielkiego dyplomatę i polityka, zaplątał się we własne sieci, sprawiała mu radość niepomierną. Przeczuwał, że wszystko zmierza do jakiejś walnej między nimi rozprawy. Postanowił tedy czekać na rozwój wypadków i na razie być tylko biernym widzem.

Od dłuższego już czasu Dzierzgowski unikał go misternie i przy pomocy rozmaitych wyrafinowanych sztuczek zapobiegał katastrofie osobistego zderzenia.

Polecił mu wprawdzie przeglądanie roczników prasy codziennej i grupowanie materjałów w różnych sprawach, widocznem jednak było, że chodziło panu dyrektorowi przedewszystkiem o uspokojenie sumienia Ordy i wpojenia w niego przekonania, iż wszystko odbywa się w należytym porządku. Sporządzał tedy przeróżne wykazy, spisy, gromadził stosy wycinków i przesyłał je codziennie Dzierzgowskiemu ze skwapliwą sumiennością, jakkolwiek dobrze rozumiał, że była to praca nikomu niepotrzebna, że stosy, gromadzonych przez niego, materjałów miały zginąć raz na zawsze w przepaścistych szufladach, których nikt nigdy nie otworzy. Orda postanowił jednak dobrnąć do końca, pracował z zaciekłością, aby tym sposobem czem prędzej zdobyć prawo do ostatecznej z Dzierzgowskim rozprawy. Orda czekał na tę chwilę, jak na zasłużoną nagrodę. Odkąd grę całą doskonale począł rozumieć, wzrastała w nim mściwość, pewna siebie.

Ważył chłodno i w szczegółach wytrwale obmyślał plan, który miał mu przynieść zadowolenie osobiste i doprowadzać do skutku to, czego pragnął. Postanowił być zimnym, wyrachowanym i nad miarę praktycznym — poprzysięgał sobie raz po raz, że się nie da unieść żadnej wspaniałomyślności, ale wyzyska jak najlepiej osiągniętą przypadkiem nad Dzierzgowskim przewagę.

...Ho, ho, wpadłeś w sidła, panie dyrektorze — myślał — teraz będziesz się pocić.

Gniewało to Ordę i do ostatecznej doprowadzało pasji, że go Dzierzgowski, jako grat niepotrzebny, odrzucił; przeklinał chwile rozpasanej szczerości, żałował każdego niemal słowa, odczuwał palący wstyd, kiedy przypominał sobie, jak się naiwnie mu spowiadał i wyznał wszystko poprostu, do dna. Obłędna mgła wściekłości niepohamowanej osuwała mu się wtedy na mózg. Krzyczał głośno, wygrażał pięściami i skakał po pokoju, jak ranny zwierz.

Ale rychło uspokajał się, podniecenie przeobrażało się w straszliwy chłód przemyślnego okrucieństwa, lodowatą chytrość...

Rozprawa z Dzierzgowskim stała się szczytem, do którego dążyły wszystkie najbardziej nawet wygórowane ambicje, pochłaniała go w zupełności.

Z początku spodziewał się, że spotkają się przypadkowo. Przypuszczał także, iż Dzierzgowski będzie go szukał prędzej czy później, jako niezbędnego „czwartego" do partji. Ponieważ jednak znał doskonale podobne sytuacje, zrozumiał wlot, że pierwsze tak wybitne powodzenie uczyniło go gościem niepożądanym. Prawdopodobnie Berski i Bogusiński chętnieby się z nim jeszcze raz spotkali, aby spróbować, czy się go nie da „rozpruć". Ale Dzierzgowski był jego dłużnikiem. Gdyby zasiadł do stołu gry z Ordą, szanse jego znacznieby się zmniejszyły. Wygrywając nawet, musiałby wyrównywać przedewszystkiem stare zobowiązania. Dług Ordy wisiałby nad nim nawet w czasie największego powodzenia, jak miecz Damoklesa. Obawiał się na pewno tej chwili, kiedy graczowi, zgarniającemu już pulę, oznajmi ktoś dobitnym, twardym głosem:

— Pardon, mamy przecież ze sobą rachunki...

W tych stosuneczkach mętnych, przy rozwielmożnieniu się hazardu pomiędzy ludzi wszystkich gatunków, gdzie co drugi partner był utajonym łowcą szczęścia, sytuacje podobne zdarzały się bardzo często, a nawet przechodziły w stan chroniczny. Wydzierano sobie „żywą gotówkę" wszelkiemi dozwolonemi i niedozwolonemi sposobami, wyzyskiwano niemiłosiernie naiwnych, którzy wracali do domu bez grosza, posiadając kolosalne plusy... w notesie. I Orda sam nie był wolny od tego rodzaju grzechów, ale został zdeprawowany przez innych i tem się przynajmniej odznaczał, że grał na słowo tylko wtedy, kiedy wystrzelał już ostatnie naboje. Zresztą, rychło postanowił sobie unikać „gry pry-

watnej", jako najniemoralniejszej formy hazardu. Bywał tylko w klubach publicznych, gdzie tak zwanych graczy „na lampę" już po pierwszej próbie usuwano bezwzględnie od stołu. Nawet największe i najsromotniejsze klęski osładzał sobie zawsze myślą:

— Przynajmniej nic nikomu nie jestem winien.

Dzierzgowski natomiast należał do graczy wręcz odmiennego typu. Właśnie gra prywatna, gra z ludźmi, zależnymi nieraz i związanymi z nim w najrozmaitszy sposób, dozwalała mu snuć przeróżne kombinacje. Kiedy szczęście sprzyjało, żądał zasad surowych, bezwzględnych, podkreślał przy każdej sposobności, że gra nawet z najserdeczniejszymi przyjaciółmi musi opierać się na ogólnie przyjętych prawidłach. Przerywał seans zawsze w chwili największego powodzenia, tłumacząc się, że właśnie jutro rano ma jakieś nader ważne posiedzenie. Zdarzało się nawet, że nie mogąc inaczej gry przerwać, obrażał się pod ladajakim pozorem na któregoś z partnerów i mimo protestów, uciekał, przytrzymując kurczowo plik zmiętych banknotów. Kiedy zaś prześladowało go niepowodzenie, wyzyskiwał dobrze znane słabości wszystkich, jednym przypominał tonem żartobliwym o swojem stanowisku, to znowu odwoływał się do uczuć koleżeńskich i zwracał uwagę, że pomiędzy serdecznymi znajomymi nie należy robić sobie krzywdy. Przy „banku" doprowadzał przegraną „na słowo" aż do absurdalnej wysokości i zmuszał wierzycieli, aby pozwalali mu się odgrywać w nieskończoność. Urządzając u siebie słynne „partyjki", starał się dobierać graczy jak najmniej niebezpiecznych, wyszukiwał umyślnie znanych „pechowców" i wietrzników, rzucających pieniądze garściami, bez zastanowienia.

Widocznie Orda zawiódł pokładane w nim nadzieje. Okazał się zbyt trzeźwym, zbyt panującym nad sobą i zbyt grę rozumiejącym, aby mógł zdo-

być sobie uznanie Dzierzgowskiego. Dlatego prawdopodobnie nie otrzymał nowego zaproszenia — dług zaciągnięty miał się rozpłynąć w mgławicy czasu.

Po ukończeniu roboty, powierzonej mu przez Dzierzgowskiego, Orda postanowił niezwłocznie z nim się zobaczyć — za wszelką cenę, choćby to nawet wymagało ordynarnej, chamskiej awantury. Właściwie Orda nawet pożądał takiego wydarzenia, w któremby się mogła wyładować chęć zemsty i wciąż wzrastające podniecenie.

Nieraz wydawało mu się, że oto właśnie wszedł do gabinetu Dzierzgowskiego. Usiedli, pan dyrektor rzuca nań niepewne spojrzenie, a potem usiłuje pogrążyć go w powodzi słówek płynnych, wodnistych i nic nieznaczących. Naciera niestrudzenie łaskotliwem ostrzem domyślników i pochlebstw. Widać, że choć ze zwykłą rutyną, ale w pocie czoła pracuje nad tem, aby wywołać na ustach jego przyjazny uśmiech. Wszystko napróżno! Twarz Ordy jest nieruchoma, wszystkie słowa Dzierzgowskiego odskakują od niej, jak piłki od ściany granitowej — wyraża się w niej spokój kamienny i złowieszcza, twarda nieustępliwość.

Nastaje długa, przerażająca chwila milczenia — słychać tętno bijących pulsów.

Dzierzgowski patrzy nań zmartwiałemi źrenicami. Wtem Orda poczyna mówić. Każde jego słowo jest bezlitosnem, świszczącem uderzeniem bata. Odsłania aż do najdrobniejszych szczegółików, aż do najodleglejszych zakamarków niskość jego postępowania. Wysnuwa cierpliwie niteczkę po niteczce, wiążąc w jeden splot wszystkie słówka, odruchy, postępki, aby utkać z nich wreszcie wzorzysty obraz jego małodusznej nikczemności.

Dzierzgowski słucha uważnie, wreszcie wybucha gwałtownie:

— Poco pan to mówi?! Pan mnie znieważa!

Ale Orda nie daje się zbić z tropu i odpowiada sucho:

— Właśnie przyszedłem tu poto, aby wywołać skandal. A im ten skandal będzie większy, tem lepiej dla mnie.

— Pan mi niczego udowodnić nie może — odpowiada Dzierzgowski i porusza przytem rękoma, jakby szukał oparcia.

— Tak, to prawda—mówi Orda z triumfującym uśmiechem — ale pan zapomina o tem, że czasami sam skandal wystarczy, aby kogoś zniszczyć. Skandal zabija niektórych ludzi na wysokich stanowiskach. Nie przypuszczałem nigdy, że pan tak nieopatrznie postąpi. Uważałem pana za złego, chytrego człowieka. Ale, niestety, jakże się niesłychanie rozczarowałem — pan jest podobnym do innych — zwykłym, lekkomyślnym głupcem.

Dzierzgowski zrywa się, blady, i krzyczy zduszonym głosem:

— Milczeć!

A potem ogląda się trwożliwie czy aby nie krzyknął za głośno.

Orda uśmiecha się.

— Drogi panie, nie radzę panu podnosić głosu, to nie jest w pańskim interesie. Jakkolwiek jest pan wysokim dygnitarzem, nie należy jednak zapominać, że właśnie tam, za ścianą, siedzi przy biurku jeszcze większy dygnitarz — pański przełożony. Widziałem, jak mu się pan kłaniał uniżenie i słodko — lokajskim uśmiechem łechtał. Cóżby było, gdyby tu wybuchła nagle ordynarna, chamska awantura? Cóżby się stało, gdyby się nagle otworzyły drzwi sąsiednie, gdyby wszedł, zdziwiony i zgorszony, pański kacyk. Zapewne kazalibyście obaj opuścić mi dostojny gabinet, zanimby się jednak to stało, zdążyłbym pana skompromitować.

Dzierzgowski ociera pot z czoła, wreszcie rzuca niespokojne pytanie:

— Czego pan żąda?

— Nareszcie dochodzimy do porozumienia — mówi Orda i uśmiecha się przytem ironicznie — moje żądania są bardzo skromne, żądam tylko tego, co mi pan obiecywał.

Czyżby to było tak wiele? Orda miał przecież prawo żądać od Dzierzgowskiego odpowiedzialności za obietnice nieoględne, których nie miał zamiaru wypełnić, ale które, mimo to, całe jego życie skierowały na nowy tor. Zwrotnica już dawno została nastawiona, pociąg był w biegu. Orda postanowił go nie zatrzymywać, w każdej innej sytuacji byłby może najmniejszej do tego nie przywiązywał wagi, ale teraz nie mógł się zgodzić pod żadnym pozorem na porzucenie raz powziętych nadziei.

Zresztą, nie wątpił o wygranej!

Dzierzgowski będzie próbował się opierać, zażąda zwłoki, ale przyparty do muru, ulegnie wkońcu. W godzinę wszystkie formalności zostaną załatwione i Orda wyjdzie z pałacu, mając nominację w kieszeni...

## XV

Orda wchodził do pałacu z twarzą spokojną, ale dziwnie surową, nacechowaną zimnem, nieodwołalnem postanowieniem. Dreszczyk lekkiego niepokoju, który raz po raz stos pacierzowy łoskotał, był tylko zwiastunem doniosłej chwili, którą miał niebawem przeżyć. Postanowił nie cofać się pod żadnym pozorem, tym razem Dzierzgowski już mu się nie wywinie, szedł do niego, aby od jednego zamachu fałszywe, niejasne, dręczące go położenie nareszcie wyświetlić. Nie miał już prosić, szedł żądać i czuł, że go nic od tego nie powstrzyma.

Nie anonsując się, nie pytając nikogo o nic, wtargnął śmiało do gabinetu Dzierzgowskiego, chociaż słyszał wyraźnie, że za drzwiami toczy się ożywiona, hałaśliwa rozmowa. Stanął na progu, blady,

z zaciśniętemi kurczowo szczękami, ściągniętemi brwiami, z głową, pochyloną naprzód, podobny do złego psa, który, milcząc, rzuca się nagle potężnym skokiem na przeciwnika.

Ale Dzierzgowski, jakby rozumiejąc nagłe niebezpieczeństwo, natychmiast go uprzedził i biegł doń z wyciągniętemi rękoma, wołając bezładnie:

— Ach, to pan! Nareszcie! Doskonale, że pan przychodzi. Właśnie miałem pisać. Sprawa pańska została już pomyślnie załatwiona... jak najpomyślniej. Zjawia się pan w samą porę.

Wskazał mu krzesło przy biurku.

— Proszę, niech pan siada, załatwimy zaraz... natychmiast... od ręki...

Orda usiadł i uczuł w tej chwili, że długo podsycana zawziętość stopniała i stała się bezużyteczna. Jednocześnie jednak zachowanie Dzierzgowskiego sprawiało mu wielką radość. Wiedział dobrze, że ten człowiek, pochylony nad biurkiem i piszący coś gorączkowo, boi się go i gotów jest za cenę milczenia uczynić wszystko, czegoby zażądał. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu ironicznego i triumfującego zarazem. Był dumny.

Dzierzgowski skończył wreszcie i podał mu list.

— Przepraszam, że zalepiony, ale widzi pan — tajemnice urzędowe. Z tym właśnie listem będzie pan łaskaw zgłosić się do pana Berezowskiego, szefa sekcji. Najlepiej się stanie, jeśli pan pójdzie do niego zaraz, stąd parę kroków zaledwie, a właśnie teraz przyjmuje...

Orda poczuł nagle wzrastającą nieufność! A może to jeszcze jeden manewr Dzierzgowskiego, aby tylko pozbyć się go pod jakimś pozorem.

— Czy pan Berezowski wie coś o mnie? — zapytał sucho.

Dzierzgowski zaśmiał się wesoło.

— Ach, niewierny Tomaszu, ależ naturalnie. Tak, jak powiedziałem, sprawa jest załatwiona.

Przyjmie pana z otwartemi rękoma — jest mu pan zresztą potrzebny, rozumie pan: potrzebny, to przecież najlepsza rekomendacja... trzeba, żeby pan zaraz poszedł do niego, natychmiast...

Orda przeszył go spojrzeniem zimnem, przenikliwem.

— Gdyby jednak nie nastąpiło to, czego mi pan każe się spodziewać, wrócę tu natychmiast.

Ostatnie słowa wymówił z takim naciskiem, że mimowoli wszyscy spojrzeli na niego.

— Tak — powtórzył — wrócę tu prędzej czy później — mamy jeszcze ze sobą cośniecoś do załatwienia. O niczem nie zapomniałem, wszystko doskonale pamiętam.

Dzierzgowski napróżno usiłował ukryć zmieszanie. Podbiegł doń i sypnął gradem miłych słówek.

— Ależ zawsze widzę pana u siebie jak najchętniej... sprawia mi to najwyższą przyjemność. Proszę, aby pan o mnie nie zapomniał... pan jest czarujący człowiek. W każdym jednak razie nie zapominajmy o tem, że pan Berezowski czeka na pana...

Orda nie zwracał na tę paplaninę najmniejszej uwagi, skłonił się niedbale i wyszedł.

Osoba Berezowskiego nie była mu obca.

Niegdyś odegrał on nawet dość znaczną rolę wśród młodzieży akademickiej, będąc przodownikiem tak zwanej grupy „wyzwoleńców", oraz naczelnym redaktorem pisma ideowego „Wyzwolenie". Orda nie miał wprawdzie z tem nic wspólnego, od czasu do czasu jednak bywał na publicznych zebraniach zwolenników Berezowskiego i przysłuchiwał się uważnie długim a podniosłym dyskusjom, które obracały się najczęściej około zagadnień mało z rzeczywistością mających wspólnego, obcych wysiłkom nowoczesnej nauki, a usiłującym do życia znowu powołać teorje, dawno umarłe, i różne przestarzałe pomysły literackie, które utraciły już swoją

barwę i krasę. W pocie czoła trudzono się tu nad rozwiązywaniem zagadnień, które wogóle już od długiego czasu przestały istnieć, wsiąkając w nowe treści. Nie trzeba było być ani zbyt wykształconym, ani zbyt głębokim, aby bez trudu dostrzec w tem wszystkiem dyletantyzm najgorszego gatunku i ustawiczne uderzanie z rozmachem w próżnię. Ogarniała tu przytem każdego nieznośna atmosfera jakiejś obmierzłej słodkości, wzniosłości sztucznej i pompatycznego frazesu. Wszystko, co mówiono, ociekało szlachetnością, każde słowo odważniejsze, każdy gest bardziej brutalny i nieokiełznany wywoływały wśród słuchaczów takie przerażenie, jak zjawa szatana na zgromadzeniu wiernych. Niemniej jednak trzeba było przyznać, że wszyscy ci ludzie odznaczali się pewną wartością etyczną. Wiedli życie napółzakonników; głowy wypchane były stosami niepotrzebnych, nic nie znaczących frazesów, ale serca ich były czyste; w życiu nie uznawali kompromisów, niejednokrotnie mieli dość odwagi, aby nie oglądając się na nikogo, piętnować odważnie to wszystko, co było zdaniem ich złe i niemoralne. Podczas rozmaitych wydarzeń, stanowili, bądź co bądź, poważny sukurs dla wielu dążeń śmiałych i rewolucyjnych, przeciwstawiali się bez wahania rozpowszechnionym wśród ówczesnej młodzieży instynktom małomieszczańskim i wszelkim lichego gatunku apetytom. Wnosili ze sobą pewien niepokój, żądzę ustawicznego dociekania i doskonalenia się. I gdyby na czele tej garści zapaleńców, stanął ktoś z umysłem szerokim, dobrze wyćwiczonym i śmiałym mózgiem, byłby może rozpoczął niejedno usiłowanie ciekawe, niepowszednie i awanturnicze, byłby przyciągnął wielu innych, chodzących luzem i szukających napróżno jakiegoś oparcia. Tak zaś wszystkie owe zamierzenia rozpierzchły się bez widocznego śladu wśród jałowych dyskusyj

i podniosłych deklamacyj, pozostawiając wspomnienia mdłe i niejasne.

Orda, idąc do Berezowskiego, przypomniał sobie mimowoli jego twarz zadumaną, okoloną długiemi włosami, z pod których przeświecało wysokie, białe czoło, widział jego zawiędłe policzki, pokryte niedbałym zarostem, i gorące oczy, lśniące niegasnącym płomieniem zapału — widział całą jego postać, podobną do fanatycznego proroka. Jakkolwiek nigdy nie należał do jego zwolenników, sądził, że w każdym razie będzie mógł z nim rozmawiać szczerzej, aniżeli z kim innym, i że on właśnie, o którego szlachetności i dobroci tyle opowiadano, będzie uważał poprostu za swój obowiązek podeprzeć go i usunąć z jego drogi liche przeszkody.

Szedł tedy, pełen otuchy i wiary w powodzenie przedsięwzięcia. Przypuszczał zresztą, że i Dzierzgowski, z łatwo zrozumiałych powodów, uczynił wszystko, co było tylko w jego mocy.

W poczekalni biura znajdowało się bardzo wiele osób. Orda zdołał z trudem przecisnąć się do woźnego, któremu wręczył list i kartę wizytową.

Został przyjęty natychmiast.

Jakże wielkiem było jego zdziwienie, kiedy zobaczył Berezowskiego, siedzącego za biurkiem szefa sekcji. Był to zupełnie inny człowiek. Z dawnego prezesa „Wyzwolenia" nic a nic nie zostało. Miał przed sobą eleganckiego urzędnika w pełnym rynsztunku dżentelmana, o twarzy przeciętnej, ani złej, ani dobrej, niczem się nie wyróżniającej, chłodnej, spokojnej, ustrojonej w banalny uśmieszek sytego zadowolenia. W każdym jego poruszeniu znać było, że usiłuje zaznaczyć odniechcenia godność swojego stanowiska.

Orda poczuł się dziwnie zaniepokojonym, jakiś niespodziewany chłód wionął nagle, zmieszany stanął przed nim i bąknął niezbyt pewnym głosem:

— Jestem Orda... właśnie list dyrektora Dzierzgowskiego...

Berezowski wyciągnął do niego rękę.

— Bardzo mi przyjemnie, proszę, niech pan siada. Dyrektor Dzierzgowski polecił mi pana bardzo gorąco. I o tyle się dobrze składa, że właśnie ludzie, do pana podobni, są mi bardzo potrzebni.

Rzucił mu spojrzenie dumne.

— Wiem, zresztą, o panu wszystko. Dzierzgowski dokładnie mnie poinformował. Pan jest dzielnym, zdecydowanym na wszystko człowiekiem. Pan był oficerem linjowym, nieprawdaż?

— Tak...

Berezowski przechylił się na krześle i nie spuszczając oczu z Ordy, zawołał nagle:

— Mówmy więc ze sobą otwarcie!

Orda skinął głową.

— Tak będzie najlepiej, zwłaszcza, że do osoby pana mam wiele zaufania.

— Pan mnie zna prawdopodobnie jeszcze z dawnych lwowskich czasów.

— Tak.

— Pan był może członkiem „Wyzwolenia"?

— To nie, ale bywałem często na zebraniach i sympatyzowałem.

Berezowski zamyślił się, jakby słowa Ordy wywołały w nim nieoczekiwane wspomnienia.

— Tak—powtórzył półgłosem i ożywił sie znowu—to bardzo pięknie. Należy jednak zawsze pamiętać, że przeszłość nie powinna być nigdy hamulcem teraźniejszości. Powiedział ktoś nader słusznie, że człowiek, który w młodości swej nie był rewolucjonistą, nie przedstawia w wieku dojrzałym żadnej wartości. Wszystkim nam się kiedyś paliło w głowach. Wszyscy odczuwaliśmy tęsknotę i marzenia nieuchwytne, ale teraz nadszedł czas pracy twórczej i żmudnej jednocześnie, a przytem

niezmiernie realnej. Między młodością pragnienia a męskością czynu leży głęboka przepaść. Nie może być inaczej. Musimy o tem pamiętać, zwłaszcza my, pierwsi budowniczowie państwa polskiego. Nie wolno nam pod żadnym pozorem przywiązywać wagi do dawnych, przestarzałych uprzedzeń, musimy pogodzić się wreszcie z wszelką koniecznością. Niema takiej pracy, niema takiego celu, niema takiego fachu ani zajęcia, któreby dzisiaj nie były zaszczytne ze względu na doniosłość potrzeby nieodzownej. Sądzę, że pan to rozumie równie dobrze, jak i ja.

Orda nie zdołał jeszcze odgadnąć do czego właściwie zmierza Berezowski, rozumowanie jego wydało mu się jednak tak proste, że mimowoli potwierdził:

— Tak, rozumiem.

Na twarzy Berezowskiego pojawił się uśmiech niemal radosnego zadowolenia.

— To mnie ogromnie cieszy. Otóż, drogi panie, pan rozumie prawdopodobnie również, że państwo, jako takie, musi posiadać doskonałą znajomość tego wszystkiego, co się w jego granicach i poza jego granicami dzieje. Dzisiaj to pierwsze może nawet jest ważniejsze. Państwo musi być dokładnie poinformowane o wszystkiem, państwo musi rozporządzać jak najobszerniejszym materjałem informacyjnym. W tym właśnie celu postanowiłem zaprząc do pracy cały szereg ludzi, którzy będą sprawowali funkcje tak zwanych korespondentów, korespondentów miejscowych i zamiejscowych. Zadaniem ich będzie dostarczać nam informacyi, jak najbardziej szczegółowych. Szukam ludzi, którzyby się tego podjąć chcieli. I niech pan nie sądzi, panie Orda, że będę usiłował nęcić kogoś nadzwyczajnemi horoskopami materjalnemi — nie, szukam ideowców, którzyby zrozumieli wagę swej pracy, którzyby nie zważali, że ta praca nie wszędzie

będzie popularna, społeczeństwo nasze pełne jest nieraz dziwnych przesądów.

Orda przesunął ręką po czole, na twarzy jego widniał niezmiernie wytężający trud myśli.

— Niezupełnie jeszcze pojmuję.

Berezowski roześmiał się wesoło.

— Ależ, to proste — wyjaśnię na przykładzie. Dajmy na to, że otrzymuje pan zlecenie udania się do tego i tego powiatu. Na miejscu zbiera pan informacje o partjach, ludziach, stojących na ich czele, ilości członków, skali wpływów. Naturalnie dobrze będzie, jeśli uda się panu nawiązać osobiste stosunki z wybitnymi działaczami i przywódcami. Naturalnie, że interesować nas będą przedewszystkiem wszelkie ugrupowania, wrogie rządowi, stronnictwa radykalne i frondujące. Musimy przecież poznać zarowno ich siłę, jak i słabość, ich plany i zamiary, aby zapobiec zawczasu temu, coby mogło przeszkodzić budowie państwa i naszym celom. Sądzę, że mamy już dosyć siły i odwagi moralnej, aby nawet przy obcej pomocy stłumić szkodliwe usiłowania.

Orda siedział, jak skamieniały — wreszcie pojął i jasno zrozumiał, czego żądano od niego. Pochylił głowę, przytłoczony nadmiernym ciężarem smutku. Poczuł w sobie dziwny, nieukojony żal skrzywdzonego dziecka. Milczał.

Berezowski, zaniepokojony jego zachowaniem niezupełnie wyraźnem, próbował zręcznie się wycofać:

— Jeśli moja propozycja panu nie dogadza, nie mówmy o tem więcej.

Orda spojrzał na niego szklanemi, otępiałemi źrenicami.

— Nie mogę przecież zostać szpiegem.

— Pan nadużywa słów! — krzyknął tamten, podniecony.

Orda podniósł się zwolna, wyprostował skur-

czoną, zesztywniałą postać; zdawało mu się, że zrzuca z siebie wystrzępione, cuchnące łachmany.

— Panie szefie sekcji—rzekł głosem spokojnym, twardym—przepraszam za wszystko, ale widzi pan, zaraziłem się niepotrzebnie śmiesznemi złudzeniami. Pan myślał o jednem, a ja o drugiem. Przepraszam pana bardzo, ale ja nawet do ideowej polskiej ochrany, organizowanej przez prezesa „Wyzwolenia", wstąpić nie mogę.

Berezowski roześmiał się zjadliwie.

— Naturalnie, oto zwykła odpowiedź, nie po raz pierwszy ją słyszę.

Orda wlepił w niego rozognione spojrzenie.

— No, panie szefie sekcji, niech się pan nie śmieje tak pogardliwie. Przecież nie zaprzeczam, że pan jest niesłychanie logiczny, przyznaję panu słuszność zupełną — nie mam nic do zarzucenia. Powinien pan jednak być bardziej cierpliwy, trzeba umieć szukać zawsze odpowiednich ludzi. Niechno pan poszperą trochę po warszawskim bruku. Znajdą się z pewnością potrzebne panu indywidua. Zaręczam, moi panowie, że się szukacie wzajemnie i znaleźć się nie umiecie—wy, ludzie bez przesądów. Ale niech pan będzie spokojny, oni przyjdą tu sami, prędzej czy później. Nie powinien pan jednak tymczasem czynić podobnych propozycyj takim dyletantom, jak ja. Dosyć jest przecież specjalistów wykwalifikowanych w dobrej szkole.

Berezowski machnął niecierpliwie ręką.

— Mam nadzieję, że to, co zaszło, pozostanie między nami.

Orda uśmiechnął się ironicznie.

— Może pan być spokojny, szczycić się tem nie będę.

Berezowski nacisnął dzwonek i zwracając ku niemu twarz zimną, strojną w uroczysty, nieprzejednany uśmieszek, rzekł sucho:

— Żegnam pana i żałuję.

Szybko, elastycznie przedarł się Orda poprzez ciżbę czekających; dopiero na ulicy opanowało go znużenie i niespodziewana apatja, wlókł się jednak bez wytchnienia ociężałemi krokami naprzód...

## XVI

Ostatnie zdarzenia wywołały u Ordy stan zupełnego znużenia fizycznego i niemocy duchowej. Ustalił się w jego bytowaniu szczególny tryb życia, którego nie usiłował i nie umiał odmienić. Płynął na fali, jak statek z potrzaskanemi przez burzę wiosłami i sterem; z potarganemi żaglami płynął w nieznaną dal, której nie odgadywał jeszcze i nie przeczuwał nawet. Nie próbował się przeciwstawić prądowi—nieśmiałe odruchy woli ginęły, stłumione bezwzględną i okrutną siłą inercji. Wiedział, że prędzej czy później, nastąpić musi jakieś rozstrzygnięcie, że się rozewrze ciemna zasłona, przesłaniająca jego przyszłość, ale nawpół świadomie wierzył, że to się stać musi bez jego współdziałania. Czuł, że jest pionkiem, którego posuwają na szachownicy tajemnicze ręce przeznaczenia — najczęściej przypatrywał się sobie tak, jak komuś obcemu, był jednocześnie ciekawym widzem i aktorem, powtarzającym machinalnie narzuconą mu rolę.

W długim łańcuchu takich dni ponurych, beznadziejną szarzyzną obleczonych, błysnęła mu tylko jedna nieprzeparta pewność.

Było to poczucie zupełnej samotności!

Nigdy do tej pory nie objawiła się tak jasno i niezbicie. Podsycana dotychczas nawpółświadomemi domysłami, pod wpływem przeżyć i doświadczeń ostatnich wyłoniła się wreszcie świadomość zupełnej obcości, ustaliła nieodmienny bieg rzeczy i stała się istotnym wyrazem jego stosunku do całego świata i wszystkich ludzi.

Nawet Jadźka stała mu się wówczas zupełnie obojętna. Nie pożądał nikogo, nie tęsknił za żadną

rozrywką ani spotkaniem; jeśli przypadkiem dostał się w jakieś towarzystwo, poczynało mu ciążyć nabawem, jak nieznośny przymus. Obserwował ludzi najchętniej zdaleka. Całe ranki spędzał na długich, samotnych spacerach, często zapuszczał się w podmiejskie okolice Warszawy, gdzie na ruinach dawnej wspaniałości i minionego zbytku gnieździły się gromady nędzarzy i rzezimieszków. Po południu zmieniał kierunek i rozpoczynał nieprzerwaną włóczęgę po rozmaitych cukierniach, restauracjach, kinematografach, kawiarniach, kabaretach i wszystkich tego rodzaju przytułkach dla ludzi, usiłujących zabić nudę przy pomocy najpospolitszych rozrywek.

Ożyło w nim wówczas silne pragnienie doskonałego wniknięcia i zrozumienia jego stosunku do ludzi. Ważył się coraz śmielej na wydawanie bezwzględnych sądów o całem swojem otoczeniu — nieśmiały dotychczas w ocenianiu i spostrzeganiu, począł coraz jaśniej, coraz dokładniej i głębiej docierać do istotnej treści tego wszystkiego, co wrzało naokół. Jako człowiek, wyrzucony poza nawias, odepchnięty pogardliwie, niepotrzebny i wydany nielitościwie na łup losu, musiał szukać mimowoli ukrytych przyczyn smutnego przeznaczenia, musiał dostrzec, że pomiędzy nim a wszystkimi ludźmi istniał jakiś tajemny związek, że droga jego życia była wypadkową sił, działających w ukryciu, że wyrażało się w nim właśnie to samo, co gdzie indziej w zgoła odmiennej błyskało postaci. Zdawało mu się mimowoli, że dociera wreszcie do tego mętnego źródła, skąd płynął zwartą falą straszliwy czad powszechnego upadku i zwyrodnienia. Począł rozumieć, że historja jego życia nie jest jakiemś wyodrębnionem zdarzeniem, ale ogniwem wspólnego łańcucha. Samotny, obcy ludziom, wyszydzany przez nich na każdym kroku i płacący im nienawiścią, był jednak mieszkańcem tego samego, co oni, wię-

zienia — nie posiadał dość siły i szczęścia, aby dźwignąć gmach własnego życia, utracił wiarę w dobry uśmiech losu. Wszystkie jego usiłowania zmarniały już, wszystkie płody nadziei odpadły, poronione—okropność położenia rosła z dniem każdym, wola i energja przestały istnieć, instynkt życia ćmił się ledwo dostrzegalnym płomyczkiem. Mimowoli postanowił czekać na to, co się stać musiało, ślubował, że podda się w zupełnej pokorze pierwszemu lepszemu przypadkowi, choćby to miał być przypadek katastrofy.

Nie potrzebował obcować blisko z ludźmi, aby schwytać potrzebne mu nitki. Z ruchów poszczególnych, strzępów rozmowy, luźnych obserwacyj i mimowolnych spostrzeżeń wyłuskiwał łatwiej to, co może zginęłoby pod natłokiem wrażeń i faktów nie zawsze pożądanych.

Pragnął zrozumieć wszystko, aby tem łatwiej odcyfrować księgę własnego przeznaczenia. W nadmiernym trudzie wysilał swój prosty rozum, próbując dotrzeć niemal przemocą do tajemniczego jądra zagadki. Spadając w przepaść, chciał zobaczyć przynajmniej rękę, która go tam popchnęła. Intuicja rozpaczy podsuwała mu nieoczekiwane rozwiązania. Przerastały one jego siły i wywoływały ponure uczucie nieporadności. Mimowoli szukał jakiegoś oparcia, oglądał się za przewodnikiem i nauczycielem, czując, że sam starga do reszty siły w tej bezowocnej szarpaninie, wśród okrutnej zabawy nieznanej potęgi.

Jak złe harpie, prześladowały Ordę bez wytchnienia niesamowite sprzeczności. Nienawiść do ludzi, go otaczających, rosła z dniem każdym, ale ile razy próbował upajającego trunku samotności, ile razy chciał uciec na długo w głuchą przystań ciszy, magnes świata przyciągał go do siebie, niby drobny opiłek żelaza. Targał się, szarpał i buntował, ale niebawem, zdyszany, biegł tam, gdzie bły-

szczały jaskrawe światła, gdzie uśmiechały się ze zjadliwym wdziękiem bezmyślne twarze pięknych kobiet i słychać było przytłumione echa beztroskiej zabawy rozpasanych łajdaków. Pogardzał nimi, zgłębił do dna nikczemność tego lekkomyślnego życia, widział pustkę, rozwierającą się dokoła — jednak wdychał z dziwną lubością atmosferę, zatrutą głupiem szaleństwem. Jak zgłodniałe dziecko, sycił wzrok widokiem łakoci życia. Coś dziwnie niepokojącego i wabiącego kryło się we wrzącem dokoła zbiegowisku ludzi. Zazdrościł im beztroskiej swobody, wiedział, że poprzez tę ciżbę płyną strumienie, sączące się z cuchnącego bagniska, a jednak były chwile, w których żałował, że i on nie może czerpać pełnemi dłońmi z mętnych źródeł. Pocóż te wszystkie głupie przesądy, wstręty i uprzedzenia? Każdej chwili jakiś syty, bezkarny i zadowolony z siebie opryszek depcze wśród grzmiących okrzyków tłumu wynędzniałą marę tak zwanej uczciwości. A zresztą, czy można wogóle być szlachetnym i wzniosłym bez odrobiny przynajmniej łajdactwa? Nieraz wydawało się mimowoli Ordzie, że zanadto jest uczciwy i nieszczęśliwy, aby mógł sobie pozwolić na zbytek jakiejkolwiek cnoty. Czyż mógł, jako człowiek samotny, obcy, wszelkiej pomocy pozbawiony, przedzierać przez ten tłum zuchwale, dumnie, z jawnem spojrzeniem wzgardy? Czyż nie odpokutował już srodze za prostotę swego postępowania, nieumiejętność zarzucenia w odpowiedniej chwili zgrabnej sieci kompromisu? Dlaczegóż oburzył się tak srodze na propozycję Berezowskiego, którą w jego warunkach przyjęłoby stu innych? Najstraszniejsze jest to, że w jego własnej duszy snuje swą przędzę jadowita poczwarka. Czyż mógł zaprzeczyć, że w tem widowisku wzgardy godnem było dlań coś dziwnie kuszącego? Czuł się tu obcym, a jednak wzrok otaczających go ludzi

ślizgał się po nim, niby po przedmiocie dobrze znanym, należącym do całości.

Minęły bezpowrotnie chwile, kiedy przechodził śród tego samego tłumu z twarzą dumnie podniesioną, spokojną, ach, tak bardzo spokojną, kiedy po gładkich, wypieszczonych posadzkach łomotał ciężkiemi, podkutemi butami, kiedy szedł, przepasany w biodrach, czując ważkość rewolweru u boku. Wiedział wtedy, że jest tu gościem z innego świata, przechodniem, wędrowcem, który nie ma nawet czasu strząsnąć pyłu z zakurzonego munduru. I zdawało mu się wówczas, że jego widokiem zduszone, gasły na chwilę wesołe uśmiechy—zdawało mu się, że staje przed tymi ludźmi, niby nagły, nieoczekiwany wyrzut sumienia, że go witają lękiem i złem przeczuciem. Może myśleli przez chwilę, że przecież na świecie umierają ludzie właśnie wtedy, kiedy oni zajadają wyborne ciastka z kremem — może ścisnął im gardła kleszczami chybki strach na myśl, że za tym zakurzonym żołnierzem przyjdą niedługo tysiące, podobnych do niego, że gdzieś woddali zahuczą ponure głosy armat i na ulicznym bruku znów tętnić będą kopyta rozszalałych koni. Z uśmiechem politowania patrzył kiedyś na te same wstrętne gęby otyłych dam w karakułowych żakietach, widział tych samych młodych fatygantów, nurzających się w atmosferze bezczynności z głupawo-bezczelnym uśmieszkiem, oglądał te same kokoty i dobrze urodzone damy, żebrzące przy stolikach na wzniosłe cele, widział te same nienasycone usta, rozognione oczy i chciwe ręce. Potem raz jeszcze ogarniał cały tłum, spowity bezmyślnym uśmiechem, i uciekał daleko w podziemia okopów, unosząc z sobą, niby skarb bezcenny, rzeźwiące uczucie zwycięskiej pogardy.

A dziś? Czy ten świat, dawniej obojętny, odgrywający jedynie rolę martwej dekoracji teatralnej, wciągnął go w swoją otchłań wszystkiemi potwor-

nemi mackami, wessał się w jego myśli, tętnił z nim razem jednem i tem samem pożądaniem. Tysiąc razy odepchnięty, chwytał go znowu w zdradliwe sieci. Zoddali kusił tem bardziej, im bardziej rosło poczucie obcości. Były to wahania zmienne, aż do rozpaczy, miarowe i nieodwracalne, jak odpływ i przypływ morza, niby dokonywanie się wiecznych praw kosmosu: chwile rozpaczliwego buntu i pokorne chylenie karku niewolnika. Jak człowiek, który, umierając młodo, ogarnia nowem, nieznanem dotąd spojrzeniem krasę tego, co żyje dokoła, tak i Orda sycił się nieraz cudem podnieconej wyobraźni. Najpospolitsze przygody przemieniał na dziwaczne, fantastyczne awantury, w banalnym uśmiechu rozpieszczonych i zepsutych kobiet szukał śladów nieprawdopodobnych historyj miłosnych, w nikczemnych szachrajstwach zręcznych łajdaków odkrywał namiętną energię zdobywców i splątane sieci intryg w wielkim stylu.

Był jak wędrowiec, który, zbłąkawszy się wśród gęstwiny leśnej, traci nagle świadomość obranego kierunku. Straszliwy niepokój miota nim i każe zawracać, kołować, przecinać drogi, dopiero co przebyte, porzucać ni stąd, ni zowąd ścieżki, które wydawały mu się jeszcze przed chwilą wybawieniem. Nagle pod jego stopami ziemia kołysze się, przejmujący zapach chłodnego bagna wyciska na czole krople potu — zawraca znowu, zadyszany, biegnie szybko przed siebie, naoślep. Wszystko, co spostrzega, zdaje się szydzić i naigrawać z jego bezpłodnych wysiłków. Wreszcie, zmęczony, zziajany i bezsilny, wlecze się w pierwszym lepszym kierunku, na nic nie bacząc, idzie bez świadomości celu, naprzełaj, aby iść, nic go już powstrzymać nie zdoła... Tylko rozwarte, przerażone źrenice pragną jak najwięcej wchłonąć w siebie. Wszystko wydaje się przedziwnem, zaczarowanem, niesamowitem, nowem, nigdy nikomu nieznanem i niewi-

dzieniem. Zieloność drzew odurza, jak napój czarodziejski, śpiew ptaków brzmi, niby chór fantastyczny, z gałęzi zrywają się potwory, z gęstwiny wyzierają oczy zwidów, wszystko dokoła zaludnia się nowym kształtem, polany leśne rozwierają się, niby jakieś cudowne krainy, szemrzą kryształowym głosem potoki, rosną kwiaty o przedziwnej woni, rosochate konary dębów szumią tak, jak jeszcze nigdy nie szumiały...

Czuł Orda, że się nie zdoła oprzeć kuszącym powabom tego, co było wyzwaniem do ostatniej próby życia. Wśród zapadającego powoli zmierzchu gasnące promienie słońca snuły jeszcze zwodniczą bajkę o szczęściu. Czarna otchłań smutku gasiła jedną po drugiej gwiazdy nadziei. Migotały tu i ówdzie nieśmiałe błyski, niby błędne ogniki na moczarach.

Orda wiedział, że to są światła już ostatnie. Ponury płaszcz nocy bezgwiezdnej osuwał się powoli i bez szelestu...

## XVII

Szczególny zbieg okoliczności skłonił Ordę do powzięcia zuchwałego planu, który przez krótki czas wydawał mu się istnem wybawieniem z ciężkiego i beznadziejnego położenia.

Pewnego dnia, kiedy Orda, po nocy, spędzonej na rozmyślaniach ponurych, drzemał jeszcze w niespokojnym półśnie, trapiony gorączkowemi widziadłami, wtargnął do jego pokoju Janosik. Zobaczywszy go jeszcze w łóżku, począł wołać na całe gardło:

— Wstawaj, psiakrew, draniu jeden, sparszywiałeś doreszty, wałkoniu zatracony!

Szybko podniósł rolety i wpuścił do mrocznego wnętrza falę jasnych promieni słońca. Orda przetarł oczy i zobaczył wesołą twarz Janosika, spowitą smagłym rumieńcem, i białe zęby, jak u wilka.

— Skądże się wziąłeś? — mruknął niezupełnie jeszcze przytomny.

Janosik jednym skokiem znalazł się przy nim i siedząc na krawędzi łóżka, począł mówić szybko. Głos jego miał siłę namiętnej wiary.

— Słuchaj, Orda—przyjechałem po ciebie—rozumiesz! Wiem, co się z tobą dzieje. Dzierzgowski mydłek. Z nami wszystkimi coraz gorzej. Jeśli tak dalej potrwa, zdechniemy, prędzej czy później. Szalone myśli przychodzą do głowy, ale szaleństwa są nieraz więcej warte, aniżeli codzienny, praktyczny rozumek.

Orda patrzył nań szeroko rozwartemi źrenicami, Janosik uśmiechnął się.

— Słuchaj, stary przyjacielu, odpowiedz mi przynajmniej na jedno pytanie. Powiedz, czy jest możliwe, abyśmy mogli żyć jeszcze długo, tak, jak żyjemy teraz?

Orda potrząsnął melancholijnie głową:

— Tak dalej żyć nie można.

— A więc, zgadzamy się, byłem tego pewien.

Milczeli chwilę, wreszcie Orda zapytał drżącym głosem:

— Ale co robić? Do wermachtu nie pójdę, a Szczypiorna też mi nie pachnie.

— Jedno jest pewne—nie mamy nic do stracenia.

— Tak—powtórzył machinalnie Orda—nie mamy nic do stracenia...

Janosik spojrzał mu bystro w oczy.

— Czy nie sądzisz i ty, że zamiast gnić tutaj i oglądać sztuczki rozmaitych frantów, lepiej będzie szczęścia spróbować.

Przysunął się do niego bliziutko i począł szeptać przytłumionym głosem:

— Wiesz pewno o tem, że Haller i cała Druga Brygada jest na Murmanie. Każdego dnia ludzie przedostają się tam rozmaitemi drogami. Nieraz złapią jednego i drugiego bolszewicy. Strzelają im

w łęb bez sądu albo pakują na śmierć głodową do więzienia. Ale dlaczegóż mamy się nie przedostać! U djabła, szczęście było zawsze z nami. Rozumiesz, Orda, spotkałem się z ludźmi, którzy nam wszystko ułatwią. Jest cała tajemna organizacja, pracują biura konspiracyjne. Dostaniemy do łapy autentyczne marszruty ze wszystkiemi pieczątkami i jako austrjaccy żołnierze, pojedziemy do Kijowa, a tam nam pomogą inni. I będziemy wędrować przez bolszewicką cholerę, jak się da, aby dalej. Widzisz wszyscy oni, co pod Kaniowem dostali się do niewoli, dawno już wywieli. Wczoraj przyjechał ostatni transport. Czterech naszych oficerów. Spryciarze, psiakrew, morowcy. Zadekowali się w Czerwonym Krzyżu pomiędzy Dowborczykami. I oni także chcą jechać!

Janosik zerwał się nagle, chodząc tam i zpowrotem, wyrzucał z siebie, niby ławę ognistą, niespokojne, splątane myśli:

— Stepem mi zapachniało, swobodą. Och! koniem zatoczyć na wolnej przestrzeni. Posłuchać jak brzmią piosenki naszych relutonów w syberyjskich tundrach. Opowiadali mi wczoraj, że na urlop jeżdżą do Ameryki — rozumiesz, do Ameryki! Pamiętasz sędziego, kochanego sędziego, co to wśród największej akcji zasiadał na paczce od konserw i odrabiał kawałki urzędowe. Jest tam! Figura teraz, z dyplomatami gada. I kapitan Orlik jest—podobno awansował, pułkiem może dowodzi. I major Zając jest, milczący filozof—i tylu jeszcze. Ekwipują ich Anglicy i Amerykanie. Niedługo będzie już armja, pierwsza prawdziwa polska armja. Cały świat przejdą i zwyciężą. Kogóż się będą bać, u pioruna, nasi chłopcy? Oni jedni pokazali zęby wszystkim złodziejom naszej wolności. Zaczęli od Moskali—a pod Sadogórą rozbili w puch i prach szturmowe, najlepsze kompanje austrjackie, co im chciały drogę na samochodach odciąć. Pod Kaniowem spróbowali na-

wet i Niemców. Bronili się trzy dni, nic do gęby nie biorąc. Posłali na nich spieszonych huzarów śmierci i grenadjerskie pułki. A oni, przyparci do Dniestru, zasypywani ogniem artyleryjskim ze wszystkich stron, w szalonym kontrataku gnali tę chlubę armji niemieckiej, niby stado ogłupiałych baranów. Wkońcu wzięli ich głodem — poddali się. Ale zaraz pierwszego dnia zaczęli uciekać z zamkniętych wagonów i uciekli wszyscy, co do jednego. Cała Druga Brygada! i wszyscy są tam razem, tylko my tu gnijemy i czekamy, djabli wiedzą naco.

Umilkł, kroki jego rozlegały się miarowo w dużym pokoju. Orda, podparłszy twarz rękoma, nasłuchiwał, nie ważąc się powiedzieć ani słowa. Janosik porywał go zawsze za sobą, jak wartki prąd. Teraz jednak nie odezwało się to samo echo, które zwykły budzić jego słowa gorące, pełne żywiołowej namiętności. Oddawał mu się tak miłośnie, jak smutna kochanka, która, czując zbliżającą się agonję uczucia, czyni wszystko, aby utrzymać w dłoni białego ptaka, co za chwilę przeszyje śmiałym lotem daleką przestrzeń. Orda wierzył mimowoli i nawpółświadomie, że życie jego toczy się z szybkością lawiny po drodze, zgóry już wyznaczonej. Czyż można poskromić chyżość potoku, szumiącego po skałach, czy można skierować w inną stronę bieg rzeki, której przeznaczeniem jest wpadać pomiędzy fale morza? Słuchając tego, co mówił Janosik, postanowił Orda uczynić wszystko, czego zażąda druh serdeczny, ale nie wierzył, aby to się stać mogło. Pragnął wytężyć wszystkie siły, aby spełniły się pomysły awanturnicze, pomysły szalone i zgóry potępione przez wszystkich rozsądnych ludzi. Czuł jednak, że niczego dokonać nie zdoła. Był niedowiarkiem, którybyszafował hojnie ostatnią nawet kroplą krwi, gdyby choć na chwilę mógł uwierzyć. Uwielbiał to, czego posiąść nie umiał i nie mógł. Chciał przynajmniej na jedno mgnienie ode-

pchnąć od siebie zimny napór nieubłaganej konieczności, osuwającej się, niby ściana stalowa, w sali tortur. Pragnął odegrać chociaż komedję nadziei, oszukać samego siebie, pomiędzy jednym dniem a drugim utonąć w błogiem omamieniu i zapomnieć o starych, krwawiących ranach.

Janosik zatrzymał się na środku pokoju i zaczął mówić cichym, melodyjnym głosem, którego siła rosła, podsycana przez żarzącą się namiętność:

— Wiesz, Orda, przyjechałem wczoraj do Warszawy i trafiłem właśnie na jakąś rzewną uroczystość narodową. Ach! jakże to lubię—coś dla mnie specjalnie. Właśnie teraz dogadza mi niejednokrotnie, aby się nad samym sobą znęcać. Powlokłem się tedy umyślnie na plac Teatralny. Zobaczyłem morze głów, chorągwie, na balkonach stare dywany i tablice z okropnie skomponowanemi orłami. Usłyszałem mowy, podczas których pracowali niestrudzenie fotografowie i operatorzy kinematograficzni. A potem—wszyscy czapki ze łba i rozległ się ten okropny śpiew, modlitwa jęcząca, żebraczy hymn, w którym brzmi niegodny żadnego narodu patos płaczliwy, parszywy sentyment i robaczywa łezka. Ach, jeśli kiedyś będzie naprawdę wolna Polska, należałoby zabronić, policyjnie zabronić tych przedstawień niezdrowych z wiecznie tym samym programem. Pamiętasz, Orda, dzień, kiedyśmy tu wchodzili—tułacze bezdomni. Pamiętasz te zimne dotknięcie rzeczywistości, ten rozpaczliwy pogrzeb marzeń, które drzemały, głęboko ukryte, w niespokojnych głowach awanturników. Po południu kompanje szły na jakiś tam uroczysty podwieczorek. Szły przez miasto i śpiewały. Na ulicach stały tłumy i patrzyły. Byli sklepikarze, urzędnicy, świeżo upieczeni paskarze, jewreje, kokoty, hrabiny, fryzjerzy, krawcy, mieszczanie wszystkich gatunków, tudzież, tak zwana inteligencja, ugarnirowana tu i owdzie kmiotkiem w łowickie pasy. Jednem słowem—był naród. Naród

stał i patrzył na nas. Zdaleka słychać było, że śpiewamy. Nadstawili uszu, co śpiewamy. Pośpieszył się nawet jeden i drugi — z przyzwyczajenia i szlachetnego nałogu zdjął czapkę. Oni myśleli, że my jeszcze raz dla powagi chwili uczęstujemy ich dymem pożarów i kurzem krwi bratniej, a my o Jasiu, o Kazi, o wesołej panience z dzieciątkiem na ręku. Oni myśleli: „mówi ojciec do swej Basi cały zapłakany", a my:

„Te pierścionki z brylantami
Zarobiłam z legunami."

Oni gębami rozdziawionemi żądali wzniosłości, szczytności, szlachetności, a my:

„A jak męża nie dostanę
Rym, cym, cym...
Złapię cnotę, rżnę o ścianę..."

O! ileż z tego wynikło zgorszenia, oburzenia i wzniosłego przeklinania. Ach, Orda, zdaje mi się, że wiele lat jeszcze upłynie, zanim do tego kraju powróci wygnana, prześladowana zawzięcie, zdrowa wesołość i skończy się nudna ceremonja pogrzebowa. Kiedyż nareszcie zdetronizują ckliwą szlachetność, której służą kornie zarówno cyniczni łajdacy, jak i bezpłodni rzezańcy.

Krążył znowu przez chwilę, wreszcie stanął przed Ordą i zajrzał mu w oczy głęboko:

— No i cóż, pojedziemy stąd na złamanie karku?

Orda wyskoczył jednym susem z łóżka i krzyknął z całych sił:

— Jedziemy, niech się dzieje co chce!

Dwa dni przeżyli, upojeni swoim planem. Rozpoczęli nawet gorączkowe przygotowania, posunięte aż do najmniejszych drobiazgów.

Niebawem jednak poczęły wyłaniać się nieprzewidziane trudności i rosły z dniem każdym. Organizacja, która zajmowała się pośrednio wysyłaniem

ludzi na Murman, wstrzymała swoją działalność. Nadeszły bowiem wiadomości, że generał Haller jest już we Francji, gdzie mu poruczono naczelne dowództwo nad wszystkiemi polskiemi oddziałami. Wobec tego odmówiono Ordzie i Janosikowi podrabianych marszrut, radząc czekać spokojnie na bieg wydarzeń.

— Lada dzień — mówiono im — możecie być tutaj potrzebni.

Wogóle rozpoczęcie energicznej kontrofensywy przez marszałka Focha na froncie zachodnim zaprzątało wszystkie umysły. W powietrzu czuć było nadciągającą burzę. Niemcy byli coraz bardziej skłonni do wszelkich ustępstw politycznych, a jednocześnie łupili co się da, jakby już przewidywali rychły kres okupacji.

Pewnego wieczora Orda odprowadził Janosika, który postanowił przeżyć na wsi ostatni akt tragikomedji dziejowej.

Orda został znowu sam. Stało się tak, jak przewidywał. Krążąc po pustych ulicach miasta, wpatrywał się w zwodniczą grę chybotliwych cieni, jakby stamtąd wyłonić się miała okrutna prawda jego przyszłości.

## XVIII

Całą noc błądząc po ulicach, doczekał się wreszcie Orda świtu. Przebiegając bez celu jedną dzielnicę po drugiej, znalazł się wczesnym rankiem na Powiślu. Z pomroczy nocnej wynurzały się zwolna oślizgłe łby kamiennego bruku, liche, nogami nędzarzy wydeptane scodki i długie, beznadziejnie smutne parkany o postrzępionych dylach. Widać było coraz wyraźniej obrzydliwe sylwety wielkich kamienic i przygarbione postacie małych domków o błyszczących szybkach. Tu i owdzie zalśniła nieśmiało uboga zieleń trawy, zdeptanej, okrążonej wybojami, zasypanej brunatnym pyłem i szaroczer-

wonemi kupami gruzów. Dokoła skarżyły się melancholijnie, ginące ze złowrogim szelestem, rumowiska — tylko władcze kominy strzelały śmiało w bladą oponę nieba. Powietrze przesycone było metalicznem brzmieniem syren fabrycznych. Jakby z pod ziemi odzywało się głuche dudnienie rozpoczętej pracy. Na ulicach widać było czarne postacie robotników, we wnętrzach domów przewijały się widma kobiet z potarganemi włosami, w dziwacznych spódnicach i rozchełstanych bluzkach. Na przyzbach kręciły się na rachitycznych nogach brudne dzieci o bezmyślnem spojrzeniu. W świeży, rześki powiew od Wisły sączył się powoli, jak trucizna, mdły zapach nędzy, smród gnijących rynsztoków i zaduch, płynący zwartą falą z wnętrz ludzkich.

Idąc krętą ulicą, pnącą się wgórę ku miastu, Orda wyszedł z zakrętu i ujrzał nagle gromadę ubogich, wynędzniałych kobiet.

— Ogonek! — pomyślał.

Siedziały na ziemi, przytulone do siebie, jak stado ziębniętych kuropatw. Łoskot kroków obudził je z niespokojnego, gorączkowego snu. Usłyszał przekleństwa złowieszcze i wrzaskliwy płacz małych dzieci. Ktoś snuł dalej urwaną przed chwilą, beznadziejnie szarą rozmowę. Poczuł na sobie ciężar nienawistnych spojrzeń, zamigotały, niby wyrzut sumienia, blade, wyssane z życia twarze.

...Nie jestem sentymentalny — pomyślał Orda — ale muszę zapytać, jakiem prawem ciągniemy w nieskończoność nasze złe życie. Jakiem prawem?

— Prawem bezwładności — odpowiedział mu szyderczo głos wewnętrzny.

W tem jakaś hałaśliwa rozmowa zwróciła jego uwagę. U wylotu ulicy zobaczył trzech mężczyzn, posuwających się w jego stronę niedbałemi, ociężałemi krokami. Orda poznał odrazu, że ci trzej eleganccy młodzieńcy noszą na sobie piętno nie-

przespanej nocy. Pewno przed chwilą wyszli z jakiejś nocnej spelunki i wędrują nad Wisłę, aby się trochę orzeźwić. W powolnych ruchach sylwetek widać było omdlałość znużenia i wyczerpanie cyniczne. Z niejasnych zarysów ich postaci wyzierały szczegóły coraz mniej obce. Wreszcie Orda poznał, że ci trzej zabłąkani przechodnie, to jego dobrzy znajomi. Pierwszy z nich, z lewej strony, był słynny z lekkomyślnego życia aktor Dolski, z prawej zaś szedł, znany we wszystkich potajemnych klubach gry, lichwiarz i aferzysta Stückgold. A w środku ktoś także nieobcy. Orda poznał i zadrżał. W środku szedł Przedżymirski. Odruchowo zawrócił i począł iść szybko w przeciwnym kierunku. Ale było już za późno. Poznali go. Dolski puścił się za nim pędem, dogonił i zatrzymał.

— Cóż to uciekasz przed starymi znajomymi? Pewno wygrałeś i boisz się, żeby się który z nas nie skaleczył na parę marek. Ale mówię ci, bądź spokojny.

Orda wzruszył pogardliwie ramionami.

— Wogóle nie grywam.

Dolski złapał go za guzik i przysunął blisko obmierzłą, krostowatą twarz wyuzdanego rozpustnika.

— No, Jasiu, w każdym razie nie spałeś dzisiaj. Widać to po oczach i zblazowanej gębie. Pewno zmieniłeś swoje zamiłowania—dziewczynki, co? ochl i ja to lubię i jeszcze jak...

Mlasnął językiem i wysunąwszy z za żółtych zębów czerwony, sprośny szpikulec, oblizał lubieżnie wąskie, popękane wargi.

— Ach, że to człowiek musi mieć aż tyle namiętności — westchnął błazeńsko.

Tymczasem nadeszli tamci. Przedżymirski podał Ordzie rękę, nie mówiąc ani słowa. Stückgold natomiast zasypał go gradem natrętnych pytań:

— Co to jest, panie Orda? Gdzie się pan zgu-

biłeś? Co pan robisz na tym naszym kochanym świecie? Myślałem, że pana już złapali na ministra. Gdzie pan grywasz? Pan kiwa głową, że pan już nie gra. To pan pewno grałeś dzisiaj w nocy w gieryłasza ze starą ciotką. To jest także bardzo ładna gra i klipa jest ładna gra i cymbergaj i ecie, pecie. We wszystko można wygrać.

— Humorek jest — przerwał drwiąco Dolski — jest, jest, panie Stückgold, ale nie narzucaj się pan mojemu przyjacielowi ze swoją gadatliwością, bo mój przyjaciel jest smutny, melancholijny...

Orda zmierzył ich nienawistnem spojrzeniem. Zdawało mu się, że z ust sączy się nań plugawa ślina.

Wstrząsnął się z obrzydzeniem i jakby broniąc się, chytrze zapytał:

— Graliście dzisiaj?

Stückgold wybuchnął huraganem ordynarnego, brutalnego śmiechu.

— To ci pytanie, a co my wogóle mamy do roboty, co mi ciągle robimy?

— Graliśmy, naturalnie—powtórzył Dolski i strojąc twarz wyblakłą, zmiętą w kabotyński grymas, dodał—graliśmy ładnie, gra była ciekawa.

Chwycił nagle Ordę za ramię i począł wołać głosem, pełnym sztucznego uniesienia:

— Czy ty wiesz, Jasiu, co ci powiem, czy ty wiesz, co się stało dzisiejszej nocy? Oto wielki Szpringer wykończony!

W Ordzie zadygotała pierwsza ciekawość.

— Co? Szpringer wykończony?

Triumfujący śmiech Stückgolda zahuczał nagle.

— Szpringer pływa już, rozpruty, w Wiśle—białym brzuchem do góry.

Dolski trzepotał rękoma wzniesionemi i wołał, nie ustając ani na chwilę:

— Ach, jak go golili, jak golili. Żebyś ty wiedział, ile ten złodziej Stückgold zabrał mu gotówki.

Wiesz, doszło do tego, że ten gracz, który tamtego roku wygrał dwa miljony, nie miał nawet stu marek na założenie banku. Powiada nareszcie:—„Moi panowie, pozwólcie mi, że dam jeden bank na słowo."—A oni odpowiadają mu chórem, psiakrew, greckim chórem, z prześliczną intonacją:—„Gramy tylko na gotówkę." —On znowu:—„Zabraliście mi dwieście tysięcy, dajcie się trochę odłapać!"—a oni znowu chórkiem to samo. Wiesz, był tam jeden żydek, taki sobie drobny pięciomarkowy gracz, karaluch, psiakrew, zwyczajny łobuz, co to się pęta koło wygranych gości i przez całą noc dostawi się ze trzy razy do banku. Nie wiem nawet, jak się nazywa. Otóż on powiada: —„Panie Szpringer, mogę panu pożyczyć dziesięć marek na śniadanie". Rozumiesz taki patałach pożycza dziesięć marek graczowi, który bił na jedną kartę po sto tysięcy. No i Szpringer dał mu naturalnie po mordzie; zaczęli się bić i tak się ze sobą szczepili, że obu razem wynieśli z klubu. I wiesz, co ci jeszcze powiem: wziąłem po Szpringerze bank ja i wyrzuciłem sześć szlagierów zrzędu.

— Szkoda, że Szpringer tego nie widział—dodał z jadowitym uśmiechem Stückgold—toby go dorżnęło.

Dolski przesłonił twarz ręką i głosem błazeńsko-tragicznym oznajmił:

— Taki jest koniec gracza, który na skutek zbytniego powodzenia zachoruje na manję wielkości. Prędzej czy później dostaje cięgi.

— On myślał, że nigdy już przegrać nie może — szydził wciąż jeszcze Stückgold.

Orda, zatopiony w myślach, poczuł nagle lekkie dotknięcie. Odwrócił się i zobaczył ostrą, jakby z kamienia szarego wyciosaną, twarz Przedżymirskiego. Drwiący uśmiech czaił się w zmiennym skurczu warg.

— Szkoda, że pan nie był z nami dzisiejszej nocy — sposobności nie brakowało.

Orda rzucił mu spojrzenie, pełne nienawiści.

— Ale przecież pan był tam, trzeba było korzystać samemu, zamiast o drugich pamiętać!

Przedżymirski wzruszył ramionami.

— Ach! robiłem, co mogłem. Ale mnie nie idzie teraz. To nie mój czas! Ani wola, ani intuicja nie dopisują. Wszystko wiem, świadomość moja jest doskonałym, precyzyjnym aparatem, tylko jakieś tam małe kółeczko zacina się i nie chce działać. Jest to ustawiczny spacer nad brzegiem przepaści.

Uderzył go nagle wyzywającym błyskiem oczu rozgorzałych.

— Gdyby pan chciał kiedy zagrać ze mną razem, zwyciężylibyśmy na pewno...

— Nie grywam wogóle z zasady do spółki, nienawidzę wszelkich spółek.

— Sądzę, że wystarczyłoby krótkiej rozmowy, a potrafiłbym pana przekonać.

— Nie mam wogóle zamiaru grać — rzekł Orda i czuł, że kłamie w tej chwili bezczelnie.

— Tak jest — zawołał Dolski — on ma rację! Janek ma charakter, a my jesteśmy, jak gąbki. Trzeba dać pokój tej zabawie. Trzeba zacząć inne życie.

— Codziennie rano śpiewasz tę samą piosneczkę — zaśmiał się urągliwie Stückgold.

— Szatanie, wiedz o tem, że przynajmniej rano jestem uczciwy i mam szlachetny popęd do skruchy. Ale ty jesteś łajdakiem o każdej porze dnia i nocy. Odejdź, podupadła, cyniczna jednostko, i nie brukaj mojej cnoty porannej.

Orda wstrząsnął się nagle, jakby zrzucał z utrudzonych barków niepotrzebny ciężar.

— No! moi panowie, idźcie sobie dalej na spacer — ja wracam do domu, trzeba spać — już czas.

Pożegnali się. Przedżymirski zastąpił mu drogę.

— Pan sobie nie życzy mojego towarzystwa?

Orda powtórzył dobitnie;

— Tak jest, nie życzę sobie pańskiego towarzystwa.

Szybko odszedł, uciekał niemal, niepohamowana trwoga rozpierała się w nim coraz potężniej i chwytała kleszczami za gardło. Jeszcze chwila, a stałby się podobnym do mizernego królika, wpatrzonego w zielone ślepia węża - dusiciela. Ten człowiek zyskiwał coraz większą przewagę nad nim. Należało go unikać. Orda czuł instynktownie, że ukrywa się tam jakieś niebezpieczeństwo, groźba tajemnicza. Wszakże jedno spojrzenie tych dziwnych oczu pozbawiało go władzy panowania nad sobą. Sama obecność Przedżymirskiego sprawiała, że drżał, jak osina. Ile razy usiłował mu się przeciwstawić, dostrzegał, że staje się to coraz trudniejszem. Jeszcze kilka takich katastrofalnych spotkań, a nie będzie mógł z siebie ani słowa wykrztusić i podda mu się bez jednego słowa walki. Kiedy Przedżymirski mówił, drżała w jego słowach dziwna pieszczota, słodkie znużenie spływało stamtąd i zmuszało do zamknięcia powiek. Zdawało się, że ktoś miękką rękę przesuwa po włosach, rozkoszne dreszcze biegły po całem ciele, niecąc wszędzie bezład upojenia.

...Jestem we władzy tego człowieka — pomyślał Orda — biada mi, jeśli zrozumie.

Szedł tak szybko, że aż czoło pokryło się rzęsistym potem. Uspokoił się dopiero w domu. Przypomniała mu się rozmowa niedawna, przesunęły się postacie Stückgolda i Dolskiego. Wzdrygnął się, prześladowany znowuż niesamowitem spojrzeniem Przedżymirskiego. Potem odtwarzał znowu wszystkie szczegóły spotkania.

Aha, więc Szpringer wykończony — mruknął do siebie, prężąc pod kołdrą znużone ciało.

Widział ulice w niepewnym blasku poranku. Zewsząd wymykali się ostrożnie ostatni gracze o twarzach bladych, zmęczonych — tylko oczy lśniły

przerażającym blaskiem. Przesuwali się błędnym krokiem w eleganckich płaszczach, których kołnierze podniesione były do góry, z laskami, utkwionemi w kieszeniach. Szli obok nędzarzy, drzemiących w zbitej gromadzie pod murem.

— Ładny, rodzajowy obrazek — mruknął napółprzytomnie.

Ktoś potrząsał triumfująco czarną ósemką pikową i czerwonym asem kier. Wszyscy patrzyli w tę stronę i wyciągali chciwe ręce. Ozwał się szelest tasowanych kart, rosły stosy banknotów.

Zasnął wreszcie. U jego wezgłowia stał demon gry i raz po raz zsyłał gorączkowe widziadła...

## XIX

Wbrew nałogowi, który się zdołał utrwalić w ciągu ostatnich tygodni, następnego dnia wstał Orda bardzo wcześnie. Zerwał się jak człowiek, który ma coś niezmiernie ważnego do spełnienia. I chociaż spał zaledwie kilka godzin, czuł się świeży, wypoczęty, pełen energji i dobrej nadziei. Jeszcze wczoraj, nim zasnął, nie wiedział co ma uczynić, teraz jednak, ledwo otworzył oczy, powiedział głośno:

— Będę grać, muszę grać!

Wszystkie zwątpienia, smutki, wszystkie złe widma ponurej melancholji odleciały, spłoszone niespodziewanym triumfem twardego postanowienia.

Otworzył szeroko okno i wystawiwszy młode, gibkie ciało na rozkoszne działanie promieni słonecznych, oblewał się rzeźwiącemi strugami zimnej wody. Był spokojny tak, jak nim nie był nigdy w ciągu ostatnich miesięcy. Prężyła się w nim stalowa moc woli. Wyzywał los, gotów był stawić czoło wszelkim przeciwnościom — czuł, że się teraz opiera na mocnym fundamencie doświadczenia — wierzył, że mu się uda przetopić niedawne wahania i upadki na czyn niezłomny, wytrwały.

Postanowił podążać raz wytkniętą drogą, depcząc przeszkody ciężarem siły bezwzględnej. Tę siłę zdobył nareszcie i posiadł na własność. Była w każdym jego ruchu, w każdej myśli, w każdem drgnieniu muskułów.

Ubrał się starannie i usiadł przy biurku. Wydobył pieniądze z portfelu i ze skrytek. Przeliczył. Było razem tysiąc dwieście marek zgórą. Postanowił tę sumę podzielić na trzy wieczory gry. Chciał zacząć skromnie, ale pewnie.

...Ryzykować tylko wygrane pieniądze, oto hasło! — pomyślał.

Sądził, że trzymając się tej zasady i stosując system dawno już wynaleziony, musi wygrywać bez wielkiego nawet trudu.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze wiele czasu do wieczora.

Przeglądając odniechcenia pliki papierosów i przeróżnych szpargałów, poznał na arkusiku, w czworo złożonym, pismo Jadźki. Rozłożył go. Był to list, który otrzymał w odpowiedzi na ofiarowane kwiaty.

...Jadźka! Ach Jadźka! Dlaczegóż ją tak bardzo zaniedbał? Zapomniał, że prosiła serdecznemi słowami o spotkanie. Wymieniła adres i godzinę, o której mógł ją zastać każdego dnia w domu. Dlaczegóż nie poszedł? W paśmie dni ponurych, smutnych i beznadziejnych byłaby dla niego oazą wytchnienia. Jakiż bezsenny skarb ukojenia ukrywał się w słodkim uścisku spragnionych ramion. Prosiła go o przybycie. Może sama cierpiała także i potrzebowała jego pomocy. Nie przyszło mu to nawet na myśl. Nie chciał zawinąć do spokojnej przystani, gdzie można było przecież śmiało odrzucić maskę komedjanta, zdjąć pancerz szermierza i miecz odpasać. Nie groziła mu tutaj żadna zdrada ani żadne niebezpieczeństwo. Byłby pił długo rzeźwiący napój rozkosznego wytchnienia. Byłby już daw-

no odnalazł upragnione królestwo ciszy. Dopiero teraz wszystko rozumiał. Jakżeż okrutnym samolubem był wtedy, kiedy dręczył siebie bez litości. Czy tylko siebie dręczył? Gdzieś daleko samotna, porzucona, wydana na łup pospolitości zdradzieckiej i bezlitosnej, odczuwała może cudowną intuicją kobiecego serca każde drgnienie bólu i we własny puhar, pełen goryczy, mieszała jego skargi i złorzeczenia. Biedne, samotne dziecko!...

Zerwał się szybko i biegł ulicami. Niebawem dzwonił do drzwi jej mieszkania.

Otworzyła mu sama, jakby wywołana gwałtownym krzykiem tęsknoty. Na widok Ordy po twarzy wesołej przemknął cień ledwo widoczny i zgasił na chwilę swawolny uśmiech. Usta drgnęły w dziwnym skurczu.

— Dlaczego nie przychodziłeś tak długo? — zapytała, podawając mu twarz do pocałunku.

Nie czekając na odpowiedź, chwyciła go za rękę i pociągnęła do swego pokoju.

— Nie byłeś jeszcze nigdy u mnie na budzie... — rzekła głosem, w którym drżał cichy wyrzut.

Orda próbował się usprawiedliwić:

— Jakoś się dziwnie nie składało. Naprawdę w ostatnich czasach musiałem borykać się z tylu trudnościami i tyle było do roboty ze sobą...

Niepokój i współczucie przesunęły się po jej twarzy, niby dwie, niknące za sobą, fale.

— Miałeś zmartwienia?

— I tak, i nie.

Rozejrzał się w małym pokoiku.

— Jak tu u ciebie ładnie. Niby taka sobie mizerna kliteczka, a jednak tyle wdzięku. Na każdem miejscu widać ślad twojej miłej ręki. Zaraz poznać, że tu właśnie jest cicha kryjówka, z której codziennie wylatuje motyl o pięknych skrzydłach.

Podziękowała mu radosnym błyskiem przymrużonych oczu.

Kiedy usiadł na fotelu, osunęła mu się na kolana i przytuliła mocno, obejmując za szyję.

— Pamiętasz — szepnęła — tak, jak dawniej...

Pochylił głowę, jej ręce zaczęły powolutku gładzić włosy.

— Tak, jak dawniej — powtórzył — ach, jak mi dobrze teraz, jak nieskończenie dobrze.

Błogi tuman cichego upojenia zarzucił na nich miękką zasłonę.

— Ach, gdyby można było tę chwilę na długo zatrzymać. Czegóż pragnąć więcej?...

Milczeli oboje, odnajdując coraz nowe zapomniane rozkosze. Nieśmiałemi, ledwo uchwytnemi ruchami, muśnięciami drżącemi, jak niewidoczne skrzydła, wspominali lube minione pieszczoty.

Wreszcie Jadźka podniosła jego głowę i przysunąwszy ją tak blisko, że czuł rzęsy na powiekach, usta na ustach, zapytała:

— Co z tobą, Janku?

Orda wzdrygnął się mimowoli, ona przycisnęła się doń tak mocno, że aż oddech zamarł.

— Powiesz mi?...

Otulił ją ramionami i począł gładzić rozwichrzone włosy.

— Powiem, dlatego właśnie do ciebie przyszedłem.

Ostatnie słowa zastygły, zduszone pocałunkami.

— Kochany, poczciwy chłopak...

Czekała cierpliwie na jego słowa, ale Orda czuł, że wciąż drży ta sama niema, uporczywa prośba.

— Widzisz — zaczął nieśmiało — mówiłem ci, że nie chcę przyjść do ciebie z próżnemi rękoma. Mówiłem tak, bo wierzyłem, że jestem bliski zdobycia tego, co mi się wydawało potrzebnem dla nas dwojga. Tymczasem zawiodłem się — ludzie oszukali mnie, zwiedli...

Twarz Jadźki skurczyła się, oczy zamigotały, z pod warg błysnęły zęby w złym śmiechu.

— Ludzie są podli...

Orda wstał, podniecony myślami, krążył tam i zpowrotem. Małomówny zazwyczaj i milczący, puścił wodze słowom, które płynęły z zadziwiającą swobodą i łatwością.

— Tak, oszukano mnie. Banda karjerowiczów podeptała mój honor, usiłowano w imię jakichś tam ideałów zepchnąć mnie aż do nikczemności. Wszyscy oni myśleli, że Orda—to głupiec skończony, zabawka, pajac, którego każdy może nakręcić wedle swego widzi-mi-się. Ten łotr Dzierzgowski i ten Berezowski! Gdybym się nie brzydził, potańcowałbym z nimi jeszcze. Nie mam już co robić tam. Trzeba sobie raz wreszcie wybić z głowy nadzieję karjery tak zwanego porządnego człowieka. Nie nadaję się, nie jestem stworzony do tego, choć mi się zdawało, że cel, tak prosty i mizerny, dostępny jest nawet dla takiego przeciętnego człowieka, jak ja. Ale to były złudzenia, głupie złudzenia.

Schwycił jej spojrzenia trwożne i pytające zarazem.

— Od dzisiaj jednak dosyć tej szarpaniny, dosyć tych pytań, wahań — na świecie zdobywa się wszystko gwałtem, przemocą. Wszyscy robia to samo. Dlaczegóż ja miałbym być innym?

— Co chcesz zrobić?

— Jadźka, to, co ci powiem, może głupie, śmieszne—może dziecinne, ale ja w to wierzę, więc, choćbyś mi to chciała wybić z głowy, nic a nic nie pomoże.

— Powiedz, co chcesz zrobić?

Orda, zawstydzony, spuścił oczy i szepnął, niby żaczek niesforny:

— Chcę grać...

— Jakto grać? tylko grać i nic więcej? Czy to tak można? Czy to wystarczy?

Orda wziął ją za ręce i patrząc w oczy prosto, mówił bez żadnego wahania:

— Słuchaj, to jest konieczność. Muszę wygrać, rozumiesz, niema innego wyjścia. W tej chwili mam przy sobie tysiąc dwieście marek i żadnej nadziei... nawet na fizyczną pracę. Robiłem wszystko, co mogłem. Wszelkiemi sposobami chciałem uniknąc tej ostateczności. Teraz nic innego zrobić nie mogę... trudno...

Jadźka, zamyślona, potrząsnęła głową.

— Tak, wiem, rozumiem. Widziałam nieraz... grali, wygrywali dużo pieniędzy, ale przegrywali także.

Spojrzała na niego jakoś dziwnie nieufnie:

— Skąd wiesz na pewno, że wygrasz?

Orda uśmiechnął się wesoło:

— Myślisz, że oszalałem. Nie—bądź spokojna, znalazłem sposób, sposób niezawodny. Jadźka, przysięgam ci, że to nie jest żadna fantazja. Tyle nocy spędziłem w klubach i spędziłem nie na darmo. Zrobiłem odkrycie, niesłychanie proste i pewne. Rozwiązałem zagadkę gry—rozumiesz?!

W nagłym wybuchu radości zarzuciła mu ręce na szyję. Ostatnie wątpliwości zniknęły, rozwiązane jego bezwzględną stanowczością.

— A więc wygraj, wygraj jak najwięcej pieniędzy. Pieniędzy tak bardzo potrzeba. Bez pieniędzy niema nic na świecie.

Orda zaciął szczęki:

— Możesz być spokojna. Wygram.

Z wielkiej uciechy poczęła klaskać w dłonie:

— Doskonale, będziemy grać razem... ogromnie lubię przyglądać się grze.

Ale Orda potrząsnął głową:

— Nie, Jadźka—muszę sam, inaczej nic z tego nie będzie...

— Dobrze, jeśli uważasz, że tak lepiej — graj sam, ale musisz często do mnie przychodzić. Ina-

czej będę ciągle niespokojna i ciągle pytać będę, co się z tobą dzieje.

Milczeli chwilę, wreszcie Jadźka zapytała nieśmiało, jakby obudziły się nowe niepewności:

— A teraz, kiedyśmy się nie widzieli. grałeś?

— N e, starałem się uczynić wszystko, aby nie grać. Są chwili, w których gry się boję. Ona mnie pochłania, wysusza, zabija wszystko, co jest poza nią. Podobno jakiś wielki człowiek powiedział, że największą rozkoszą jest po pierwsze wygrywać, a po drugie przegrywać, ale mnie się wydaje, że gra jest i rozkoszą i męczarnią. Pamiętam dobrze te chwile, w których najsłodszy uśmiech szczęścia wydaje się obmierzły, kiedy ma się ochotę rzucić na środek stołu wygrane pieniądze i uciec. A zresztą... myślałem jeszcze o jednem.

Wyprężył się i podniósłszy głowę hardo do góry, zawołał doniosłym głosem:

— Czy podporucznikowi Drugiej Brygady, który dziś, jutro może być pod broń powołany, przystoi żyć z gry?

Jadźka parsknęła bezmiernie lekkomyślnym śmiechem:

— Eh, mój drogi, w tych podłych czasach wszystko przystoi. Jeżeli tylko można—zgarniaj pieniądze garściami.

Orda skurczył się nagle i machnął pogardliwie ręką:

— Tak, wszystko dookoła jest grą. Wszyscy grają. Czemże jest gra, jeśli nie skróconą walką o byt.

Wyciągnął dwie mocne, żylaste pięści i potrząsnął niemi groźnie.

— Trzeba szczęście wziąć za łeb — ot co!

Jadźka śmiała się coraz głośniej.

— Tak, za łeb!

Niespodziewanie przyskoczyła do niego i poczęła całować namiętnie włosy, oczy, usta i szyję.

— Mój ty podporuczniku kochany, mój ty graczu!

Ognisty żar pocałunków podsycał wciąż rosnący huragan namiętności. Jednym stalowym chwytem wściekłych ramion chwycił ją wpół i szepnął zduszonym głosem, szarpiąc suknię:

— Zdejmij te szmaty...

Błysnęła rozkoszna białość — świeża, jak kwiat, w rosie skąpany...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Dopiero, kiedy zmrok zapadał, wyszedł od niej. Tego wieczora grać nie chciał...

## XX

O godzinie dziesiątej wieczorem Orda wyszedł z cukierni, zakończywszy partję domina niewątpliwym choć chwiejnym sukcesem. Jak go nauczyły poprzednie doświadczenia, tego rodzaju próba była nieomylną wróżbą ściśle takiego samego powodzenia we wszelkich innych grach. Orda wierzył niezłomnie, że może zawsze określić zgóry rytm swego szczęścia. Dość było spróbować partji domina, szachów lub bilardu, aby się dowiedzieć czy szczęście było tego dnia po jego stronie, czy też porzuciło go wzgardliwie. Orda przekonał się, że nawet w grze czysto fizycznej, gdzie pozornie rozstrzygającą jest tylko sprawność ręki i oka, decydowało jednak zawsze przeznaczenie dnia. Sprawdziwszy to po wielekroć razy, czuł się jak wynalazca, któremu udało się dokonać z trudem odkrycia niezmiernie doniosłego. Jeśli zaś do tej pory nie umiał wyzyskać aż do dna tej niezmiernie prostej zasady, to tylko dlatego, że jakaś dziwna, niemal chorobliwa, słabość nie pozwalała czerpać pełną dłonią ze skarbu niewątpliwego doświadczenia. Ileż to, razy niby kapryśne, nierozumne dziecko, krzyżował własne zamiary i ulegając namowom siły fatalnej, niszczył jednym zamachem plan, doskonale obmyślony, zwarty i logiczny. Ileż

to razy działał wbrew własnym postanowieniom i nie posiadał nigdy dosyć siły, aby przerwać grę wtedy, kiedy osiągnął już szczyt powodzenia i czuł, że zewsząd nadciągają czarne, złowróżące chmury. Doprowadzało go nieraz do rozpaczy, że przewidziawszy wszystko aż do najdrobniejszych nawet szczegółów, zgrywał się wkońcu, mimo całej mądrości, podobny do pierwszego lepszego głupca, rzucającego naoślep swoje stawki.

Podczas ubiegłej zimy przeżył długi, wyczerpujący okres straszliwego, bezowocnego szamotania. Gorycz niepowodzenia wycisnęła na wszystkich jego myślach piętno ponurego zwątpienia. Trzeba było długich czterech miesięcy przerwy, trzeba było nowych doświadczeń, trzeba było żmudnej wędrówki po innych kręgach życia, aby mógł wrócić do gry z wiarą w swój system i własne siły. Dopiero teraz zdawało mu się, że jest oparty o hartowną potęgę woli. Tworząc w rozognionym mózgu najdziwniejsze obrazy gry, wmawiał w siebie usilnie prawie bohaterską niezłomność i zimne okrucieństwo łowcy szczęścia.

— Będę skończonym głupcem—powtarzał sobie ustawicznie — jeśli nie wyzyskam odkrycia, które zdobyłem z takim trudem.

Spojrzał na zegarek.

Miał jeszcze dwie godziny czasu. We wszystkich klubach gra rozpoczynała się dopiero około dwunastej. Mimo to jednak, postanowił iść zaraz. Bezcelowe błąkanie się po ulicach przerażało go. Szukał jakiegokolwiek usprawiedliwienia.

— Aha — mruknął do siebie — trzeba zjeść kolację. Najlepiej będzie, jeśli kolację zjem tam.

Przecież trzeba zawsze rozejrzeć się w sytuacji, wszystko ma znaczenie. Teren decyduje nieraz o losach bitwy.

Po krótkim namyśle, Orda wybrał na pierwszy

ogień świeżo otworzony klub pod nazwą „Samotnych".

— Samotni! — zaśmiał się na całe gardło, zadziwiając przechodniów — cóż za śmieszna nazwa!

Ta mała, rozwijającą się dopiero spelunka odpowiadała doskonale jego zamiarom. Przecież dawno już zdecydował, że należy zacząć od gry „cienkiej" — dopiero potem zajrzy tam, gdzie pysznią się „srebrne" i „złote" stoły.

Ucieszony nagłem postanowieniem, szedł szybko. Po drodze powtarzał sobie raz po raz horoskop nocy dzisiejszej:

— Szczęście zmienne, o nietrwałych momentach powodzenia. Należy zadowolić się podwojeniem ogólnej stawki i za żadną cenę gry nie przedłużać. Jeśli uda mi się kapitał początkowy zaokrąglić do tysiąca marek, powinienem bezwzględnie wstać od stołu. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak uczynię. To przecież proste i łatwe.

Po chwili przeszedł mroczną ulicę i dotarł do bramy dwupiętrowego starego domu, ukrytego pomiędzy wyniosłemi, nowoczesnemi kamienicami.

Otworzono mu natychmiast.

...Aha — pomyślał — stróż czuwa całą noc. Ruch w interesie jest.

Machinalnie począł szukać drobnych. Zawahał się chwilę i wcisnął w wyciągniętą łapę cerbera pięciomarkówkę.

— Na szczęście, ojciec! — zawołał.

Stróż uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Na szczęście — powtórzył.

Orda wszedł na schody i ujrzał na pierwszem piętrze metalową tabliczkę z napisem „Samotni".

...Jestem — pomyślał z zadowoleniem i zadzwonił znowu.

Małe okienko we drzwiach otworzyło się bez szelestu. Ktoś badał go bystrem, przenikliwem spoj-

rzeniem. Zgrzytnął klucz i jednocześnie opadł łańcuch. Ujrzał znajomą twarz któregoś z graczy.

— Pan Orda! — zawołał tamten, podając rękę— dziwiłem się, że pan do nas wcale nie przychodzi.

— Aa, Żarski, co tu robicie?

— Jestem sekretarzem „Samotnych" — prowadzimy ten interes do spółki z Daleckim, wie pan, bardzo porządny chłop, był oficerem austrjackim, ma kolosalne stosunki. Wystarał się o koncesję na klubik. Ale, że facet nie zna gruntu, szło mu kulawo. No i zaproponował mi spółkę za rozrobienie interesu.

Uderzył Ordę po ramieniu i triumfująco zawołał:

— I czyby kto uwierzył? — pracuję dopiero tydzień, a już sam Dalecki powiada: — „Panie Żarski, widzę kolosalną różnicę". Wczoraj był u nas Dolski-Feinmesser i jeden hrabia z Litwy. Mówiłem z graczami i jest możliwe, że się do nas cały złoty stół z Królewskiej przeniesie. Widzi pan, my nie obciągamy, trzy mareczki wstępu, a procent z banku także skromniutki.

Zatarł ręce z uciechy.

— Rozrabia się, rozrabia, mamy już najęty nowy, wspaniały lokal!... Kokos będzie, jak Boga kocham.

Zmrużył małe oczki, obleśny uśmiech zystygł na mięsistych wargach.

— Pan będzie łaskaw do kasy, a potem radziłbym zjeść kolację, graczy jeszcze niema. Za jakąś godzinkę będzie można dopiero zacząć. Pana mam rezerwować naturalnie na lepszą grę?

Orda potrząsnął energicznię ręką:

— Nie, zacznę dzisiaj skromnie. Długo nie grałem. Trzeba najpierw spróbować jak pójdzie.

— Słusznie, słusznie...

Przy kasie siedział również znajomy. Był to stary, prowincjonalny aktor, wyschnięty, jak mumja, nędzarz o twarzy żałośnie pomarszczonej, pośród

której widniały wyblakłe źrenice na przekrwionych białkach.

— A! i pan Potocki jest tutaj! — zawołał Orda, uśmiechając się doń przyjaźnie.

W długiej, zeschniętej grdyce zagulgotało coś i ozwał się chrapliwy, nosowy głos:

— Gdzieś przecież muszę zdechnąć...

Orda poczuł, że smutek musnął go znienacka czarnem skrzydłem, chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili Żarski warknął ostro:

— Tylko bez tragedij, panie Potocki, proszę tu nie robić żadnych lirycznych dramatów!

I zwracając się do Ordy, wskazał wyciągniętą ręką wejście do dalszych pokoi.

W restauracyjnej salce widać było tylko jedną nieruchomą postać mężczyzny. Na odgłos kroków podniosła się wolno pochylona głowa. Orda rozpoznał natychmiast ostre rysy Przedżymirskiego. Nieoczekiwane spotkanie nie zdziwiło go jednak ani przeraziło, jak dawniej. Podszedł do niego pierwszy i wyciągnął rękę na powitanie.

— Bardzo się cieszę, że pana spotykam, jest jeszcze trochę czasu, możemy zjeść razem kolację.

Przedżymirski przeszył go badawczem spojrzeniem gorejących oczu.

— A więc pan przyszedł, panie Orda?

— Tak, przyszedłem.

— Doskonale — odezwał się Żarski — ma pan towarzystwo. Zaraz każę podawać.

Byli sami. Z dwóch lamp, spowitych w festony różowej bibułki, płynęło mdłe światło. Po chwili wszedł D lecki w towarzystwie jakiejś przekwitłej piękności. Skinął im głową niedbale, z komedjancką dostojnością właściciela lokalu. Usiedli przy jednym z dalszych stolików. Dwie twarze zmięte, pokryte drobnemi sieciami minionych namiętności i pożądań, pochyliły się ku sobie i wiodły cichą rozmowę niedbałemi poruszeniami ust. Kelnerzy

poczęli obnosić półmiski. Dalecki muskał od czasu do czasu podczesane do góry wąsy i patrzył wyblakłemi źrenicami na kobietę, która opowiadała mu coś z nienaturalnem ożywieniem. Widać było, że oboje upajają się wszystkiemi rozkoszami sytości i posiadania.

Wreszcie kobieta, wydawszy służbie kilka rozporządzeń, wstała. Dalecki pożegnał ją, składając uroczysty pocałunek na ręce wypieszczonej, pokrytej pierścionkami.

Orda, widząc na twarzy Przedżymirskiego uporczywy wysiłek myśli, zaatakował go obcesowo:

— Nad czemże duma tak bez przerwy znakomity astrolog i chiromanta?

Przedżymirski wychylił jednym haustem filiżankę czarnej kawy i odparł, cedząc powoli słowa:

— O czemże mogę myśleć tutaj, w tych ścianach — myślę o grze.

— Ach, to bardzo interesujące. Ponieważ za chwilę mam zamiar spróbować szczęścia, przydałaby się może jakaś cenna wskazówka.

— Żadna wskazówka jeszcze nic nikomu nie pomogła — przeznaczenie wszystko rozstrzyga.

Orda uśmiechnął się z zadowoleniem. Te słowa były potwierdzeniem jego systemu. I chcąc zbadać jeszcze głębiej sprawę, rzucił odniechcenia:

— Czy istnieją wogóle teorje gry, któreby przedstawiały jakąś wartość?

Przedżymirski ożywił się nagle, jego oczy lśniły blaskiem wewnętrznej prawdy.

— Ależ naturalnie. Jak w każdej walce, tak i w grze rozstrzygać musi intuicja, oparta na fundamencie woli. Intuicja jest wyczuciem przeznaczenia, wola—narzędziem do uzyskania wszystkich korzyści, płynących z tej świadomości. Jestem głęboko przekonany, że istnieje wiele doskonałych indywidualnych systemów gry, nieraz tajemniczych i niezbadanych, nieraz prostych i jasnych, zawsze

jednak brzmiących przeczuciem sił nieznanych, ukrytych. Ale jakże mało jest ludzi, którzyby umieli przeprowadzić te systemy z żelazną, nieubłaganą wytrwałością! Szczęście ludzkie jest tajemnicą wszystkich tajemnic, zjawą, wytryskającą, niby tęczowy bukiet, ze źródła straszliwych misterjów. Ale przeczucie jego istnieje, nawet najprostszy cham słyszał choć raz szelest kroków, kiedy przychodzi i odchodzi. W życiu każdego człowieka istnieje pewien rytm szczególny, droga, wiodąca wężowemi skrętami w łunę zachodu. Ten rytm trzeba odgadnąć, usłyszeć i umieć wyzyskać świadomość zagadki z nieubłaganą mocą. Oto właśnie zadanie, nad spełnieniem którego trudzi się każdy człowiek żyjący i trudzić się musi w tej czy owej formie. Gra będzie zawsze salą doświadczalną ludzkiego losu. Jej tajemnicę odgaduje się tylko wśród jaskrawych błyskawic jasnowidzenia. Objawienia jej drzemią w odruchach świeżego, niezużytego instynktu, we wrażliwem przeczuciu zawrotnego i kapryśnego tańca bogini szczęścia.

Przedżymirski przymknął oczy i jakby wpatrzony w niewidoczny dla innych obraz, mówił cicho:

— Lekkie, białe stopy tańczą zwinnie, kołysane rytmem melodji, tak cichej, jak drgnienie skrzydeł motyla. Patrzę na jej twarz, przesłoniętą białym zawojem. Tańczy coraz lżej, jest przy nas. Okrutna kochanka! jej usta czerwone rozchylają się do pocałunku, a w drobnej dłoni drzemie już ostry, zatruty sztylet.

Zaśmiał się nagle zjadliwie. Orda wzdrygnął się, jakby usłyszał zgrzyt żelaza po szkle.

— Tylko głupcy mogą uwierzyć, że miłość tej zalotnicy jest stała. Tylko niepoprawni marzyciele łudzą się, że zdołają zawsze uchwycić silną dłonią jej złote warkocze. Dzisiaj posłuszna, korna niewolnica przemieni się jutro w drapieżną tygrysicę, która wypije z żarłoczną chciwością krew wczoraj-

szego kochanka. Byle kto umie pić spragnionemi ustami rozkosz, ale uniknąć razów okrutnych jest najczęściej mądrością nie do zdobycia...

— Jestem graczem bardzo świeżej daty — zaczął nagle Orda — ale doszedłem do przekonania, że ludzie, którzy usiłują zgłębić g ę na podstawie długich kolumn cyfr, łudzą się niemiłosiernie.

— Bezwątpienia — krzyknął Przedżymirski — czy można z ołówkiem w ręku zgłębić to, co jest tajemnicze, jak żywioł, dostępne jedynie czarodziejskim władzom duszy ludzkiej. Gdyby nawet udało się przemienić wszystkich na aparaty głuche, ślepe, bezmyślne i każdemu skinieniu posłuszne, gdyby nerwy można było zastąpić transmisjami, a mózg konstrukcją stalową, to w pierwszej bitwie ze szczęściem okazałoby się, że te wszystkie opatentowane, nie podlegające żadnym wpływom ani nastrojom chwili maszyny nie są warte tyle, co jeden krótki błysk chimerycznego przeczucia. Oto gra się zaczyna! Padają karty, złoto krąży to tu, to tam. Wszystko dzieje się tak, jak się dziać musiało. Genjusz ludzki, rozum stalowy triumfują. Ale w tem wszyscy bledną, bo oto zjawia się gracz nieproszony. Jakieś tajemnicze ręce mieszają karty i rzucają na stół. Ktoś chce się zerwać i krzyczy głosem, króry przeraża: — „Nie gram dalej!" Ale zwyciężony lękiem nieopisanym, pada na krzesło i rzuca ostatnie sztuki złota, ostatnie... Cisną się do stołu nowi gracze. Straszliwe gęby chamów krzyczą na cały głos: — „I my chcemy grać także!" Rzucają na zielone sukno skrwawione piły, topory, ociekające krwią, i ostrza dymiących bagnetów. Pomiędzy białe, wypieszczone ręce wdzierają się brutalnie twarde, czerwone, brudne łapska. Cały świat gra. Wszystko jest stawką. Padają zwyciężeni jedni, wznoszą się drudzy. Wszyscy grają. Wielcy i mali, nikczemni i wzniośli. Wielcy gracze przegrywają także. Wielkość nosi w sobie zarodki

śmierci. Napoleon, Cezar, Aleksander, Don Kiszot i Sanczo Pansza przegrywają razem.

— Ale ktoś musi wygrać?

Przedżymirski zachichotał, jak potępieniec:

— Wygra może jakiś chytry Tayllerand, który umiał przetrwać na przełomie dwóch epok, może gibki i zwinny, jak wąż Casanova, który był łotrem w miarę...

Za drzwiami ozwały się dzwonki. Weszło odrazu kilkanaście osób. Zabrzmiały hałaśliwe rozmowy, dygotały brutalnem echem podniecone śmiechy. Ktoś siadł do fortepianu i młócił szybko bezmyślną, kabaretową melodję. Orda wpatrywał się ciągle w twarz Przedżymirskiego, wykrzywioną złośliwym grymasem. Zdawało mu się, że jakieś dziwaczne szaleństwo, które wypełzło zeń na chwilę, chowa zpowrotem swoje straszliwe oblicze.

Orda myślał wciąż:

...Co tu jest prawdą, a co szaleństwem?

— A więc trzeba grać? — zapytał głośno.

Przedżymirski drgnął i zgasiwszy szybko resztki podniecenia, odparł prawie wesoło:

— Powinien pan grać, panie Orda, albowiem i tak gra pan ciągle. Pocóż się trudzić, pocóż filozofować, poco wysnuwać ze swego życia długie pasmo szarych dni, pocóż przez długie lata mizernemi obracać stawkami, kiedy w jednej chwili można rozegrać partję całego życia, dowiedzieć się wszystkiego i natychmiast zgłębić własne przeznaczenie.

— Dwie partje chemin de fera gotowe — zabrzmiał nagle za nimi głos Żarskiego — przy pierwszym stole jest jeszcze jedno miejsce wolne. Kto z panów życzy sobie?...

Orda podniósł się natychmiast i odparł spokojnie:

— Jestem gotów...

Przedżymirski szedł za nim.

## XXI

Gra rozpoczęła się odrazu przy dwóch stołach. Tempo było z początku dosyć rozwlekłe i nieciekawe. Orda poznał odrazu, że ośmiu jego współpartnerów dzieliło się jak zwykle na dwie odrębne grupy. Pierwsi, ostrożni, a nawet tchórzliwi, starali się ograniczyć „poniterkę" do minimum, pokrywając na ręku, wedle obowiązującej zasady, zaledwie najniższą stawkę. Uporczywie czekali, aż uda im się przychwycić dobry bank. Drudzy grali swobodnie, bez namysłu. „Bili" zazwyczaj każdą sumę, która „przychodziła" do nich. Pierwsi odpowiadali raz po raz steoretypowo:

— Nic nie biję...

Drudzy wołali ciągle:

— Bank!... bank!...

Były to niejako dwa wrogie zastępy, ścierające się ustawicznie dwiema odrębnemi metodami walki. Perwsi czyhali chytrze na lekkomyślność drugich, którzy usiłowali zniszczyć tamtych wysokiemi stawkami i szybkiem tempem. Wykrzyknikami krótkiemi i wymownemi spojrzeniami wyrażano sobie wzajemną pogardę. Krążyły jakieś ciche porozumienia, odpierano podstępne ataki złośliwemi posunięciami. Któryś z graczy, mimo wielkiego powodzenia, zdołał wycofać z banku zaledwie jakąś drobną sumę.

— Jakto, nikt nie pokrywa?!—wołał ustawicznie zrozpaczonym głosem.

— Pan nie bije, a więc i panu bić nie warto — odpowiedział ktoś z lodowatym spokojem.

— Każdy gra wedle swoich zasad — próbował tłumaczyć się tamten.

— Właśnie moja zasada polega na tem, aby nie bić banków słabym graczom...

Wogóle nie była to noc szczęśliwa dla „drobnych kombinatorów". Odpadali jeden po drugim. Jedni wycofywali się, przegrawszy beznadziejnie

wszystkie pokolei stawki, inni tracili nagle panowanie nad sobą i po kilku mocniejszych uderzeniach, wstawali od stołu z zaciśniętemi ustami, wybladli, podobni do karjatyd o boleśnie wykrzywionych twarzach. Zastygali w bezruchu, wodząc błędnemi spojrzeniami dokoła. Od czasu do czasu ktoś skarżył się cicho:

— Do licha, właśnie mój bank. Pięć rąk! A mnie nie przeszła ani jedna karta.

— Trzeciego już wykończyli... — liczył jakiś niestrudzony obserwator.

Opuszczone miejsca zajmowali nowi przybysze. Tempo gry wzmagało się coraz bardziej.

...Gra zaczyna być interesująca — pomyślał z zadowoleniem Orda.

Pomiędzy dwoma stołami uwijali się żwawo Dalecki i Żarski, wołając raz po raz:

— Proszę za trzecią kartę do puszki! Proszę wpłacić pięć marek!

Orda grał ze szczęściem, wciąż zmiennem, grał ostrożnie, czyhając nieustannie na dobrą chwilę. Był spokojny. Nerwowe drżenie, które dygotało w nim, skoro usiadł przy stole, zniknęło bez śladu. Wyczuwał w sobie, wysunięte, niby żądło, ostrze czujnej wrażliwości. Ani na chwilę nie opuściła go jeszcze wiara w powodzenie. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, ale on widział wszystko, gotowy zawsze do skoku. Orda czuł, że go uważają za małego gracza. Ponieważ został tylko jeden, tolerowano go.

...Poczekajcie—myślał, zaciskając pięści—zobaczycie wy jeszcze dziwne rzeczy...

Kilka razy próbował „zrobić bank", ale za każdym razem przepadał na trzeciej ręce.

Dokuczyło mu to. Pierwsze zwątpienie wtargnęło znienacka, burząc spokój.

...Licho wie, czy dzisiaj wogóle da się coś zrobić.

Lepiej zgrać się odrazu, niż borykać się z taką męczącą zmiennością.

Spojrzał na zegarek—grał już dwie godziny bez najmniejszego rezultatu. Chciał wstać i przerwać na chwilę grę, ale właśnie bank doszedł do niego. Pociągnął dwa razy. Trzecia ręka zabiła znowu.

Orda zaklął zcicha i począł z wytężoną uwagą badać jeszcze raz sytuację. Na trzeciem miejscu po jego lewej stronie siedział najgroźniejszy obecnie przeciwnik. Kilku śmiałemi rzutami wydobył się na plan pierwszy i zapanował niepodzielnie nad całym stołem, gromiąc bez wytchnienia na wszystkie strony. Grał z niesłychanym pośpiechem, w tempie szalonem, jakby pragnął wyzyskać aż do dna rozkoszną chwilę szczęścia. Jego twarz piegowatą, czarnym zarostem pokrytą, rozświecała triumfująca radość. W niespokojnych ruchach długich rąk było coś z małpiej zręczności. Zakrzywionemi palcami chwytał zmięte banknoty i napychał sobie niemi wszystkie kieszenie. Podziwiano go kornie. Wszyscy ci, którzy przed chwilą musieli wycofać się z gry, rzucali mu spojrzenia, pełne nietajonej zazdrości. Otaczał go nimb zachwytu. Starano się wyzyskać jego powodzenie, grając z nim razem. Co chwila ktoś wciskał mu pieniądze i błagał zduszonym głosem:

— Proszę, niech mnie pan weźmie do swego banku!

Jego szczęście zaślepiało wszystkich. Raz po raz ktoś próbował stawić mu czoło, ale niezwyciężony gracz wyrzucał najczęściej ósemkę lub dziewiątkę i wołał donośnym głosem, w nadwiślańskim dialekcie:

— Mały gibaj... wielki gibaj...

Zjadliwy uśmiech drgał na wypukłych wargach, a nienasycone ręce chwytały znowu.

— Panu doktorowi — łasił się ktoś ztyłu—trzebaby dzisiaj grubej gry.

Orda wzruszył ramionami. On jeden nie próbował z nim walczyć. Tylko ta trzecia ręka, ta przeklęta trzecia ręka.

...Gdybym choć raz — myślał — przeszedł tę żydowską małpę, okrążyłbym cały stół dokoła.

Wtem błysnął mu niespodziewany pomysł. Trzeba spróbować jeszcze jednego sposobu!

Właśnie bank doszedł do niego. Orda przysunął do siebie maszynkę i spokojnym głosem oznajmił:

— Sto marek w banku!

Wszystkie głowy zwróciły się z zaciekawieniem w jego stronę, wszystkie spojrzenia pytały: — „Co to ma znaczyć?"

...Aha — myślał z dumą — mały gracz!

Sąsiad z lewej strony zabił odrazu wszystko.

Orda wyrzucił ósemkę.

— Mały gibaj!.. Dwieście marek dalej!

Następny gracz odpowiedział natychmiast:

— Biję dwieście marek!

Orda rozdał karty, obejrzał i zawołał:

— Daję...

— Proszę dać...

Odwrócił siódemkę z figurą i mruknął:

— Zakąska!

Dał asa i zaśmiał się:

— Ja nie kupię...

— Słusznie, wygrał pan.

Czarny doktór wysunął już pożądliwie ręce i czekał, niby drapieżne zwierzę, na ofiarę.

— Tej ręki nie przejdzie! — zawołał ktoś.

Ale Orda zgarnął bank.

— Trzecia karta przegrywa na pewno. Afer!

Natychmiast ozwały się dokoła zmieszane głosy.

— Afer! Afer! Kto bierze afer?

Sąsiad z prawej strony chwycił chciwie karty.

— Proszę, daję afer...

— Z całej sumy? — zapytał Orda.

— Tak, czterysta marek w banku!

— Biję czterysta marek! — krzyknął.

Czarny doktór wpił w niego spojrzenie, pełne nienawiści i wrzasnął nagle:

— Trzymam za bankiem każdą sumę!

Orda poczuł przyśpieszone bicie serca i odpowiedział spokojnie:

— Mogę potrzymać jeszcze dwieście marek.

— Dobrze — warknął tamten — dwieście marek za bankiem.

Nastała chwila ciszy. Orda powtarzał w myśli raz po raz:

— Zrobiłem szaleństwo, szaleństwo... Przegram wszystko odrazu... wykańczam się...

Podnosił wolno karty, jakby obawiał się je zobaczyć. Nagle rzucił je na stół.

— Duży gibaj! — krzyknęli wszyscy gracze.

— Brawo, Jasiu! — zawołał ktoś ztyłu.

Orda obrócił się i zobaczył Dolskiego, który począł ściskać go za ręce.

— To było ślicznie zrobione, tak uderzyć może tylko rasowy gracz.

Doktór rzucił tymczasem pieniądze i podniósłszy się z miejsca, puścił jakiegoś nowego amatora.

...Największego rekina spłoszyłem — pomyślał z zadowoleniem Orda.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, kilka razy zabił z powodzeniem większą sumę. Grał teraz zupełnie automatycznie, dopiero jedna i druga przegrana wróciła mu zwątloną przytomność.

Przesunął ręką po czole i uczuł śliskie krople potu.

— Co to jest? Co ja robię? Dlaczego gram jeszcze? To jest już szaleństwo, nie gra!

Nagle przypomniał sobie horoskop. Już dawno powinien był wstać. Ale wstać nie mógł.

...Trzeba policzyć pieniądze — pomyślał i począł grzebać w stosie papierów.

— Pański bank — zwrócił mu ktoś uwagę — czy pan trzyma bank?

— Puszczam bank—odparł machinalnie i zagłębił się znowu w obliczeniach.

Miał tysiąc pięćset marek. Zgarnął część banknotów i sztonów. Podał je Żarskiemu.

— Dajcie mnie za to całego koguta.

Żarski uśmiechnął się do niego rozkosznie.

— Jak na pierwszy występ, wcale nieźle. Pan ma już naturalnie dosyć?

Orda drgnął odruchowo.

— Tak, mam już dosyć.

...Tak, trzeba wstać! Czarny doktór wstał także. Ho, ho, mądrala. Zmiarkował odrazu. A czyż on ma postąpić znowu jak skończony głupiec? Czy znowu będzie wracać do domu z niesmakiem i uczuciem obrzydzenia do samego siebie? Nie, to przecież szaleństwo! I tak już kilka razy stawiał wszystko na jedną kartę. Jedno poślizgnięcie, jeden złośliwy kaprys przypadku, a byłby zgrał się do nitki.

Żarski podał mu tysiącmarkówkę i szepnął do ucha tajemniczo:

— Tu już niema co robić. Tu tylko możecie przegrać. Jeżeli ma pan ochotę, to w drugim pokoju robi się właśnie lepszy stół. Tam będzie grał Dolski, tam można coś jeszcze zrobić.

...Ach tak — pomyślał — może to i dobra sposobność, może Żarski dobrze radzi. Poco rozkładać tę całą historję na długie wieczory, kiedy można zwyciężyć odrazu.

Dźwignął się wreszcie i natychmiast odczuł straszliwe zmęczenie. Nogi dygotały pod nim, pot ściekał po twarzy strumieniami. Rozpiął kołnierzyk i oparł się o krzesło. Ledwo zdołał wyjąkać:

— Miejsce jest wolne!

Odpoczywał długo. Śledził machinalnie grę, wcale jej nie rozumiejąc. Wreszcie oprzytomniał nieco. Rozdzielił napiwki pomiędzy służbę, która dzięko-

wała niskiemi ukłonami. Ten i ów rzucił mu zazdrosne spojrzenie.

...Wygrałem, wygrałem — myślał z dumą.

— Gdzież jest ten drugi pokój? — zapytał odruchowo Żarskiego.

— Za chwilę was zaprowadzę — odparł tamten i począł wołać na całe gardło: — trzecia karta! proszę pięć marek do puszk! pięć marek!

Orda czekał cierpliwie, nagle chwycił go straszliwy lęk.—Co to jest? Co on chce zrobić? Co on chce zrobić? Ile razy zmieniał stół, zawsze przegrywał.

Jakiś rozpaczliwy głos szeptał mu do ucha:

— Uciekać, uciekać!

Jeśli go zawołają, będzie zgubiony. Nie zdoła się już oprzeć.

Wtem jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu. Obejrzał się i zobaczył Przedżymirskiego.

— Czy pan chce jeszcze grać?

Orda uśmiechnął się głupio.

— Sam nie wiem.

— Ale czy pan powinien grać?—zapytał Przedżymirski z naciskiem.

— Nie, nie, nie trzeba grać.

Oparł się o niego, jak małe, słabe dziecko i bąknął ledwo dosłyszalnym głosem:

— Niech mnie pan wyprowadzi.

Przedżymirski wziął go pod rękę i wiódł przez pokój. Gdzieś na fotelach drzemały jakieś skurczone postacie, wtem zboku błysnęło światło. Przez niedomknięte drzwi widać było zielony stół i schylone postacie grających.

— Jasiu, chodź do nas, jest miejsce! — ozwał się kuszący głos Dolskiego.

Orda szarpnął się wściekle:

— Niech mnie pan puści, spróbuję jeszcze, właściwie te pięćset marek mogę zaryzykować...

Ale Przedżymirski nie ustąpił i wyprowadził go przemocą.

Dopiero świeże, ranne powietrze orzeźwiło Ordę. Wyprostował pierś i nagle podniósł wgórę zaciśnięte pięści. Głośno zawołał:

— Zwyciężyłem!

Na twarzy Przedżymirskiego drgał ledwo widoczny uśmieszek...

## XXII

Gra pochłonęła Ordę w zupełności. Wszystko, co było po za tem, nie miało dlań najmniejszej wartości. Chwilami tylko zapadał, niby w otchłań bezdenną, i tracił zupełnie poczucie rzeczywistości. Wyczerpany do ostateczności, leżał nieraz bez ruchu przez długie godziny. Powtarzał wkoło dziwaczne, „robaczywe pacierze". Był to jakby gorączkowy sen na jawie — sen, który męczy, dusi, jak zmora, ale którego się nie pamięta. Dopiero nad wieczorem dźwigał się automatycznie i szedł do cukierni ustalić codzienny horoskop. Stosownie do tego grał albo wracał do domu.

Codziennie spotykał się z Przedżymirskim. Nie mógł się bez niego obejść. Poczucie jego obecności wlewało spokój. Podczas gry oglądał się raz wraz gorączkowo, śledząc niepewnem spojrzeniem czy Przedżymirski stoi za nim. Zawarli pomiędzy sobą cichy, milczący układ. Wyspowiadał mu się ze wszystkich spostrzeżeń i wyjawił swój system wraz z najdrobniejszemi szczegółami. Przedżymirski rozstrzygał zawsze w momentach wątpliwych. Orda stał się dziwnie uległy i przerywał zawsze grę na jego rozkaz. Dopełniali się wzajemnie. Rychło poznał, że pozostawiony własnemu losowi, nie zdołałby dokonać niczego. Pewnej nocy, skończywszy zwykły seans, obliczył pieniądze i wręczył Przedżymirskiemu połowę wygranej. Tamten, nie mówiąc ani słowa, schował do kieszeni plik banknotów. Od tego czasu dzie-

lili się zawsze plonem nocy. Rzadko rozmawiali dłużej ze sobą. Nie zwierzali się nigdy z żadnych planów na przyszłość. Jakaś głucha niechęć rosła, mimo wszystko, między nimi. Dla porozumienia wystarczało im kilka słów zaledwie, poza grą unikali się skrzętnie.

Orda myślał często z niepokojem, kiedy się to wszystko skończy nareszcie?

W przeciągu dziesięciu dni wygrali zaledwie po piętnaście tysięcy marek. Jakże ciężko były zapracowane! Śmieszna suma! Co można zrobić z takiem mizernem bogactwem? Może zabrać Jadźkę i wyjechać gdzieś daleko w świat? Uciec stąd, ach uciec! A po kilku miesiącach stanąć znowu przed obliczem tego samego okropnego zagadnienia! Nie, to się na nic nie zda...

Po kilku dniach przerwy, Orda czuł się znowu wypoczęty i pełen energji. W piątek wieczorem zaproponował Przedżymirskiemu wyprawę do klubu, gdzie można było grać bardzo wysoko.

Tamten wzruszył niedbale ramionami i zapytał tylko:

— Grał pan dzisiaj w domino?

— Tak, najpierw stałe niepowodzenie, potem nieustająca, pełna wena.

— Czy potrafimy tylko przetrzymać ten pierwszy złośliwy okres? Czy starczy oddechu?

— Mam nadzieję—będę grał bardzo uważnie. Jeden dobry bank i nie będzie trzeba męczyć się dłużej.

Przedżymirski spojrzał nań bystro:

— Pan ma już dosyć?

— Tak—odparł Orda, pokrywając uśmiechem zakłopotanie—jestem zmęczony, zupełnie do niczego.

— Pan nie lubi wygrywać? — zapytał Przedżymirski, bardzo zdziwiony.

— Nawet powodzenie zaczyna mnie nużyć. Chwilami bierze ochota przegrać wszystko umyślnie.

Po twarzy Przedżymirskiego przesunął się cień

lęku. Jakiś tajemny błysk zamigotał w czarnych źrenicach i zgasł szybko.

— A więc kości rzucone — dziś albo nigdy!

Kiedy się już rozchodzili, Ordzie błysnęła mimowoli zła myśl:

...On może śmiało ryzykować. Jeśli przegram, to ja przegram. Rzuci mnie wtedy, jak wyciśniętą cytrynę, i powie sobie: — „Wyprułem z gościa wszystko, co można było wypruć". A jeśli wygram — dostanie połowę.

O godzinie jedenastej wieczorem spotkali się w klubie, który wiódł swój łajdacki żywot pod maską filantropijno-artystyczną.

W wielkiej sali, kończył się właśnie, tak zwany „kabaret literacki". Wszystkie stoliki były zajęte. Mężczyźni rozpierali się niedbale na krzesłach, kobiety, wystrojone przesadnie, pyszniły się przy białych obrusach, niby sztuczne, barwne kwiaty. Migotały klejnoty, świecidła i nieskażona biel gorsów. Korki szampana strzelały wgórę. Wszędzie snuła się cicho służba w czerwonych frakach. Na scenie jakiś aktor deklamował napuszone wiersze patrjotyczne. Raz po raz zrywały się oklaski.

Orda, oparty o framugę drzwi, dławił się ohydnym niesmakiem.

Wtem Przedżymirski trącił go niespodziewanie i szepnął do ucha:

— Czy pan wie, że w Niemczech wybuchła rewolucja?

Drgnął, zaskoczony znienacka wiadomością radosną.

...Rewolucja — powtarzał z lubością w myślach — rewolucja, może i tu wybuchnie rewolucja. Może już za chwilę wpadnie na tę salę pomiędzy piękne damy czereda rozbestwionych nędzarzy. Może jacyś pijani barbarzyńcy zaczną nareszcie zdejmować kosztowne pierścionki, razem z palcami.

Nerwowo szarpnął swego towarzysza za ramię:

— Chodźmy prędzej, prędzej! — ostatni wieczór, dzisiaj — niema czasu.

Torowali sobie drogę, wolno, w kierunku bufetu, za którym znikała raz po raz jakaś postać.

Jegomość w czarnym surducie zagrodził im drogę.

— Panowie życzą sobie?

Orda wysunął się naprzód i krzyknął głosem ostrym, rozkazującym:

— Gdzie tu jest złoty stół?

Bezczelną gębę rozjaśnił służalczy uśmiech:

— Proszę, służę panom dziedzicom, właśnie panowie czekają.

Zapuścili się w wąski, długi korytarz. Wszędzie widniały maleńkie, napółukryte drzwiczki, z poza których dobywało się już charakterystyczne wrzenie gry. Dopiero na końcu kryła się mała, zaciszna salka. Sześć głów schylonych podniosło się razem. Sześć par oczu przeszyło ich badawczo. Orda spojrzał i zobaczył, że niema nikogo znajomego. Ucieszyło go to, niewiadomo dlaczego.

— Czy jest miejsce wolne? — zapytał.

— Dwa miejsca nawet — oznajmił maitre de jeu.

— Dla nas potrzebne jedno.

— Siedmiu — wycedził ktoś wolno — można zacząć. Ósmy przyjdzie...

Rozrzucono karty. Orda wyciągnął asa pikowego i wybrał ulubione miejsce pod ścianą.

...Dobry znak — pomyślał znowu.

Gra potoczyła się odrazu z zawrotną szybkością. Po lewej ręce Ordy siedziała jakaś zwiędła, czterdziestoletnia kokota.

Twarz jej była dziwnie smutna, mimo wszelkich pozorów ożywienia. Cała falanga złośliwych, drobnych zmarszczek czaiła się koło ust, boleśnie zwiniętych, i pełzała aż do sinych obwódek oczu wygasłych. Ociężałe, zmęczone powieki opuszczały się raz po raz. Nozdrza kształtnego nosa drżały, jak chrapy końskie. Orda poczuł dla niej niewytłu-

maczoną sympatję, jakkolwiek za każdym razem zabijała pierwszą jego stawkę.

— Pani jest bezlitosna — szepnął cicho — nie przepuściła mnie pani jeszcze ani razu.

Obróciła się w jego stronę tak szybko, że aż wiotkie rajery zadrgały na czarnym kapeluszu:

— Ach, panie! — odpowiedziała głosem melodyjnym, o niskiem brzmieniu — ja przecież zawsze przegrywam...

— To nic... — uśmiechnął się Orda poczciwie, jakby chciał jej dodać odwagi — nie trzeba się zgóry uprzedzać.

— Pańskie pieniądze — tłumaczyła się jemu — zabiera mi zaraz sąsiad.

— Zupełnie tak, jakbyśmy grali w karty.

Miał już tylko cztery tysiące marek. Pieniądze topniały wolno, ale nieustannie.

— Wytrzymać, wytrzymać — powtarzał do siebie raz po raz i poskramiał z trudem nieprzepartą chęć zgrania się doreszty.

Od czasu do czasu Przedżymirski kładł rękę na jego ramieniu i szeptał cicho:

— Spokojnie... spokojnie...

Wreszcie został mu tylko jeden banknot tysiącmarkowy. Jeszcze dwa, trzy razy... i będzie gotów. Nareszcie koniec nudnej zabawy. Nie można przecież zawsze wygrywać. Oddychał z ulgą. Gra przejmowała go coraz to większym wstrętem.

Niespodziewanie jednak wygrał raz i drugi. Dwa razy ósemka i dwa razy ściągnął po tysiąc marek. Potem „egal" i, stosownie do zwykłej zasady, oddał bank. Cztery „koguty" leżały znowu przed nim.

...Jeszcze się bronię — myślał z niechęcią — przedłużanie agonji...

— No i przetrzymaliśmy pierwsze niepowodzenie — tłumaczył cicho Przedżymirski — teraz będzie duży bank.

Ciepła fala nadziei przepłynęła, budząc zamarłą żądzę zwycięstwa.

Właśnie wszedł ktoś cicho i stanął za nim. Orda obrócił się i zobaczył twarz, dobrze znaną. Był to jeden z najgroźniejszych przeciwników, jakich można było spotkać wogóle przy stole gry. Historję jego życia znali wszyscy. Nazywał się Kmita. Pochodził z dobrego, wiejskiego rodu. Od najwcześniejszych lat poświęcił się z prawdziwą namiętnością nauce. Z początku to zamiłowanie nie pozbawione było pewnych cech dyletantyzmu, później, kiedy okoliczności życiowe zmusiły go do zarobkowania, został profesorem gimnazjalnym. Uchodził za jednego z najbardziej oryginalnych i wykształconych ludzi. Odblaski dziwactwa, które rosło w miarę lat, czyniły go tem bardziej interesującym. Kiedy miał lat około czterdziestu, Kmita począł zwracać uwagę rozmaitemi anormalnemi wybrykami. Jednocześnie wyłoniła się niepohamowana żądza gry. Ten człowiek, żyjący skromnie, jak asceta, unikający kobiet i wszelkich zabaw, dyszał namiętnością hazardu. Jego twarz blada, twarz południowca, obramiona puklami czarnych, na skroniach siwiejących włosów, znana była we wszystkich klubach gry, gdzie wrodzoną dostojnością odcinał się na tle czeredy niby wytwornych chamów. Na dnie czarnych, marzycielskich oczu drzemało szaleństwo. Kmita był okrutnym graczem. Pojawiał się w porach tak różnych, jak różną była chęć gry. Przychodził zawsze wtedy, kiedy go się wcale nie spodziewano. Często o piątej rano, doskonale wypoczęty, po nocy przespanej, podobnie jak jastrząb na stado kuropatw, rzucał się na ostatnie zastępy nawpółprzytomnych niedobitków i ogrywał ich doszczętu w przeciągu kilku minut. Przez długi czas grał z niezwykłem powodzeniem. W szaleństwie tego dziwnego człowieka było jednak dużo rozumu. W ostatnich czasach grał coraz to namiętniej, za-

niedbując zupełnie swoje obowiązki. Zdarzało się, że na lekcjach zasypiał, a wykłady jego były bezładnem zbiorowiskiem szalonych myśli. Z tego powodu otrzymał dymisję. Wówczas to gra pochłonęła go w zupełności. Opowiadano na ucho, że nosi przy sobie prawie cały majątek. Starzy bywalcy klubowi pocieszali się błogą nadzieją:

— Prędzej czy później damy mu radę.

Tymczasem jednak Kmita był niezwyciężony i napawał wszystkich dziwnym lękiem.

Kiedy usiadł przy stole i począł jak zwykle stawiać naoślep wielkie sumy, Orda zadrżał mimowoli. Zjawienie się Kmity wróżyło zawsze nieszczęście.

...Tem lepiej — pomyślał — prędzej się skończy.

Postanowił otworzyć bank ze wszystkich pieniędzy, jakie posiadał.

— Pięć tysięcy marek w banku! — wołał po chwili.

Przedżymirski szarpnął go nerwowo i szeptał stłumionym, wściekłym głosem:

— To, co pan robi, nie ma sensu, jeżeli pan przegra, ja nie dam pieniędzy.

Orda odwrócił się i uderzył go zimnem spojrzeniem stalowych oczu:

— Doskonale, a więc dziś gram tylko na własny rachunek, pan będzie łaskaw o tem pamiętać...

I znowu zawołał:

— Pięć tysięcy marek w banku!

Trzy razy przeszedł zwycięsko. W banku leżało czterdzieści tysięcy marek.

Na ustach Ordy drgał lekceważący wszystko uśmiech. W myśli wciąż powtarzał:

— Wygram siedem razy zrzędu... Przedżymirski jest idjota!

Czuł w sobie siłę nieprzezwyciężoną. Blada twarz Kmity malała, nikła — w oczach wszystkich pełzał korny lęk. — Nareszcie, nareszcie przyszła ta chwila, o której marzył, na którą czekał tyle lat.

— Pan daje czterdzieści tysięcy do bicia?—zapytał ktoś nieśmiało.

Orda począł się śmiać—śmiać na całe gardło. Wszyscy patrzyli nań, przerażeni. Tylko twarz Kmity nie drgnęła nawet.

— Ależ naturalnie!—wołał. — Cóż za śmieszne pytanie! Proszę, czterdzieści tysięcy marek w banku!

— Biję dziewięć—odezwał się pierwszy gracz.

— Dla mnie pięć... dwa... dziesięć... — brzmiały zewsząd zmieszane głosy.

Orda patrzył ciągle na Kmitę, jakby go chciał zasugestjonować. Wreszcie ozwał się suchy, nerwowy głos:

— Bank!

Wszyscy gracze zadygotali i poczęli krzyczeć:

— Asekuruję pana na pięć tysięcy!

— I ja!

— Ja mogę na dziesięć!

Ale Kmita machnął niecierpliwie ręką i krótko oznajmił:

— Będę grać sam...

Orda rozdał karty i nic nie mówiąc, wyrzucił ósemkę. Kmita pochylił się nieco, jakby przytłoczony niespodziewanym ciężarem, i zapytał tylko:

— Da mi pan zabić osiemdziesiąt?

— Dam, ale pan musi przegrać!

— Trudno...

Wśród złowrogiej ciszy słychać było szelest kart.

Nagle Kmita skręcił się, jak owad, dotknięty szpilką, i krzyknął rozpaczliwym głosem:

— Przegrałem... te karty zawsze przegrywają... Proszę kartę!

Orda dał mu figurę, a sam, nic nie kupując, odkrył trójkę.

Kmita miał asa i dwie figury.

Olbrzymi stos banknotów urósł w dwójnasób.

Stół szalał. Pięciu graczy rozprawiało, kłóciło się, wymachując zaciśniętemi pięściami.

— Czy można do trójki nie ciągnąć?
— Okazuje się, że można...
— To jest warjactwo—wygrać w ten sposób!
— A jeśli szła siódemka albo ósemka.
— Kmita niepotrzebnie krzyknął, ułatwił tylko grę.
Orda mrużył oczy i ciągle się uśmiechał:
...Głupcy, dlaczego krzyczą — przecież on musiał wygrać. Siedem razy wygra! Wiedział o tem odrazu. A Przedżymrski, to także zwyczajny głupiec, będzie sobie wyrzucał do końca życia śmieszne tchórzostwo. Djabli wzięli całą jego mądrość. Orda zatarł ręce z uciechy i nagle zawołał głosem donośnym, w którym brzmiało jak dzwon huczne szyderstwo:
— Proszę panów, ostatnia sposobność. Sto sześćdziesiąt tysięcy marek dla prawdziwego amatora!
Ktoś bąknął nieśmiało:
— Na słowo — do jutra, można?
— Tylko gotówka — odrzucił twardo Orda.
Wspólnemi siłami gracze pokryli wreszcie sto sześćdziesiąt tysięcy. Pieniądze zakrywały prawie cały stół. Kmita zabił połowę i ciągnął kartę. Nikt już nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu. Wszyscy wstali i wpili oczy w ręce Kmity, który podnosił pierwszą kartę. Była ósemka—a potem król.
— Osiem!!—krzyknęli wszyscy triumfującym głosem i położyli na stosach banknotów nienąsycone, drżące ręce.
Ale Orda powstrzymał ich, wznosząc do góry rękę:
— Panowie, pomału! — śpieszycie niepotrzebnie —jeszcze kart nie widziałem.
Zatrzymali się. Dech w piersiach zamarł. Orda spojrzał i rzucił przed siebie dwie karty.
— Osiem jest mało. Mam dziewięć!
Posypały się złorzeczenia ordynarne, bluznęły ciężkie, chamskie przekleństwa. Ktoś grzmotnął pięścią z całej siły w stół. Orda zaśmiał się ironicznie, zgarniając pieniądze.

— Spokojnie, o dżentelmani! Zdarza się. Bank jest do wzięcia, jedna karta jeszcze wygrywa.

Kmita siedział nieruchomo, jak trup zastygły. Nagle zerwał się jednym susem, kurczowo zaciśnięte wargi drgały niespokojnie, podniósł rękę i wysuniętym palcem wskazał Ordę. Straszliwy śmiech potępieńca buchnął znienacka, niby gejzer podziemny. Orda zasłonił twarz rękoma, jakby ten śmiech szalony był ciosem, godzącym weń. Kmita wybiegł, trzaskając drzwiami. Wciąż jeszcze chichotał... coraz dalej, coraz słabiej...

— Przegrał wszystko — oznajmił ktoś zimnym głosem—i zwarjował. To było do przewidzenia.

Długa chwila milczenia wlokła się ociężale, nikt nie miał odwagi wziąć karty do ręki. Wtem jakiś odgłos nowy, niespodziewany, wtargnął z poza szyb zadymionych.

— Co to? — strzelają?—pytał ktoś — co za noc, co za straszna noc!

Orda skoczył na równe nogi, przetarł oczy, jakby chciał spłoszyć sen.

— Tak, strzelają, naprawdę strzelają! Do licha, salwa, a teraz—gra karabin maszynowy.

Jednem pchnięciem rozwarł okno. W czeluściach ulic migotały jakieś światła i chybotały się zwiewne cienie. Łoskot strzałów rósł ze wszystkich stron.

Gracze zbili się razem, niby stado strwożonych kuropatw. Widmo lęku włóczyło się po ich zmiętych twarzach.

— Co to? co to? — pytano szeptem.

Orda ogarnął ich jeszcze raz spojrzeniem. Zdawało się, że błędny tuman opada. Coś straszliwie obcego zionęło ze ścian.

— Co to jest?—spytał głośno.—Co ja tu robię? ja—oficer Drugiej Brygady? To była jakaś głupia, przypadkowa omyłka...

Wybiegł szybko. Pośrodku wielkiej sali, pustej, ale oświetlonej jaskrawo, przy stoliku brudnym, nie-

chlujnym, oblanym winem i wódką, zbrukanym resztkami pogniecionych owoców i smrodliwych niedopałków, siedział jeden człowiek i poruszał się, jak śmieszny manekin. Mamrotał coś ohydnemi, wilgotnemi wargami i wymachiwał ręką w stronę muzyki, która, siedząc na estradzie, grała „Ostatnie tango". Orda zatrzymał się, splunął pogardliwie i biegł dalej. Jakieś szybkie kroki łomotały za nim. Obejrzał się. Szedł Przedżymirski. Dziwną miał twarz teraz. Psia pokora skamlała w niemem spojrzeniu. Nic nie mówił, a łasił się i chylił pokornie grzbiet. Nędzny był, mały, nikczemny.

Orda wsadził ręce w kieszenie, rozstawił niedbale nogi i krzyknął sobie:

— No, czego tam, panie Przedżymirski?!

Zaśmiał się pogardliwie.

— A właśnie, zapytajmy odrazu, ile, panie Przedżymirski? ja wiem wszystko, nie trzeba mi nic mówić, wiem wszystko napamięć. Pan jest wielki, pan musi skończyć swoje nieśmiertelne arcydzieło. Rozumiem, nie jestem znowu tak głupi, jakby się wydawało.

Szybko wydobył z zanadrza zwoje banknotów. Cisnął mu jeden plik.

— Mnie te parszywe pieniądze są niepotrzebne!

Rzucał garściami coraz więcej i więcej.

— Masz, hjeno! żyj, hjeno! Bądź wielką, hjeno!

Przedżymirski bez słowa osunął się na ziemię i drżącemi rękoma począł zbierać rozsypane bezładnie zmięte banknoty...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Orda biegł szybko, kierując się w stronę strzałów. Na opustoszałych ulicach widać było tu i ówdzie małe grupki przechodniów. Pośrodku jednej stał żołnierz niemiecki z czerwoną kokardką u boku i opowiadał coś, żywo gestykulując. To znowu

spotykał jakieś oddziały młodych chłopców, dźwigających stosy karabinów.

...Rozbrajają Niemców —przemknęło mu przez myśl.

Dopiero dalej, gdzie już słychać było wichurę strzałów, spotkał oddział regularnego wojska z oficerem na czele.

Orda podbiegł blisko i zawołał radośnie:

— Rokita!

Tamten odwrócił się i odpowiedział:

— Orda!

— Co to? gdzie idziecie? — pytał zdyszanym, niecierpliwym głosem.

— Odbieramy broń Niemcom; wielu oddało już, ale kupy całe zamknęły się w ratuszu na dworcu, w posterunkach i bronią się, jak wściekłe psy.

Orda nie spostrzegł nawet, kiedy zaczął maszerować równym, żołnierskim krokiem. Poczuł w sobie dziwną rzeźkość. Buńczuczna swoboda śpiewała mu w duszy, niby huczna melodja marsza straceńców. Niewypowiedziana rozkosz wesołej beztroski poczęła się w nim pienić, jak młode, szumiące wino. Maszerował obok nich coraz to raźniej.

Nagle jakiś głos, dobrze znany, ozwał się tuż obok niego:

— Panie poruczniku, melduję posłusznie, że jest jeszcze jeden wolny karabin.

Chwycił szybko za kolbę broń, którą mu podawał stary żołnierz z jego własnej kompanji. Dwa szeregi rozstąpiły się i wchłonęły go szybko. W nagłym błysku wściekłości przypomnienia chwycił za parszywy, okrągły melonik — rzucił go na ziemię i podeptał. Szedł wśród ciżby szarych mundurów z dumnie podniesioną gołą głową...

Na ostrzach karabinów migotało zielone światło ulicznych latarni...